

# WORLD WARCRAFT



OSTATNI STRAŽNIK

JEFF GRUBB

B L I Z Z A R D L E G E N D S

WORLD  
WARCRAFT®

Ostatni Strażnik

JEFF GRUBB

przełożyła  
Anna Studniarek-Więch



2004



*Chrisowi Metzenowi,  
Strażnikowi Wizji*

## Prolog

# Samotna Wieża

Tego wieczora większy z dwóch księżyców wzeszedł pierwszy i zawisł brzemienno i srebrnobiały na usianym gwiazdami niebie. Pod jasnym księżycem Góry Rudych Grani wyciągały szczyty do nieba. W ciągu dnia słońce malowało je odcieniami różu, czerwieni i rdzy, ale w księżycowym świetle stały się jedynie wysokimi i dumnymi cieniami. Na zachodzie rozciągała się Knieja Elwynn, rozpościerając ciężkie korony dębów i żółtodrzewi od pogórza po morski brzeg. Na wschodzie ciągnęły się ponure Czarne Mokradła, kraina moczarów, niskich wzgórz, piaszczystych łąk i stojącej wody, gdzie pełno było opuszczonych osad, a na wędrowców czyhało niebezpieczeństwo. Po tarczy księżyca prześlizgnął się cień wielkości kruka, kierując się w stronę wylomu w samym sercu masywu. Tutaj z niepokonanej twierdzy gór zniknęła bryła skał, zostawiając okrągłą wyrwę. Było to miejsce, gdzie przed wiekami uderzyło ciało niebieskie albo gdzie doszło do wybuchu, który wstrząsnął górami, zaś kolejne wieki wygładziły krawędzie olbrzymiego krateru o kształcie misy, zmieniły brzegi w obłe pagórki o stromych zboczach, ułożonych w objęciach strzelistych gór. Żadne ze starożytnych drzew Kniei Elwynn nie mogło sięgnąć takiej wysokości i wewnątrz krateru pozostawało nagie, jeśli nie liczyć chwastów i splątanych bluszczy. Pośrodku kręgu wzgórz wznosiła

się pojedyncza skała, łyśa niczym czaszka szlachetnego kupca z Kul Tiras. I po prawdzie to, jak jej ściany wznosiły się stromo, bez mała pionowo, by skończyć się niemal płaskim szczytem, istotnie przywodziło na myśl ludzką czaszkę. Wielu widziało to podobieństwo, aczkolwiek niewielu było wystarczająco odważnych lub potężnych, by wspomnieć ów fakt właścicielowi tego miejsca. Na płaskim szczycie skały wznosiła się wiekowa wieża – imponująca budowla z białego kamienia i ciemnej zaprawy, o grubych, solidnych murach. Strzelista i smukła pięła się ku niebu bez najmniejszego wysiłku, przewyższała okoliczne wzgórza, rozświetlona niczym latarnia blaskiem księżycowego światła. Podstawę wieży otaczał niski mur, za którym znajdował się wewnętrzny dziedziniec z ruinami stajni i kuźni, wieża dominowała jednak nad wszystkim wokół.

Niegdyś miejsce to nazywano Karazhanem. Niegdyś był to dom ostatniego z tajemniczych i skrytych Strażników Tirisfal. Niegdyś miejsce to tętniło życiem. Teraz opuszczone, zostało wydane na pastwę czasu.

Wieżę spowijała cisza, ale nie bezruch. Pod osłoną nocy bezszelestne kształty przeskakiwały z okna do okna, a zjawy tańczyły na balkonach i parapetach. Mniej niżli duchy, więcej niż tylko wspomnienia, były okruchami przeszłości, które oderwały się ze strumienia czasu. Szaleństwo właściciela wieży wyrwało te cienie i skazało je na odgrywanie raz po raz dawnych historii w opuszczonej wieży. Zostały skazane na odgrywanie, pozbawione jednak wszelkiej publiczności, która mogłaby docenić przedstawienie.

Naraz w ciszy rozległo się ciche szurnięcie obutej stopy po kamieniu, a potem kolejne. Nagły błysk ruchu pod świetlistym księżycem. Cień na białym kamieniu. Łopot poszarpanego, karmazynowego płaszcza w chłodnym nocnym powietrzu. Postać szła chodnikiem u szczytu zwieńczonego blankami muru najwyższej z iglic, w której wcześniej



mieściło się obserwatorium. Drzwi prowadzące do obserwatorium zaskrzypiały na wiekowych zawiasach, lecz zamarły nagle, unieruchomione rdzą i upływem czasu. Postać w płaszczu też znieruchomiła na moment, po czym przyłożyła palec do zawiasu i wymruczała kilka słów. Drzwi otworzyły się bezszelestnie na całą szerokość, zawiasy były bowiem jak nowe.

Intruz pozwolił sobie na uśmiech.

Obserwatorium świeciło pustkami, nieliczne przyrządy, jakie tu porzucono, zostały zniszczone. Intruz, niemal tak cichy jak duch, podniósł rozbite astrolabium, koła ekliptyki zostały powyginane w gniewie, teraz dawno już przebrzmiałym. Instrument był już tylko ciężkim kawałkiem złota, bezużytecznym i zastygłym nieruchomo w dłoniach intruza.

Ruch w obserwatorium skłonił intruza do podniesienia głowy. Teraz podobna do ducha postać pojawiła się nieopodal jednego z wielu okien. Duch/nie-duch był wysokim i postawnym mężczyzną o szerokich barkach, z włosami i brodą niegdyś niewątpliwie ciemnymi, ale teraz poznaczonymi przedwczesną siwizną. Był jednym z odprysków przeszłości, oderwanym i skazanym na powtarzanie swego zadania bez względu na to, czy ktoś to widział czy nie. Przez moment ciemnowłosy mężczyzna trzymał w dłoniach astrolabium, identyczne jak to, które miał w dłoniach intruz, jeszcze jednak niezniszczone, i kręcił niewielką gałeczką z boku instrumentu. Ciemne brwi zbiegły się nad widmowymi zielonymi oczyma. Minęła chwila, ciemnowłosy sprawdził ustawienia instrumentu i ponownie przekręcił gałeczkę. Wreszcie westchnął głęboko i odłożył astrolabium na stół, którego już w obserwatorium nie było, po czym zniknął bez śladu.

Intruz skinął potakująco głową.

Duchy nawiedzały Karazhan często, nawet wtedy, gdy wieża była zamieszкана, choć teraz pozbawione kontroli (i szaleństwa) swego pana

stały się bardziej śmiałe. Niemniej te okruchy przeszłości należały do tego miejsca. W przeciwieństwie do intruza. To on był tu nieproszonym gościem, nie one.

Intruz przeszedł przez obserwatorium, kierując się do schodów, podczas gdy za jego plecami starszy mężczyzna pojawił się, by ponownie odtworzyć swe czynności, nastawić astrolabium na planetę, która od tamtej chwili dawno już znalazła się w innym obszarze nieba.

Intruz ruszył w dół wieży, mijał następne piętra, schodził kolejnymi schodami i przemierzał coraz to nowe korytarze. Wszystkie drzwi stały przed nim otworem, nawet te zamknięte na klucz, zabite na głucho czy zapieczętowane przez rdzę. Kilka słów, dotyk albo gest – i wszystkie zamknięcia puszczały, rdza osypywała się rudym pyłem, a zawiasy znów były nowe. Jedno czy dwa zaklęcia ochronne wciąż jeszcze lśniły mocą, potężne mimo upływu lat. Intruz zatrzymał się przed nimi i zastanawiał się chwilę, szukając w pamięci odpowiedniego przeciwzaklęcia. Wypowiadał właściwe słowo, robił stosowny ruch dłońmi i unicestwiał pozostałości dawnej magii, usuwając przeszkodę ze swej drogi. Im dalej szedł, tym mocniej niepokoiły się zjawy i tym bardziej stawały się aktywne. Wydawało się, że zyskawszy publiczność, te odpryski z przeszłości pragną odegrać wszystko do samego końca, jeśli tylko je to stąd uwolni. Jeśli nawet kiedyś posiadały głos, to czas im go odebrał i teraz na korytarzach wieży pojawiały się jedynie milczące wizerunki.

Nieproszony gość minął wspomnienie kamerdynera w ciemnej liberii – kruchego staruszka, który szurając, dreptał powoli pustym korytarzem ze srebrną tacą w dłoniach, nosił przy tym klapki na oczy niczym koń. Intruz przeszedł przez pustą bibliotekę, gdzie zobaczył stojącą doń tyłem zielonoskórą kobietę, zajęętą wertowaniem starożytnego tomu. W sali



bankietowej natknął się na muzyków przygrywających bezdźwięcznie tancerzom wirującym w gawocie.

Po przeciwnej stronie płonęło miasto. Bezgłośny pożar bezskutecznie próbował pochłonąć kamienne ściany i zbutwiałe gobeliny. Intruz przeszedł przez bezdźwięczne płomienie, ale rysy jego twarzy ściągnęły się w wyrazie napięcia, gdy po raz kolejny zobaczył, jak potężny Wichrogród płonie wokół niego. W jednym z pomieszczeń trzech młodych mężczyzn siedziało przy okrągłym stole, opowiadając kłamstwa, których już nikt nie pozna. Na blacie i pod nim rozrzucone były metalowe kufle. Intruz stał i przyglądał się temu wspomnieniu, zanim widmowi biesiadnicy nie zamówili następnej kolejki. Wtedy potrząsnął głową i podjął swą wędrówkę. Niemalże dotarł do najniższego z pięter i wyszedł na niski balkon, który wisiał niepewnie, czepiając się ściany niczym gniazdo os nad głównym wejściem. I wtedy na rozległym dziedzińcu między głównym wejściem a ruiną stajni pojawiła się jedna zjawa, samotna i oddzielona od pozostałych. Nie poruszała się jak tamte, tylko trwała niepewnie, czekając. Zniewolony skrawek przeszłości. Skrawek czekający tu na intruza.

Nieruchoma zjawa była duchem młodego człowieka o włosach nieuczesanych i naznaczonych białym pasmem jak u skunksa. Szczękę młodzieńca porastały świeże kępki włosów starające się ze wszystkich sił udawać brodę. Chłopak miał u stóp worek podróżny, a w dłoni zapieczętowany czerwoną pieczęcią list, który trzymał, jakby jego życie od tego zależało.

To tak naprawdę nie był duch, intruz to wiedział, aczkolwiek ten, którego zjawa przedstawiała, mógł już zginąć, polec w walce pod obcym słońcem. Niemniej wizerunek był wspomnieniem, okruczem przeszłości uwięzionym niczym owad w bursztynie. Czekał na przybycie intruza.

Ten zaś przysiadł na kamiennej balustradzie i spojrział w dal, poza granice dziedzińca, poza zewnętrzny mur, poza pierścień wzgórz. Wokół panowała cisza i wydawało się, że nawet góry wstrzymują swój oddech, czekając na niego.

Intruz uniósł dłoń i zaintonował inkantację. Początkowo rymy były powolne i ciche, potem stały się głośniejsze i jeszcze głośniejsze, aż w końcu strzaskały ciszę. W oddali wilki posłyszały ten głos i uniosły pyski, by mu zawtórować.

A młodzieniec ze wspomnień – stojący na dziedzińcu, jakby mu stopy utknęły w błocie – odetchnął głęboko, zarzucił na ramię swój worek pełen tajemnic i powlókł się do głównego wejścia Wieży Medivha.

## Rozdział 1

# Karazhan

Khadgar ścisnął zapieczetowany szkarłatem list polecający i desperacko próbował przypomnieć sobie własne imię. Jechał tu przez całe dni, najpierw towarzysząc rozmaitym karawanom, a potem w pojedynkę przeprowadzając się przez rozległą gęstwinę Kniei Elwynn. Wreszcie po długiej wspinaczce na górskie stoki dotarł tutaj, do tego spokojnego, pustego i osamotnionego miejsca. Nawet powietrze wydawało się tu zimne i odległe. Teraz obolały i zmęczony młodzieniec o rzadkiej brodzie stał na dziedzińcu, wśród wieczornych cieni, sparaliżowany na myśl o tym, co miał uczynić.

Miał bowiem przedstawić się najpotężniejszemu z magów na Azeroth.

To wielki zaszczyt – powtarzali mu mędrcy z Kirin Toru. Okazja, naciskali, której nie należy przepuścić. Mędrcy będący mentorami Khadgara, konklawe wpływowych uczonych i magów, wyjawili mu, że od lat próbowali pozyskać przychylność wieży Karazhanu. Członkowie Kirin Toru pragnęli wiedzy, jaką najpotężniejszy czarodziej na świecie ukrywał w swej bibliotece. Chcieli dowiedzieć się, jakie badania prowadził, i poznać ich wyniki. A nade wszystko życzyli sobie, by mag samotnik i indywidualista zaczął myśleć o przekazaniu swego dziedzictwa. Chcieli dowiedzieć się, czy wielki i potężny Medivh zamierza wyszkolić następcę.

Wielki Medivh i Kirin Tor najwyraźniej od lat wadzili się odnośnie do rozmaitych kwestii i dopiero ostatnimi czasy Medivh uległ błaganiom rady, przynajmniej częściowo. Zgodził się przyjąć ucznia. Czy zgoda ta była po prostu dyplomatycznym ustępstwem, czy magowi zmiękło osławione twarde serce, czy też może nagle uświadomił sobie własną śmiertelność – absolutnie nie interesowało mistrzów Khadgara. Prawda była taka, że potężny i niezależny (a w oczach Khadgara również tajemniczy) mag poprosił o asystenta, a rada Kirin Toru, rządząca magiczną krainą Dalaranu, nie posiadała się z radości, mogąc to życzenie spełnić.

Tym sposobem młody Khadgar został wybrany spośród grona kandydatów, obarczony listą wskazówek, rozkazów, kolejnych rozkazów sprzecznych z wcześniejszymi, próśb, sugestii, rad i żądań swych mistrzów. „Spytaj Medivha o bitwę jego matki z demonami”, prosił Guzbah, pierwszy instruktor młodzieńca. „Znajdź w jego bibliotece wszystko, co tylko możliwe, na temat historii elfów”, poleciła Lady Delth. „Poszukaj wszelkich bestiariuszy”, rozkazała Alonda, przekonana głęboko, że istnieje gatunek trolli, którego nie ujęła jeszcze we własnych księgach. „Bądź bezpośredni, otwarty i uczciwy”, radził Norlan główny artefaktór. „Wielki mag Medivh zdaje się cenić te cechy”. „Bądź sumienny i rób, co ci się mówi”. „Nie garb się”. „Zawsze okazuj zainteresowanie”. „Stój prosto. A przede wszystkim miej oczy i uszy otwarte”.

Ambicje Kirin Toru nie zaprzętały zanadto Khadgara. Dorastał w Dalaranie i bardzo szybko rozpoczął naukę pod kierunkiem rady, wiedział zatem, że ciekawość jego mentorów odnośnie do wszelkich form magii pozostaje wiecznie nienasycona. Nie przestawali gromadzić, katalogować i opisywać magii w każdej postaci i ów głód wiedzy przekazywali już najmłodszym swym uczniom. Khadgar nie różnił się pod tym względem od innych.

Prawdę powiedziawszy, nic innego, lecz ciekawość Khadgara była zasadniczo przyczyną jego obecnej sytuacji, co właśnie sobie uświadomił. Nocne wycieczki po korytarzach Purpurowej Cytadeli sprawiły, że odkrył więcej sekretów, niż zyczyliby sobie magowie z rady. Na przykład upodobanie głównego artefaktora do ognistego wina albo skłonność Lady Delth do młodych kawalerów, których wiek był nieznacznym ułamkiem jej lat. Czy też sekretną kolekcję broszurek Korrigana Bibliotekarza, opisujących (w sposób nader drastyczny i upiornie szczegółowy) praktyki, jakim oddawali się historyczni czciciele demonów.

No i była też sprawa jednego z wielkich mędrców Dalaranu, czcigodnego Arrexisa, należącego do szarych eminencji, szanowanego nawet przez pozostałych magów. Arrexis zniknął, albo umarł, albo stało się coś okropnego i pozostali magowie postanowili nigdy o tym nie wspominać do tego stopnia, że wymazali imię Arrexisa ze wszystkich ksiąg i nigdy nie rozmawiali na jego temat. Jednak Khadgar i tak zdołał się o tym dowiedzieć. Miał talent do znajdowania stosownego odniesienia, dostrzegania potrzebnych połączeń czy też odzywania się do właściwych osób we właściwym momencie. Był to dar, który mógł okazać się też przekleństwem młodego maga.

Każde z jego odkryć mogło tak naprawdę być przyczyną tego, że otrzymał tak prestiżowy (i mimo całego planowania i ostrzeżeń potencjalnie śmiercionośny) przydział. Prawdopodobnie magowie uznali, że młody Khadgar jest nieco zbyt dobry w odgrzebywaniu sekretów i lepiej będzie dla rady, jeśli zostanie wysłany tam, gdzie jego ciekawość może przynieść jakieś korzyści. Albo przynajmniej znajdzie się na tyle daleko od Purpurowej Cytadeli, że nie będzie odkrywał tajemnic dotyczących innych jej mieszkańców.

A ponieważ Khadgar podsłuchiwał niestrudzenie – i ta teoria do niego dotarła.

I tak z torbą pełną notatek, sercem pełnym tajemnic i głową pełną żądań i zupełnie bezużytecznych rad wyruszył w podróż. W tygodniu poprzedzającym jego wyjazd z Dalaranu miał okazję rozmawiać niemal z każdym członkiem rady, bowiem wszyscy oni byli zainteresowani czymś, co miało związek z Medivhem. Jak na maga żyjącego na skończonym zadupiu, pośrodku niczego, otoczonego drzewami i złowieszczymi górami, budził niezmierną ciekawość członków Kirin Toru. Natarczywą wręcz.

Khadgar odetchnął głęboko (i tym samym przypomniał sobie, że wciąż stoi zbyt blisko stajni) i ruszył do samej wieży. Z każdym krokiem miał wrażenie, że ciągnie za sobą jucznego konia.

Wejście do wieży otwierało się niczym jaskinia, nie zamykała go brama czy krata. Nie było w tym nic dziwnego, jaka bowiem armia przedostałaby się przez Knieję Elwynn, by sforsować góry i wygładzone krawędzie krateru, a wszystko po to, by stanąć do walki z samym wielkim Magiem Medivhem? Nie istniały żadne zapisy czy dowody na to, że ktokolwiek, kiedykolwiek próbował oblegać Karazhan.

Spowite cieniem wejście było na tyle wysokie, by zmieścił się w nim słoń w pełnej uprząży. Nad wejściem wisiał balkon o białej kamiennej balustradzie, z którego można było spojrzeć ponad szczytami okolicznych wzgórz na masyw górski znajdujący się za nimi. Za balustradą coś się poruszyło, Khadgar bardziej to wyczuł, niż zobaczył. Postać w długiej szacie chyba cofała się do wnętrza wieży albo spacerowała po balkonie. Czy nawet teraz ktoś go obserwował? Nikt go tu nie zamierzał powitać, miał przekroczyć próg bez zaproszenia?

– Ty jesteś Nowym Młodym Człowiekiem? – ozwał się cichy, niemalże grobowy głos i niewiele brakowało, by Khadgar, który cały czas zadzierał

głowę, wyskoczył ze skóry. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył przygarbioną, chudą sylwetkę wśród cieni spowijających wejście.

Przygarbiony stwór przypominał nieco człowieka i przez chwilę Khadgar podejrzewał, że Medivh poddaje przemianom zwierzęta leśne, by mu służyły. Stworzenie w proggu przypominało bezwłosą łasicę, noszącą po bokach pociągłej twarzy coś jak czarne kwadraty. Khadgar nie przypominał sobie, by udzielił jakiejś odpowiedzi, ale łasicolud postąpił naprzód, wyłaniając się nieco z cienia.

– Ty jesteś Nowym Młodym Człowiekiem? – powtórzył.

Każde słowo poprzedzał niewielki wdech, każde oddzielone było od pozostałych i rozpoczęte wielką literą. Stwór zostawił już cienie za plecami i okazał się ni mniej, ni więcej tylko chorobliwie wręcz chudym starcem w ciemnej wełnianej liberii. Sługa – człowiek, niemniej sługa. Czarne kwadraty przy obu skroniach nie były przywidzeniem, przypominały nauszники, które sięgały niemalże do wydatnego nosa.

Młody mag uświadomił sobie, że gapi się na starca niegrzecznie.

– Khadgar – oznajmił i po chwili zaprezentował ściskany w dłoni list polecający. – Z Dalaranu. Khadgar z Dalaranu leżącego w królestwie Lordaeronu. Zostałem przysłany przez Kirin Tor. Z Purpurowej Cytadeli. Jestem Khadgar z Kirin Toru. Z Purpurowej Cytadeli. Dalaranu. W Lordaeronie. – Miał wrażenie, że ciska głazy słów w głąbię wielkiej, pustej studni w nadziei, że starzec zareaguje na któreś.

– Oczywiście, że tak, Khadgarze – odparł stary sługa. – Z Kirin Toru. Z Purpurowej Cytadeli. Dalaranu. W Lordaeronie.

Starzec ujął list polecający, jakby miał do czynienia z żywym gadem, i wygładziwszy zmaltretowane brzegi, ukrył na piersi bez otwierania. Po tym, jak niósł i chronił ową wiadomość podczas długiej podróży, Khadgar uczuł bolesną stratę. List polecający reprezentował całą jego przyszłość



i młodzieniec nie mógł pogodzić się z myślą, że straci pismo z oczu, nawet na chwilę.

– Magowie Kirin Toru wysłali mnie, bym asystował Medivhowi. Lordowi Medivhowi. Magowi Medivhowi. Medivhowi z Karazhanu. – Khadgar uświadomił sobie, że niewiele brakuje, by jego wypowiedź zmieniła się w bełkot, i z wysiłkiem zamknął usta.

– Oczywiście, że tak – odparł sługa. – Wysłali ciebie, tak właśnie.

Ocenił pieczęć na liście, po czym wychudzona dłoń ponownie zanurkowała do kieszeni, i sługa zaprezentował Khadgarowi dwa skórzane kwadraty połączone cienkim metalowym paskiem.

– Klapki na oczy? – zaproponował uprzejmie.

Khadgar zamrugał zaskoczony.

– Nie. To znaczy nie, dziękuję.

– Morios – powiedział sługa.

Khadgar bezradnie pokręcił głową.

– Ja jestem Morios – uściślił sługa. – Zarządca wieży. Kasztelan Medivha. Klapki? – Ponownie uniósł czarne kwadraty identyczne z tymi, jakie sam nosił.

– Nie, dziękuję... Moriosie? – odparł Khadgar. Na jego twarzy odmalowała się paląca młodzieńcza ciekawość. Sługa odwrócił się i słabym machnięciem ręki nakazał Khadgarowi podążyć za sobą. Młody mag podniósł swój worek i ruszył śladem starca, który choć wydawał się wątły i kruchy, to poruszał się całkiem szybko.

– Czy jesteś sam w wieży? – zagadnął go Khadgar, gdy zaczęli wspinać się po szerokich, kręconych schodach. Kamienne stopnie miały pośrodku zagłębienia, wydeptane niezliczonymi stopami gości i służących.

– E? – odpowiedział Morios.

– Czy jesteś tu sam? – powtórzył młodzieniec, zastanawiając się, czy będzie musiał mówić w taki sam sposób, jak Morios, żeby stary sługa go zrozumiał. – Mieszkasz tu sam?

– Mag tu jest – odparł Morios świszczącym głosem, bladym i śmiercionośnym jak cmentarna ziemia.

– No tak, oczywiście – zgodził się Khadgar.

– Nie miałoby sensu, żebyś ty był, gdyby jego nie było – stwierdził zarządca wieży. – Tutaj, znaczy.

– Oczywiście – powtórzył Khadgar. – A jest ktoś jeszcze?

– Ty, teraz. Więcej pracy, gdy usługuje się dwóm, a nie jednemu. Nie, żeby mnie ktoś pytał o zdanie.

– Zatem zazwyczaj jesteście tu tylko we dwóch, z magiem? – indagował Khadgar, zastanawiając się, czy zarządcy nie zatrudniono (czy może stworzono) z uwagi na jego małomówność.

– I Kucharka – uściślił Morios. – Ale Kucharka wiele nie mówi. Dziękuję, że zapytałeś, jednak.

Khadgar chciał się powstrzymać od przewracania oczami, ale nie zdołał. Miał tylko nadzieję, że klapki po obu stronach twarzy majordomusa nie pozwoliły mu dostrzec tej reakcji.

Dotarli do płaskiego miejsca – skrzyżowania dwóch korytarzy oświetlonego pochodniami. Morios błyskawicznie przeszedł do kolejnych wydeptanych stopni tworzących schody naprzeciwko. Khadgar zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się pochodniom.

Przysunął dłoń na cal do płomienia, ale nie poczuł żaru. Był ciekaw, czy chłodne ognie są rozmieszczone w całej wieży. W Dalaranie używano fluorescencyjnych kryształów, dających stały blask na tym samym poziomie, aczkolwiek w swych badaniach natknął się na wzmianki o lustrach, żywiołakach zniewolonych wewnątrz lamp, a nawet, w jednym

przypadku, na gigantyczne świetliki. Jednak te płomienie wydawały się zmrożone.

Morios dotarł już do połowy kolejnych schodów, odwrócił się powoli i kaszlnął świszcząco. Khadgar natychmiast pospieszył za nim. Najwyraźniej klapki na oczy wcale nie ograniczały pola widzenia starego sługi.

– Po co klapki? – zapytał Khadgar.

– E? – odpowiedział Morios.

– Klapki na oczy. Po co?

Khadgar domyślił się, że grymas na twarzy starego sługi miał być uśmiechem.

– Magia tu silna. Silna i niedobra, czasami. Można... zobaczyć rzeczy... Różne. Jak się nie jest ostrożnym. Ja jestem ostrożny. Inni goście, ci, co byli przed tobą, byli mniej ostrożni. Już ich nie ma.

Khadgar przypomniał sobie zjawę, którą widział – a może i nie widział – na balkonie i skinął głową.

– Kucharka ma parę różowych kwarcowych okularów – dodał Morios. – Się na nie zaklina. – Zamilkł na moment, po czym dodał: – Pod tym względem jest trochę niemądra.

Khadgar zaczął mieć nadzieję, że Morios stanie się bardzo rozmowny, skoro już się trochę rozkręcił.

– Długo jesteś z magiem?

– E? – odpowiedział Morios po raz kolejny.

– Pytałem, czy długo jesteś z Medivhem? – Khadgar miał nadzieję, że udało mu się ukryć zniecierpliwienie.

– Taa. Dość długo – odrzekł majordomus. – Za długo. Wydaje się, że lata minęły. Czas już tu tak płynie. – Świszczący głos sługi ucichł i dalej wspinali się już w milczeniu.

– Co o nim wiesz? – spróbował Khadgar po jakimś czasie. – O magu, znaczy.

– Pytanie – Morios otworzył kolejne drzwi, za którymi znajdowała się następna klatka schodowa – co ty wiesz?

Własne badania Khadgara okazały się zaskakująco bezowocne i przyniosły frustrująco mało informacji. Pomimo dostępu do Wielkiej Biblioteki Purpurowej Cytadeli (i potajemnego dostępu do kilku prywatnych bibliotek i tajnych kolekcji) o wielkim i potężnym Medivhie Khadgar dowiedział się bardzo niewiele. Było to dziwne i zaskakujące, tym bardziej że każdy ze starszyny Dalaranu najwyraźniej podziwiał Medivha i czegoś od niego chciał. A to przysługi, a to jakiegoś daru, a to informacji.

Medivh jak na maga był wciąż jeszcze młody. Dobiegał czterdziestki i przez większość swojego życia najwyraźniej nie wpłynął w żaden sposób na swoje otoczenie. Było to dla Khadgara prawdziwym zaskoczeniem. Większość opowieści, jakie słyszał czy czytał, przedstawiała niezależnych magów jako nadmiernie skłonnych do popisywania się umiejętnościami, nieustraszonych, gdy przychodziło do igrania z tajemnicami, których nawet nie powinni znać, a przy tym martwych, okaleczonych albo przeklętych wskutek zabawiania się z mocami lub energiami, których nie byli w stanie okiełznać. Z lekcji, które Khadgar przyswoił sobie w dzieciństwie na temat magów niezwiązanych z Dalaranem, wynikało, że ich los zawsze był podobny – jako pozbawionych hamulców, kontroli i rozsądku. Ci dzicy, niewyszkoleni magowie samoucy zawsze kończyli źle (czasami, niezbyt często, niszcząc sporą część krajobrazu wokół).

To, że Medivh nie zdołał jakoś zwalić sobie na głowę całego zamku, rozproszyć swych atomów po Wypaczonej Otchłani czy wezwać smoka, którego nie umiałby kontrolować, sugerowało ogromną samokontrolę lub

moc. A mając na uwadze zamieszanie, jakie uczeni czynili wokół osoby Medivha, oraz listę próśb i instrukcji, jakie Khadgar otrzymał, młody mag doszedł do wniosku, że w tym przypadku chodziło jednak o ogromną moc.

Mimo wszystkich swych badań Khadgar nie zdołał wykoncypować dlacego. Nigdzie nie znalazł wzmianki o jakichś istotnych badaniach albo o wstrząsających odkryciach, które wyjaśniałyby ewidentny podziw, jaki członkowie Kirin Toru żywili wobec tego niezależnego maga. Żadnych wielkich podbojów ani znaczących bitew. Bardowie zauważalnie unikali wszelakich szczegółów, gdy opowieści w jakiś sposób wiązały się z Medivhem, a sumienni zazwyczaj heroldowie tylko kiwali głowami, gdy przychodziło do omawiania jego osiągnięć.

Khadgar szybko uświadomił sobie jednak, że kryło się w tym wszystkim coś istotnego, co przyprawiało jego nauczycieli o obawy zmieszane z szacunkiem i zazdrością. Członkowie rady żadnego innego niezależnego maga nie uważali za równego sobie; prawdę powiedziawszy, często nawet próbowali stanąć na drodze czarodziejom, którzy nie byli związani z Purpurową Cytadelą, a jednak kłaniali się przed Medivhem. Dlaczego?

Khadgar zdobył jedynie okruchy informacji – wzmiankę o urodzeniu Medivha (Guzbah był szczególnie zainteresowany matką maga) i kilka poczynionych na marginesie w grimuarze notatek wspominających imię Medivha i jego rzadkie wizyty w Dalaranie. Wszystkie miały miejsce w ciągu minionych pięciu lat i najwyraźniej Medivh spotykał się tylko ze starszymi magami, jak zaginiony obecnie Arrexis.

Podsumowując, Khadgar wiedział bardzo niewiele o tym podobno wielkim magu, dla którego miał teraz pracować. Postrzegał wiedzę jako swój miecz i zbroję, dlatego też czuł się przygnębiająco bezbronny i nieprzygotowany do rychłego spotkania.

– Niewiele – powiedział głośno.

– E? – odpowiedział Morios, odwracając się lekko.

– Powiedziałem, że wiem niewiele – powtórzył Khadgar, głośniejszym głosem niż zamierzał. Jego głos odbił się echem od nagich ścian klatki schodowej, która teraz zakręcała lekko. Khadgar zastanawiał się, czy wieża w istocie jest tak wysoka, jak się mu wydawało. Już teraz uda bolały go od wspinaczki.

– Oczywiście, że nie – zgodził się z nim Morios. – Że nie wiesz, znaczy. Młodzi nigdy nie wiedzą zbyt wiele. Jak mniemam, to właśnie czyni ich młodymi.

– Chodziło mi o to. – Khadgar był już zirytowany. Zamilkł na moment i odetchnął głęboko. – Chodziło mi o to, że nie wiem wiele o Medivhie. Pytałeś.

Morios zatrzymał się ze stopą uniesioną nad kolejnym stopniem.

– No chyba pytałem – rzekł wreszcie.

– Jaki jest? – spytał Khadgar niemal błagalnie.

– Jak wszyscy, jak mniemam – odpowiedział Morios. – Ma swoje upodobania. Ma swoje nastroje. Dobre dni i złe. Jak wszyscy.

– I jak zakłada spodnie, to najpierw jedną nogawkę, potem drugą – westchnął Khadgar.

– Nie. Lewituje do środka spodni. – Morios spojrzał na Khadgara i młodemu magowi wydało się, że na twarzy majordomusa dostrzegł cień uśmiechu. – Jeszcze jeden bieg schodów.

Ostatni bieg zakręcał ostro i Khadgar odgadł, że dotarli do najwyższej iglicy. Stary sługa prowadził.

Klatka schodowa otworzyła się na niewielką okrągłą komnatę otoczoną szerokim zewnętrznym chodnikiem. Khadgar podejrzewał, że znalazł się na samym szczycie wieży w obszernym obserwatorium. W ściany i sufit

wprawiono kryształowe okna, czyste i niezamazane. W czasie gdy Khadgar wspinał się po schodach, zapadła noc i niebo usiane było gwiazdami. Samo obserwatorium pozostawało pogrążone w półmroku, oświetlone kilkoma zaledwie pochodniami o tym samym nieruchomym płomieniu, na jakie młody mag natknął się już wcześniej. Te w komnacie jednak zostały osłonięte, by nie przeszkadzać w obserwacji nieba. Pośrodku pomieszczenia znajdowało się przenośne metalowe palenisko wypełnione węglami, zapewne przygotowane na później, gdy nad ranem spadnie temperatura.

Pod ścianami obserwatorium ustawionych zostało kilka dużych półokrągłych stołów, a na blatach piętrzyły się całe stosy rozmaitych instrumentów. Srebrne poziomice, złote astrolabia pełniły rolę przycisków do niezliczonych arkuszy papieru albo zakładerek, dzięki którym starożytne tomy pozostawały otwarte na właściwych stronach. Na jednym z blatów stał na wpół rozłożony model przedstawiający ruch planet na sklepieniu niebieskim, cienkie druty i dodatkowe koraliki leżały obok między innymi delikatnymi narzędziami. Część notatników tworzyła stos pod ścianą, inne upchnięto w skrzyniach i wsunięto pod stoły. Rozciągnięta na ramie mapa pokazywała południowe ziemie Azeroth, w tym królestwo Lordaeron, skąd pochodził Khadgar, ale też odizolowane królestwa krasnoludów i elfów jak Khaz Modan i Quel'Thalas. Mapa usiana była niewielkimi szpilkami tworzącymi konstelacje, które tylko Medivh mógł zrozumieć.

I Medivh też był w obserwatorium, Khadgar natychmiast doszedł do wniosku, że to nie może być nikt inny. Mężczyzna w średnim wieku miał długie włosy, związane na karku w ogon, zapewne kiedyś były hebanowoczarne, teraz jednak pojawiły się w nich pasma siwizny. Nie tylko skronie, ale i broda maga pobielała. Khadgar wiedział, że wielu czarodziejów siwiało przedwcześnie, był to uboczny skutek napięcia



i stresu wywołanych władaniem magiczną energią. Strój Medivha był prosty, szczególnie jak na maga, ale dobrze skrojony i dopasowany do szerokich ramion właściciela. Krótki kaftan pozbawiony jakichkolwiek ozdób kończył się tuż nad spodniami, których nogawki wepchnięte zostały w cholewki wielkich butów. Z ramion Medivha spływał brązowy płaszcz z kapturem, teraz odrzuconym na ramiona maga. Kiedy oczy Khadgara przyzwyczały się już do półmroku, młody czarodziej zrozumiał, że pomylił się, uznając, że strój maga nie miał żadnych ozdób, był bowiem przystrojony srebrnym filigranem, tak delikatnym, że niewidocznym na pierwszy rzut oka. Spoglądając na plecy maga, Khadgar uświadomił sobie, że widzi wystylizowaną twarz jakiegoś starożytnego demona; gdy mrugnął, koronkowe zdobienie przekształciło się w wizerunek zwiniętego smoka, a potem w widok nocnego nieba.

Medivh był zwrócony tyłem do starego sługi i młodego przybysza, całkowicie ignorując ich obu. Stał przy jednym ze stołów ze złotym astrolabium w jednej dłoni i notatnikiem w drugiej. Wydawał się głęboko zamyślony i Khadgarowi przyszło do głowy, że to może być jeden z tych „nastrojów”, przed którymi ostrzegał Morios. Młodzieniec odchrząknął i zrobił krok do przodu, ale Medivh uniósł dłoń i Khadgar zamarł w pół kroku, równie nagle, jakby został unieruchomiony zaklęciem.

Tymczasem stary sługa podszedł cicho do swego pana i stanął z boku, czekając, aż mag zwróci na niego uwagę.

Minęła minuta. I kolejna. I wreszcie – Khadgar gotów byłby przysiąc, że całą wieczność później – mag odłożył astrolabium, zrobił trzy kreski w notatniku, zamknął go z trzaskiem i odwrócił się do Moriosa.

Zobaczywszy oblicze Medivha po raz pierwszy, Khadgar pomyślał, że Medivh musi mieć o wiele więcej niż te czterdzieści kilka lat, które mu przypisywano. Ta twarz poznaczona była głębokimi zmarszczkami

i zmęczeniem. Khadgar bardzo chciałby się dowiedzieć, jaką magią władał ten czarodziej, że wyryła na jego twarzy tak głęboką historię.

Morios sięgnął za pazuchę i wy dobył pognieciony list polecający. W nieruchomym świetle karmazynowa pieczęć wyglądała jak uczyniona z krwi. Medivh obrócił się i spojrzał na przybysza.

Oczy maga były głęboko osadzone pod ciężkimi brwiami, ale Khadgar od razu uświadomił sobie lśniąca w nich moc. Coś tańczyło w tych oczach, coś migotało w głębokiej zieleni, coś potężnego i niekoniecznie okiełznanego. Coś niebezpiecznego. Wielki mag otaksował Khadgara wzrokiem i młodzieniec czuł się tak, jakby Medivh podsumował tym jednym spojrzeniem całą egzystencję swego nowego asystenta i uznał, że ten nie jest bardziej interesujący niż żuk albo pchła.

Wielki mag popatrzył na wciąż zapieczętowany list polecający i Khadgar niemal natychmiast poczuł ulgę, zupełnie jakby ogromny, głodny drapieżnik minął go, nie zaszczycając drugim spojrzeniem.

Jego ulga trwała jednak krótko. Medivh nie otworzył listu. Lekko zmarszczył brwi i pergamin nagle stanął w płomieniach. Ogień pojawił się po przeciwnej stronie niż ta, za którą trzymał mag, i miał intensywnie błękitny odcień.

Kiedy Medivh odezwał się wreszcie, w jego głębokim głosie brzmiało rozbawienie:

– A zatem – rzekł, nieświadom, że trzyma w dłoni płonąca przyszłość Khadgara – wygląda na to, że nasz młody szpieg wreszcie przybył.

## Rozdział 2

# Rozmowa z magiem

Czy coś się stało? – spytał Medivh, a Khadgar poczuł, że mag znów się w niego wpatruje. Ponownie czuł się jak chrabąszcz, ale tym razem jak chrabąszcz, który nieświadomie wszedł na biurko zbieracza owadów. Płomienie pochłonęły już połowę listu polecającego, a woskowa pieczęć zaczęła się topić, kapiąc na kamienną podłogę obserwatorium.

Khadgar miał świadomość, że jego oczy są rozszerzone, twarz blada, bezkrwista, a usta szeroko otwarte. Próbował zmusić się do wypuszczenia powietrza z płuc, lecz udało mu się tylko wydać z siebie zduszony syk.

Ciemne, ciężkie brwi przybrały speszony wyraz.

– Jesteś chory? Moroes, czy ten chłopak jest chory?

– Raczej zdyszany – odpowiedział spokojnym tonem służący. – To długa wspinaczka.

W końcu Khadgarowi udało się zebrać w sobie na tyle, by wydusić z siebie:

– List!

– Ach – stwierdził Medivh. – Tak. Dziękuję, niemal zapomniałem. – Mag podszedł do piecyka i upuścił płonący pergamin na szczyt sterty węgla. Błękitny płomień uniósł się niemal na wysokość ramienia, po czym zmniejszył do normalnie wyglądającego ognia, który napełnił komnatę

ciepłym, czerwonym blaskiem. Po liście polecającym, pergaminie i szkarłatnej pieczęci ozdobionej symbolem Kirin Tor nie pozostało ani śladu.

– Ale nie czytałeś go! – powiedział Khadgar, po czym zauważył swoją pomyłkę. – To znaczy, panie, z całym szacunkiem...

Mistrz zaśmiał się i usiadł na dużym krześle wykonanym z płótna i ciemnego, rzeźbionego drewna. Piecyk oświetlał jego twarz, ukazując głębokie linie tworzące uśmiech. Mimo to Khadgar nie potrafił się uspokoić. Medivh pochylił się do przodu na krześle i zaczął mówić.

– „O wielki i szanowny magu Medivhie, mistrzu magów z Karazhanu, przynoszę ci pozdrowienia z Kirin Tor, najbardziej uczonej i wpływowej z akademii magii, gildii i stowarzyszeń, skupiającej największych nauczycieli, uczonych i odkrywców tajemnic.” Jak sobie radzę?

– Nie jestem w stanie tego powiedzieć – odrzekł Khadgar. – Nakazano mi...

– ... nie otwierać listu – dokończył Medivh. – Ale i tak to zrobiłeś.

Mag podniósł wzrok, by przyjrzeć się młodemu mężczyźnie, a Khadgar poczuł, że nie może oddychać. Coś migotało w oczach Medivha i młodzieniec zaczął zastanawiać się, czy mistrz ma moc rzucania zaklęć tak, by nikt tego nie zauważył.

Khadgar powoli pokiwał głową, przygotowując się na reakcję maga.

Medivh zaśmiał się głośno.

– Kiedy?

– Podczas... podróży z Lordaeronu do Kul Tiras – odpowiedział Khadgar, nie wiedząc, czy to, co powie, rozbawi, czy też zirytuje jego potencjalnego mentora. – Przez dwa dni trzymała nas cisza morska i...

– ... ciekawość wygrała – ponownie dokończył Medivh. Mężczyzna uśmiechnął się, ukazując piękne białe zęby pod siwiejącą brodą. – Ja

pewnie otworzyłbym go, kiedy tylko znalazłbym się poza zasięgiem wzroku Fioletowej Cytadeli.

Khadgar odetchnął głęboko i powiedział:

– Zastanawiałem się nad tym, ale uznałem, że mają działające zaklęcia obserwacji, przynajmniej w takiej odległości.

– I chciałeś być na tyle daleko, by nie dotarło do ciebie żadne zaklęcie lub list nakazujące ci wrócić za otwarcie listu. Potem zaś połatałeś pieczęć na tyle dobrze, by nie dało się tego zauważyć na pierwszy rzut oka, pewien, że od razu przełamie pieczęć i nic nie spostrzegę. – Medivh znów pozwolił sobie na śmiech, potem jednak jego twarz ściągnęła się w wyrazie skupienia. – Jak to zrobiłem? – spytał.

Khadgar zamrugął.

– Co zrobiłeś, panie?

– Wiedziałem, co jest w liście? – powiedział Medivh, a kąciki jego ust zaczęły opadać. – W liście, który właśnie spaliłem, napisano, że młody Khadgar na pewno zadziwi mnie swoimi zdolnościami dedukcji i inteligencją. Zadziw mnie.

Khadgar spojrział na Medivha i odkrył, że jowialny uśmiech sprzed kilku chwil zupełnie znikł. Twarz należała teraz do prymitywnego kamiennego boga, surowego i nieprzebaczącego. Oczy, wcześniej pełne rozbawienia, teraz wydawały się z trudem skrywać wściekłość. Brwi uniosły się niczym pierwsza chmura nadchodzącej burzy.

Khadgar przez chwilę jąkał się, po czym stwierdził:

– Czytałeś w moich myślach.

– Możliwe – odpowiedział Medivh. – Ale odpowiedź niepoprawna. Teraz jesteś kłębkim nerwów, a to utrudnia czytanie w myślach. Jeden błąd.

– Już dostawałeś takie listy – stwierdził Khadgar. – Od Kirin Tor. Wiesz, w jaki sposób pisana jest taka korespondencja.

– Również możliwe – powiedział mistrz. – Gdyż rzeczywiście otrzymywałem takie listy, a ich ton zwykle był arogancki i pełen samozadowolenia. Ale ty znasz dokładne sformułowania tak samo jak ja. Dobra próba i najbardziej prawdopodobne rozwiązanie, ale też niepoprawne. Dwa błędy.

Khadgar zacisnął wargi. Jego myśli pędziły, a serce waliło w piersiach.

– Współodczuwanie – powiedział w końcu.

Oczy Medivha pozostały niemożliwe do odczytania, a jego głos spokojny.

– Wyjaśnij.

Khadgar odetchnął głęboko.

– Jedno z praw magii. Kiedy ktoś używa jakiegoś przedmiotu, pozostawia na nim część własnej magicznej aury lub wibracji. Ponieważ każdy ma inną aurę, można dotrzeć do jednego poprzez wpływ na drugie. W ten sposób kosmyk włosów można wykorzystać w miłosnym uroku, zaś poprzez monetę dotrzeć do jej pierwotnego właściciela.

Oczy Medivha zwięziły się nieco. Mag przeciągnął placem po zaroście na brodzie.

– Mów dalej.

Khadgar milczał przez chwilę, czując na sobie ciężar spojrzenia Medivha. Tyle wiedział z wykładów. Już znalazł się w połowie drogi do celu. Ale jak Medivh wykorzystał to, żeby domyślić się...

– Im dłużej i częściej ktoś używa danego przedmiotu, tym silniejszy jest rezonans – powiedział szybko Khadgar. – Dlatego też przedmiot, który jest często wykorzystywany lub traktowany z uwagą, będzie wykazywał silniejsze współodczuwanie. – Mówił coraz szybciej i bez wahań. – Dlatego

też dokument, który ktoś napisał, ma silniejszą aurę niż czysty arkusz pergaminu, a skryba koncentruje się na tym, co pisze, więc... – Khadgar na chwilę skupił się na swoich myślach. – Czytałeś w myślach, ale nie w moich... w myślach skryby, który napisał list, w chwili, kiedy go pisał... a myśli te powtarzały słowa listu.

– I nie musiałem nawet fizycznie otwierać dokumentu – stwierdził Medivh, a w jego oczach znów tańczyło światło. – W jaki sposób ta sztuczka może być użyteczna dla uczonego?

Khadgar zamrugnął i odwrócił się od mistrza maga, próbując uniknąć jego świdrującego spojrzenia.

– Można czytać książki bez potrzeby czytania książek.

– Bardzo użyteczne dla badacza – skomentował Medivh. – Należysz do wspólnoty uczonych. Czemu tego nie robicie?

– Ponieważ... ponieważ... – Khadgar pomyślał o starym Korriganie, który w bibliotece umiał znaleźć wszystko, nawet najmniejszą notatkę na marginesie. – Myślę, że to robimy, ale tylko najstarsi członkowie rady.

Medivh pokiwał głową.

– A tak się dzieje dlatego...

Khadgar zastanowił się przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

– Komu chciałoby się pisać, gdyby każdą wiedzę można było wyssać przez sztuczkę umysłową i wybuch magii? – zasugerował Medivh. Uśmiechnął się, a wtedy Khadgar uświadomił sobie, że przez ten cały czas wstrzymywał oddech. – Niezły jesteś. Całkiem niezły. Znasz przeciwzakłęcia?

– Do piątego poziomu – odpowiedział Khadgar.

– Umiesz posłać duchowy pocisk? – spytał szybko Medivh.

– Jeden albo dwa, ale to wyczerpujące – odpowiedział młody mężczyzna, nagle czując, że rozmowa znów nabrała poważnego charakteru.



– Twój podstawowy żywioł?

– Jestem najsilniejszy w ogniu, ale znam je wszystkie.

– Magia natury? – spytał Medivh. – Dojrzewanie, przerywanie, zbieranie? Czy potrafisz wziąć nasienie i wyciągać z niego młodość, aż stanie się kwiatem?

– Nie, panie. Uczono mnie w mieście.

– Czy umiesz stworzyć homunkulusa?

– Doktryna jest temu przeciwna, ale rozumiem zasady, jakie tym żądzą

– odpowiedział Khadgar. – Jeśli jesteś ciekaw...

Oczy Medivha rozświeciły się na chwilę. Mag pytał dalej:

– Przyplłynąłeś tu z Lordaeronu? Na jakim typie statku?

Khadgar przez chwilę czuł się wytrącony z równowagi przez nagłą zmianę tematu rozmowy.

– Tak. Eee... tirasjański kliper, *Szlachetna bryza* – odpowiedział.

– Z Kul Tiras – powtórzył Medivh. – Ludzka załoga?

– Tak.

– Rozmawiałeś choć raz z załogą?

Khadgar znów czuł, że rozmowa zaczyna się zmieniać w przesłuchanie.

– Trochę – odpowiedział. – Myślę, że bawił ich mój akcent.

– Załogi statków z Kul Tiras bardzo łatwo rozbawić – skomentował Medivh. – Jacyś nieładzie w załodze?

– Nie, panie – odpowiedział Khadgar. – Tirasjanie opowiadali historie o ludziach – rybaczach. Nazywali ich Murlokami. Czy oni istnieją?

– Tak – odpowiedział mag. – Jakie inne rasy spotkałeś? Inne niż odmiany rasy ludzkiej.

– Do Dalaranu przybyły kiedyś gnomy – odpowiedział młodzieniec. – Poznałem też krasnoludzkich rzemieślników w Fioletowej Cytadeli. Z legend znam smoki. W jednej z akademii widziałem raz czaszkę smoka.

– A co z trollami czy goblinami? – spytał Medivh.

– Trolle – powiedział Khadgar. – Cztery znane odmiany trolli. Może być piąta.

– Tego pewnie uczy was ta miernota Alonda – mruknął Medivh, ale gestem kazał Khadgarowi mówić dalej.

– Trolle są dzikie i większe od ludzi. Bardzo wysokie i żylaste, rysy twarzy wydłużone. Eee...– Zastanowił się przez chwilę. – Organizacja plemienna, Żyją w przeważającej większości z dala od cywilizowanych krain, w Lordaeronie właściwie wyginęły.

– Gobliny?

– Dużo mniejsze, prawie rozmiarów krasnoludów. Równie pomysłowe, co one, ale w bardziej niszczycielski sposób. Nie znają strachu. Czytałem, że jako rasa są szalone.

– Tylko te inteligentne – wtrącił Medivh. – Wiesz coś o demonach?

– Oczywiście, panie – odpowiedział szybko Medivh. – To znaczy z legend, panie. I poznałem wszystkie odpowiednie zaklęcia odpędzające i ochronne. Wszyscy magowie z Dalaranu poznają je już na samym początku nauki.

– Ale nigdy żadnego nie wzywałeś – stwierdził Medivh. – Ani nie byłeś świadkiem, jak wzywał je ktoś inny.

Khadgar zamrugał, zastanawiając się, czy nie jest to podchwytliwe pytanie.

– Nie, panie. Nawet o tym nie pomyślałem.

– Nie wątpię – odpowiedział mag z ledwo wyczuwalną nutą sarkazmu w głosie. – To znaczy, że o tym nawet nie myślałeś. Wiesz, kim jest strażnik?

– Strażnik? – Khadgar poczuł, że rozmowa znów niespodziewanie zmienia tor. – Wartownik? Stróż? Może inna rasa? Może to jakiś rodzaj

potwora? Może ktoś, kto chroni przed potworami?

Medivh uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie martw się. Wcale nie spodziewałem się, że będziesz wiedział. To część zagadki. – Potem podniósł wzrok i spytał: – Cóż więc wiesz o mnie?

Khadgar rzucił okiem w stronę kasztelana Moroesa i nagle uświadomił sobie, że służący znikł, rozpląnął się w cieniach. Młody mężczyzna zaczął się jękać.

– Magowie z Kirin Tor darzą cię ogromnym szacunkiem – wydusił w końcu z siebie dyplomatyczne stwierdzenie.

– Oczywiście – odpowiedział szorstko Medivh.

– Jesteś potężnym niezależnym magiem, ponoć doradcą króla Llane’a z Azeroth.

– Cofamy się – stwierdził Medivh, kiwając głową.

– Poza tym... – Khadgar zawahał się, zastanawiając się, czy mag rzeczywiście mógł czytać w jego myślach.

– Tak?

– Nic szczególnego, co uzasadniałoby ogromny szacunek... – stwierdził Khadgar.

– I strach – wtrącił Medivh.

– I zazdrość – dokończył Khadgar, czując się nagle jak na przesłuchaniu, niepewny, jak powinien odpowiedzieć. Dodał szybko: – Nic szczególnego, co mogłoby uzasadnić ogromny szacunek, jakim darzy cię Kirin Tor.

– Tak właśnie powinno być – stwierdził cierpko Medivh, zacierając ręce nad piecykiem. – Tak właśnie powinno być. – Khadgar nie miał pojęcia, jakim sposobem magowi mogło być zimno. Sam czuł, jak po plecach spływają mu strumyczki potu.

W końcu Medivh podniósł wzrok, a w jego oczach Khadgar znów widział gotującą się burzę.

– Ale co wiesz o mnie?

– Nic, panie – odrzekł Khadgar.

– Nic? – Podniesiony głos Medivha zdawał się odbijać echem w całym obserwatorium. – Nic? Przebyłeś całą tę drogę po nic? Nawet nie chciało ci się sprawdzić? Może byłem tylko wymówką, żeby twoi nauczyciele mogli się ciebie pozbyć, mając nadzieję, że zginiesz po drodze? Nie po raz pierwszy próbowaliby czegoś takiego.

– Nie było zbyt wiele do sprawdzania. Nie dokonałeś tak znów dużo – odpowiedział gwałtownie Khadgar, po czym odetchnął głęboko, gdyż uświadomił sobie, z kim rozmawia i co właśnie powiedział. – To znaczy, nie tak dużo udało mi się odnaleźć, to znaczy...

Oczekiwał wybuchu wściekłości starszego maga, lecz Medivh tylko się zaśmiał.

– A co udało ci się odnaleźć? – spytał.

Khadgar westchnął i zaczął mówić.

– Pochodzisz z rodu czarodziejów. Twoim ojcem był mag z Azeroth, niejaki Nielas Aran. Twoją matką była Aegwynn, co najprawdopodobniej jest nie imieniem, lecz tytułem, i to mającym ponad osiemset lat. Dorastałeś w Azeroth, od dziecka znasz króla Llane'a i lorda Lothara. Poza tym... – Khadgar zamilkł. – Nic.

Medivh wpatrzył się w piecyk i pokiwał głową.

– Cóż, to już coś. Więcej, niż udałoby się dowiedzieć większości ludzi.

– A twoje imię znaczy „Powiernik tajemnic” – dodał Khadgar. – W języku wysokich elfów. Tego też się dowiedziałem.

– Wszystko to prawda – powiedział Medivh ze zmęczeniem w głosie. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ogień. – Aegwynn to nie tytuł –

powiedział w końcu. – To tylko imię mojej matki.

– W takim razie było więcej Aegwynn, najprawdopodobniej jest to nie imię, lecz nazwisko rodowe – zasugerował Khadgar.

– Tylko jedna – stwierdził poważnie Medivh.

Khadgar zachichotał nerwowo.

– Ale to by znaczyło, że miała...

– Ponad siedemset pięćdziesiąt lat, kiedy się urodziłem – powiedział Medivh z zaskakującym prychnięciem. – Jest o wiele starsza. Byłem późnym dzieckiem, co może być jednym z powodów, dla których Kirin Tor interesuje się zawartością mojej biblioteki. I po to cię właśnie tu przysłali.

– Panie – odezwał się Khadgar, najpoważniej jak potrafił. – Szczerze mówiąc, każdy mag z Kirin Tor poza tymi największymi pragnie, bym dowiedział się czegoś od ciebie. Spełnię ich prośby najlepiej, jak potrafię, ale jeśli istnieje coś, co chcesz pozostawić w tajemnicy i ukryciu, w zupełności rozumiem...

– Gdybym tak uważał, nie przedostałbyś się na drugą stronę lasu – odpowiedział Medivh nagle poważnym tonem. – Potrzebuję kogoś do uporządkowania i skatalogowania biblioteki, potem zabierzemy się za laboratoria alchemiczne. Tak, poradysz sobie. Widzisz, ja znam znaczenie twojego imienia, tak jak ty znasz mojego. Moroes!

– Tutaj, panie – powiedział służący, nagle wyłaniając się z cieni. Khadgar wbrew sobie aż podskoczył.

– Zabierz chłopaka do jego komnat i upewnij się, że dostanie coś do jedzenia. To był dla niego długi dzień.

– Oczywiście, panie – odpowiedział Moroes.

– Jedno pytanie, panie – odezwał się Khadgar, po czym zreflektował się. – To znaczy lordzie magu.

– Mów mi Medivh. Odpowiadam także na „Powiernik tajemnic” i kilka innych imion, z których nie wszystkie są znane.

– Co miałeś na myśli, kiedy powiedziałaś, że znasz znaczenie mojego imienia? – spytał Khadgar.

Medivh uśmiechnął się, a komnata nagle zaczęła wyglądać ciepło i przytulnie.

– Nie znasz krasnoludzkiego – stwierdził.

Khadgar potrząsnął głową.

– Moje imię znaczy „Powiernik tajemnic” w języku wysokich elfów. Twoje znaczy „Zaufanie” w języku krasnoludów. Będę więc cię trzymał za imię, młody Khadgarze. Zaufanie.

Moroes odprowadził młodzieńca do komnat w połowie wysokości wieży, przez całą drogę tłumacząc mu swoim dziwnym, niesamowitym głosem różne sprawy. Posiłki w wieży Medivha były raczej proste – owsianka i kiełbaski na śniadanie, zimny lunch i duża, solidna kolacja, zwykle potrawka lub pieczeń z warzywami. Kucharka po wieczornym posiłku udawała się na spoczynek, ale w spiżarni zawsze pozostawały jakieś resztki. Medivh pracował w porach, które łagodnie można określić jako różnorodne, a Moroës i kucharka nauczyli się już, jak mu dogodzić bez zbytniego wysiłku ze swej strony.

Moroës poinformował Khadgara, że jako pomocnik, a nie służący, nie będzie miał tego luksusu. Oczekiwano od niego, że będzie gotów pomóc mistrzowi w każdej chwili, kiedy ten uzna to za stosowne.

– Spodziewałem się takich obowiązków ucznia – odpowiedział Khadgar.

Moroës obrócił się wpół kroku (szli właśnie galerią, która wychodziła na pomieszczenie wyglądające na pokój przyjęć lub salę balową).

– Jeszcze nie jesteś uczniem, chłopcze – wysapał Moroos. – Jeszcze długo nie.

– Ale Medivh powiedział...

– Możesz uporządkować bibliotekę – powiedział Moroos. – To praca pomocnika, nie ucznia. Inni byli pomocnikami. Żaden nie został uczniem.

Khadgar zmarszczył czoło. Na twarzy poczuł ciepło nagłego rumieńca. Nie spodziewał się, że w hierarchii magów jest jeszcze jeden stopień przed uczniem.

– Jak długo, zanim...

– Nie mogę ci powiedzieć – wydyszał służący. – Żaden nie doszedł tak daleko.

Khadgarowi cisnęły się na usta dwa pytania, zawahał się, po czym spytał:

– Ilu „pomocników” było przede mną?

Moroos wyjrzał poza balustradę galerii, a jego oczy zamglily się. Khadgar zastanawiał się, czy służący myśli nad odpowiedzią, czy też pytanie wytrąciło go z równowagi. W komnacie poniżej znajdował się ciężki centralnie umieszczony stół i krzesła. Wszystko wyglądało wyjątkowo porządnie, więc Khadgar uznał, że Medivh nie urządzał zbyt wielu bankietów.

– Dziesiątki – stwierdził w końcu Moroos. – Co najmniej. Większość z nich z Azeroth. Elfiątko. Nie, dwa. Ty jesteś pierwszy z Kirin Tor.

– Dziesiątki – powtórzył Khadgar. Ponuro zastanawiał się, ile razy Medivh witał kandydata na maga w swojej służbie.

Zadał drugie pytanie.

– Ile wytrzymywali?

Tym razem Moroos prychnął i stwierdził:

– Kilka dni. Czasem nawet godzin. Jeden elf nawet nie dotarł do schodów na wieżę. – Poklepał klapki po obu stronach siwej głowy. – Wiesz, widzieli różne rzeczy.

Khadgar pomyślał o postaci nad główną bramą i tylko pokiwał głową.

W końcu dotarli do komnat Khadgara, bocznego korytarza niedaleko od sali bankietowej.

– Rozpakuj się – powiedział Moroes, podając Khadgarowi latarnię. – Latryna jest na końcu korytarza. Pod łóżkiem masz nocnik. Zejdź do kuchni. Kucharka będzie miała dla ciebie coś ciepłego.

Komnata Khadgara była wąskim wycinkiem wieży i bardziej pasowałyby mnichowi medytującemu w klasztorze niż magowi. Przy jednej ścianie wąskie łóżko, przy drugiej równie wąskie biurko, a nad nim pusta półka. Stojąca szafa na ubrania. Khadgar rzucił plecak do szafy, nawet go nie otwierając, i podszedł do wąskiego okna.

Okno było długim paskiem oprawionego w ołów szkła, umieszczonym pionowo na osi pośrodku. Khadgar pchnął jedną połowę, a wtedy okno zaczęło się powoli obracać, zaś z zawiasu zaczął wyciekać gęstniejący smar.

Widziane z położonego wysoko okna otaczające wieżę zaokrąglone wzgórza zdawały się w świetle bliźniaczych księżyców szare i nagie. Patrząc z tej wysokości, Khadgar mógł stwierdzić, że wzgórza niegdyś były kraterem, zniszczonym i zerodowanym przez upływający czas. Czy z tego miejsca została wyrwana góra, niczym zepsuty ząb? A może wręcz przeciwnie, krąg wzgórz wcale się nie podniósł, lecz raczej otaczające je góry wypiętrzyły się szybciej i tylko to miejsce mocy pozostało nieporuszone?

Khadgar zaczął się zastanawiać, czy matka Medivha była tutaj, gdy ziemia wypiętrzała się, opadała lub została trafiona pociskiem z niebios.



Osiemset lat to dużo nawet dla czarodzieja. Po dwustu latach, jak uczyły stare lekcje pogładowe, większość ludzkich magów była śmiertelnie chuda i krucha. Urodzić dziecko w wieku siedmiuset pięćdziesięciu lat! Khadgar potrząsnął głową i pomyślał, że może Medivh go nabierał.

Khadgar zrzucił płaszcz i odwiedził łazienkę na końcu korytarza. Pomieszczenie było pozbawione większych wygód, lecz znajdował się w nim dzbanek z zimną wodą, miednica i porządne, czyste lustro. Khadgar rozważył wykorzystanie pomniejszego zaklęcia do podgrzania wody, lecz uznał, że jakoś to wytrzyma.

Woda była orzeźwiająca, a sam młodzieniec poczuł się lepiej, gdy założył nieco mniej zakurzone szaty – wygodną koszulę, która sięgała mu niemal do kolan, i mocne spodnie. Strój roboczy. Wyciągnął z plecaka wąski nóż do jedzenia i po chwili namysłu wsunął go za cholewę buta.

Wyszedł z powrotem na korytarz i uświadomił sobie, że nie ma bladego pojęcia, gdzie jest kuchnia. Przy stajni nie było kuchennej przybudówki, więc musiała się ona znajdować gdzieś w wieży. Prawdopodobnie na parterze lub niewiele wyżej, z pompą doprowadzającą wodę ze studni. I do tego z łatwym dostępem do sali bankietowej, nawet jeśli nie wykorzystywano jej zbyt często.

Khadgar bez trudu odnalazł galerię nad salą bankietową, lecz musiał naszukać się, nim znalazł wąskie, kręcone schody prowadzące na dół. Z samej sali bankietowej prowadziło kilka różnych wyjść. Wybrał najbardziej prawdopodobne i trafił do ślepego korytarza z wejściami do pustych komnat, podobnych do jego własnej, po obu stronach. Drugi wybrany przez niego korytarz wyglądał dokładnie tak samo.

Trzeci poprowadził młodzieńca w samo serce bitwy.

Nie spodziewał się tego. W jednej chwili schodził po niskich kamiennych schodach, zastanawiając się, czy będzie potrzebował mapy,

dzwonek albo myśliwskiego rogu do poruszania się po wieży. W następnej chwili nad jego głową otwarło się na niebo barwy świeżej krwi i otoczyli go mężczyźni w pancerzach, gotowi do bitwy.

Khadgar cofnął się, ale korytarz za jego plecami zniknął, zastąpiony przez nierówny, jałowy krajobraz, nie przypominający mu niczego, co znał. Mężczyźni krzyczeli i wskazywali na coś rękami, lecz ich głosy, mimo iż stali tuż obok Khadgara, były niewyraźne i bełkotliwe, jakby mówili do niego pod wodą.

Sen, pomyślał Khadgar. Może położył się na chwilę i przysnął, a wszystko to było koszmarem, jaki sprowadziły na niego troski i zmartwienia. Ale nie, niemal czuł na swoim ciele gorące promienie umierającego, spuchniętego słońca, jak również wietrzyk i słyszał krzyżących wokół mężczyzn.

Zdawało mu się, że został oderwany od reszty świata, zajmował swą własną, małą wyspę, słabo połączoną z rzeczywistością wokół niego. Zupełnie jakby stał się duchem.

Rzeczywiście, żołnierze ignorowali go, jakby był widmem. Khadgar próbował chwycić jednego z mężczyzn za ramię i ku jego uldze dłoń nie przeszła przez zniszczony naramiennik. Czuł opór, lecz miał on bezcielesny charakter – czuł materialność zbroi, a kiedy się skoncentrował, również ostre krawędzie metalu.

Ci mężczyźni walczyli, uświadomił sobie Khadgar, niedawno i na serio. Najwyżej jeden na trzech nie miał na sobie prymitywnego bandaża, okrwawionych wojennych wstęg wystających spod brudnych pancerzy i podniszczonych hełmów. Ich broń była wyszczerbiona i pokryta wyschniętą czerwienią. Spadł na pole walki.

Khadgar rozejrzył się wokół. Znajdowali się na szczycie niedużego pagórka, właściwie fałdy w falujących równinach, które ich otaczały.

Rzadka roślinność została wyrębana i uformowano z niej prymitywne umocnienia, strzeżone teraz przez mężczyzn o zaciętych twarzach. Nie była to bezpieczna forteca, zamek czy fort. Zdecydowali się walczyć w tym miejscu tylko dlatego, że nie mieli innego wyjścia.

Żołnierze rozdzielili się, gdy ich przywódca, potężny, barczysty mężczyzna o białej brodzie, przepchnął się przez nich. Jego pancerz był równie podniszczony, co u pozostałych, lecz składał się z napierśnika nałożonego na szkarłatne szaty uczonego, które pasowałyby do korytarzy Kirin Tor. Rąbek, rękawy i gors szaty ozdobione były runami mocy. Niektóre z nich Khadgar znał, inne były mu zupełnie obce. Śnieżnobiała broda przywódcy sięgała mu niemal do pasa, zasłaniając pancerz. Mężczyzna nosił też czerwoną czapkę ze złotym klejnotem na czole. W jednej dłoni trzymał laskę z klejnotem na czubku, a w drugiej ciemnoczerwony miecz.

Przywódca wrzeszczał na żołnierzy, a jego głos przypominał Khadgarowi szalejące morze. Wojownicy zdawali się rozumieć, co mówi, gdyż ustawili się równo przy barykadach, a inni wypełnili przerwy w szeregach.

Siwobrody dowódca otarł się o Khadgara, a wtedy młodzieniec wbrew sobie cofnął się. Dowódca nie powinien był go zauważyć, podobnie jak okrwawieni wojownicy.

A jednak mężczyzna go widział. Jego głos na chwilę się załamał, zająknął się. Mężczyzna źle postawił stopę na nierównej ziemi i niemal się potknął. Potem odwrócił się i spojrzał na Khadgara.

Tak, przyglądał się Khadgarowi i kandydat na ucznia miał pewność, że stary mag-wojownik widzi go, i to wyraźnie. Dowódca popatrzył głęboko w oczy Khadgara, a wtedy młodzieniec poczuł się przez chwilę jak

wcześniej pod spojrzeniem Medivha. To jednak wydawało się jeszcze intensywniejsze. Khadgar spojrział w oczy dowódcy.

To, co zobaczył, sprawiło, że aż sapnął. Wbrew sobie odwrócił się i uciekł wzrokiem przed spojrzeniem maga-wojownika.

Gdy Khadgar znów podniósł wzrok, dowódca skinął głową. Było to krótkie, niemal lekceważące kiwnięcie, do tego mężczyzna zacisnął wargi. Potem siwobrody przywódca ruszył dalej, wrzeszcząc na wojowników, kaząc im się bronić.

Khadgar chciał ruszyć za nim, dogonić go i dowiedzieć się, dlaczego może go widzieć, podczas gdy inni nie, i co mógłby mu powiedzieć, ale wówczas wokół niego rozległ się niewyraźny krzyk mężczyzn po raz ostatni wezwanych do ataku. Miecze i włócznie uniesiono do nieba o barwie zgęstniałej krwi, a ramiona skierowano w stronę pobliskich grzbietów, gdzie po ostatniej powodzi pozostały ślady fioletu na tle rudej ziemi.

Khadgar spojrział w stronę, w którą wskazywali wojownicy, i ujrzał falę zieleni i czerni przelewającą się przez najbliższy grzbiet. Pomyślał, że to rzeka albo wywołana przez magię, wielobarwna lawina błota, lecz zaraz uświadomił sobie, że to zbliżająca się armia. Czerń była barwą ich zbroi, a zieleń ich ciał.

Były to istoty jak z najgorszych koszmarów, kpina z ludzkiej postaci. Najważniejszym elementem ich zielonych twarzy były potężne szczęki z wielkimi kłami. Nosy miały płaskie i ruchliwe jak u psów, a oczy małe, krwawe, przepełnione nienawiścią. Ich czarna broń i pancerze świeciły w blasku umierającego słońca tego świata, a gdy wyszły na grzbiet, wydały z siebie ryk, od którego aż zatrzęsała się ziemia.

Żołnierze wokół niego sami zaczęli krzyczeć, a gdy zielone stwory zbliżyły się, zaczęli wypuszczać salwę po salwie czerwonych strzał.

Pierwsza linia potwornych istot potknęła się i upadła, by natychmiast zostać zdeptaną przez tych, którzy szli za nimi. Kolejna salwa i upadła kolejna linia potworów, jednak nie miało to zbyt wielkiego znaczenia, gdyż za nimi podążała cała fala.

Na prawo od Khadgara coś zamigotało, gdy po ziemi zatańczyły błyskawice, a potwory wrzasnęły, gdy ciało spłynęło z ich kości. Khadgar pomyślał o magu-wojowniku, ale jednocześnie uświadomił sobie, że pociski tylko w niewielkim stopniu przerzedzają atakujące hordy.

Nagle zielone potwory opadły na wojowników, fala hebanu i jadeitu uderzyła o prymitywną palisadę. Powalone drzewa były niczym gałązki na drodze nadchodzącej burzy i Khadgar ujrzał, jak cienka linia obrony się cofa. Jeden z żołnierzy obok niego upadł, przebity przez wielki, ciemny oszczep. Na miejscu wojownika znalazł się koszmar w czarnej zbroi, który z rykiem rzucił się w jego stronę.

Wbrew sobie Khadgar cofnął się o dwa kroki, a potem rzucił do ucieczki.

I niemal zderzył się z Moroesem, który stał w łukowatym przejściu.

– Zaczynałeś – wydyszał powoli Moroes – się spóźnić. Mogłeś się zgubić.

Khadgar znów obrócił się na pięcie i nie ujrzał za swoimi plecami świata ze szkarłatnym niebem i zielonymi potworami, lecz opuszczony salon z pustym kominkiem i krzesłami okrytymi pokrowcami. Powietrze pachniało niedawno poruszonym kurzem.

– Byłem – wysapał Khadgar. – Byłem... byłem...

– Przeniesiony? – zasugerował Moroes.

Khadgar przełknął ślinę, rozejrzał się i bez słowa pokiwał głową.

– Późna kolacja jest gotowa – jęknął Moroes. – Nie daj się znowu przenieść.

Z tymi słowami służący odwrócił się i cicho wyszedł z komnaty.

Khadgar ostatni raz rozejrzał się po ślepym korytarzu, do którego trafił. Nie było tam tajemnych przejść ani magicznych portali. Wizja (jeśli to była wizja) skończyła się równie nagle, jak się zaczęła.

Żadnych wojowników. Żadnych zielonych ciał. Żadnej armii bliskiej upadkowi. Pozostało tylko wspomnienie, które przerażało Khadgara do szpiku kości. Było prawdziwe. Zdawało się rzeczywiste. Zdawało się prawdziwe.

Nie przerażyły go ani potwory, ani rozlew krwi. To mag–wojownik, białobrody dowódca, który był go w stanie zobaczyć. Który zdawał się zaglądać mu do samego serca i widzieć jego braki.

I, co najgorsze, białobrody mężczyzna w szatach maga i zbroi miał oczy Khadgara. Twarz była postarzała, włosy siwe, zachowanie pewne siebie, a jednak dowódca miał oczy, które Khadgar zaledwie kilka chwil (żywotów?) temu widział w lustrze.

Khadgar opuścił salon i zaczął się zastanawiać, czy jeszcze nie za późno na odpowiednie klapki na oczy.

## Rozdział 3

# Zapuszczanie korzeni

– Zaczniemy powoli – powiedział czarodziej siedzący po drugiej stronie stołu. – Zrób spis w bibliotece. Zastanów się, jak zamierzasz wszystko zorganizować.

Khadgar pokiwał głową znad owsianki i kiełbasek. Większość rozmowy przy śniadaniu obracała się wokół Dalaranu. Co było popularne w Dalaranie i jak wyglądała moda w Lordaeronie. Jakie tematy są powodem kłótni w korytarzach Kirin Tor. Khadgar wspomniał, że kiedy wyjeżdżał, najpopularniejszym tematem rozważań i filozoficznych dyskusji była kwestia, czy kiedy magicznie tworzy się ogień, powołuje się go do istnienia magią, czy też przyzywa z jakiegoś równoległego wymiaru.

Medivh sapnął z irytacją.

– Głupcy. Nie rozpoznaliby równoległego wymiaru, nawet gdyby podszedł do nich i ugryzł w... A co ty sądzisz?

– Sądzę... – Khadgar nagle uświadomił sobie, że znów jest sprawdzany.

– Sądzę, że może chodzić o coś zupełnie innego.

– Doskonale – stwierdził Medivh z uśmiechem. – Jeśli musisz wybierać z dwóch możliwości, zawsze wybieraj trzecią. Oczywiście miałeś zamiar powiedzieć, że kiedy tworzysz ogień, po prostu koncentrujesz wewnętrzny ogień całego otoczenia w jednym miejscu, powołując go do istnienia?

– Oczywiście – odpowiedział Khadgar, po czym dodał – gdybym się nad tym zastanowił. Przez jakiś czas. Na przykład parę lat.

– Dobrze – stwierdził Medivh, ocierając brodę serwetką. – Masz bystry umysł i szczerze się oceniasz. Zobaczymy, jak poradzisz sobie z biblioteką. Moroës wskaże ci drogę.

Biblioteka zajmowała dwa poziomy i znajdowała się w jednej trzeciej wysokości wieży. Schody w tej części wieży biegły wzdłuż jej zewnętrznego muru, pozostawiając wielką, otwartą komnatę wysoką na dwa piętra. Na drugim poziomie znajdowała się galeria w postaci platformy z kutego żelaza. Wąskie okna komnaty zasłonięto przeplatającymi się żelaznymi prętami, przez co wpadające do środka naturalne światło nie było mocniejsze niż blask bijący od przysłoniętej pochodni. Na pierwszym poziomie, na wielkich dębowych stołach, pokryte grubą warstwą kurzu kryształowe kule świeciły niebiesko-szarym blaskiem.

Sama komnata była jedną wielką katastrofą. Wszędzie walały się książki otwarte na przypadkowych stronach, na krzesła rzucono rozwinięte zwoje, a wszystkie dostępne powierzchnie pokrywała niczym liście cienka warstwa arkuszy papieru. Bardziej starożytne tomy, przykute do półek, zostały z nich zdjęte i teraz wisiały na łańcuchach niczym więźniowie w lochach.

Khadgar przyjrzał się zniszczeniom i westchnął głęboko.

– Zaczniemy powoli – powiedział.

– W ciągu godziny mogę spakować twoje rzeczy – stwierdził stojący w korytarzu Moroës. Służący nie chciał wejść do samej biblioteki.

Khadgar podniósł z podłogi kawałek pergaminu. Na jednej jego stronie znajdowało się wystosowane przez Kirin Tor żądanie odpowiedzi na najnowszą epistołę. Drugą stronę znaczyła ciemnoczerwona plama, którą Khadgar z początku uznał za krew, potem jednak rozpoznał w niej stopioną woskową pieczęć.



– Nie – odpowiedział Khadgar, poklepując sakiewkę z narzędziami skryby. – To po prostu większe wyzwanie niż się z początku spodziewałem.

– Już to słyszałem – stwierdził Moroos.

Khadgar odwrócił się, żeby na to odpowiedzieć, ale służący już zniknął.

Młodzieniec z ostrożnością włamywacza wybierał drogę w śmietniku. Wydawało się, że w bibliotece wybuchła bitwa. Grzbiety ksiąg były połamane, okładki podarte, kartki pozaginane, sygnatury zupełnie wyrwane z opraw. A to dotyczyło ksiązek, które jeszcze znajdowały się niemal w całości. Inne w ogóle zostały wyrwane z okładek, a pod kurzem na stole leżała gruba warstwa papieru i korespondencji. Niektóre listy były otwarte, lecz inne wydawały się nietknięte, a wszelkie zawarte w nich informacje kryły się za woskowymi pieczęciami.

– Mag nie potrzebuje pomocnika – mruknął Khadgar, oczyszczając kawałek blatu na końcu jednego ze stołów i wyciągając krzesło. – Potrzebuje gosposi. – Spojrzał w stronę wejścia, by upewnić się, że kasztelan rzeczywiście znikł.

Khadgar usiadł, a wtedy krzesło zaczęło się kołysać. Znów wstał i odkrył, że nierówne nogi krzesła zsunęły się z podpierającego jedną z nich grubego tomiszcza oprawionego w metal. Okładka była misternie zdobiona, a krawędzie stron pokryte srebrem.

Khadgar otworzył księgę, a gdy to zrobił, poczuł, jak coś porusza się wewnątrz woluminu, niczym kulka przesuwająca się po metalowym pręcie lub kropla rtęci płynąca przez szklaną rurkę. W grzbiecie księgi zaczęło rozwijać się coś metalowego.

Tom zaczął tykać.

Khadgar szybko zatrzasnął okładki, a wtedy księga uciszyła się z ostrym zgrzytem i trzaskiem, zaś jej mechanizm powrócił do pozycji wyjściowej. Młodzieniec ostrożnie odłożył tom na stół.

Wtedy właśnie zauważył ślady ognia na krześle, na którym siedział, i podłódze poniżej.

– Rozumiem już, dlaczego miałeś tylu pomocników – stwierdził Khadgar, wędrując powoli przez komnatę.

Sytuacja się nie poprawiła. Księgi leżały otwarte na oparciach foteli i metalowych barierkach. Im dalej wchodził w głąb pomieszczenia, tym grubsza stawała się warstwa korespondencji. Coś uwiło sobie gniazdo w rogu jednego z regałów, a gdy Khadgar ściągnął je z półki, ze środka wyleciała czaszka ryjówki, która uderzywszy o podłogę rozpadła się w pył. Wyższy poziom był właściwie magazynem, książki nie sięgały nawet półek, lecz leżały w wysokich stertach, pagórkach prowadzących do gór, a dalej do nieosiągalnych szczytów.

Khadgar zauważył jeden pusty fragment, który wyglądał, jakby ktoś rozpałił ognisko w rozpaczliwej próbie zmniejszenia ilości zgromadzonego papieru. Młodzieniec przyjrzał się bliżej i potrząsnął głową – tam paliło się coś jeszcze, gdyż widział też kawałki materiału, pewnie pochodzące z szat uczonego.

Khadgar jeszcze raz potrząsnął głową i wrócił do miejsca, gdzie zostawił swoje narzędzia skryby. Wysypał z sakiewki cienkie drewniane pióro z garścią metalowych stalówek, kamień do ostrzenia i kształtowania stalówek, nóż z elastycznym ostrzem do zdrapywania atramentu z pergaminu, blok atramentu ośmiornicy, małe naczynie do jego topienia, zestaw cienkich, płaskich kluczy, lupę i coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak metalowy świerszcz.

Podniósł świerszcza, przewrócił go na grzbiet i nakręcił go przy pomocy specjalnie ukształtowanej stalówki. Był to dar od Guzbaha z okazji ukończenia przez Khadgara pierwszego kursu dla skrybów, który niezwykle przydał mu się podczas młodzieńczych wędrówek przez korytarze Kirin

Tor. W środku kryło się proste, lecz skuteczne zaklęcie ostrzegające, jeśli w pobliżu znajdowała się pułapka.

Gdy tylko Khadgar zrobił jeden pełen obrót kluczem, metalowy świerszcz zaczął głośno piszczeć. Młodzieniec był tak zaskoczony, że niemal upuścił owada. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że urządzenie po prostu ostrzegało go przed rozmiarami możliwego niebezpieczeństwa.

Khadgar spojrział na zebrane wokół siebie woluminy i zaklął pod nosem. Wycofał się do drzwi i dokończył nakręcanie świerszcza. Potem zaniósł do drzwi pierwszą księgę, którą podniósł, tę tykającą.

Świerszcz zaświergotał cicho. Khadgar położył zabezpieczoną księgę po jednej stronie wejścia. Podniósł kolejny wolumin i przyniósł go. Świerszcz był tym razem cichy.

Khadgar wstrzymał oddech, mając tylko nadzieję, że świerszcz został zaczarowany, by wykrywać wszystkie rodzaje pułapek, magiczne i inne, po czym otworzył księgę. Był to pisany łagodną kobiecą dłonią traktat na temat polityki elfów trzysta lat temu.

Khadgar odłożył tom po drugiej stronie drzwi i wrócił po kolejną księgę.

– Znam cię – stwierdził Medivh następnego ranka znad kielbaski i owsianki.

– Khadgar, panie – odpowiedział młodzieniec.

– Nowy pomocnik – powiedział starszy mag. – Oczywiście. Wybacz mi, lecz moja pamięć nie jest już taka jak niegdyś. Obawiam się, że zbyt wiele się dzieje.

– Czy potrzebujesz w czymś pomocy, panie? – spytał Khadgar.

Mag wydawał się myśleć nad tym przez chwilę, po czym stwierdził:

– Biblioteka, Zaufanie. Jak tam biblioteka?

– Dobrze – odpowiedział Khadgar. – Bardzo dobrze. Jestem zajęty sortowaniem ksiąg i dokumentów.

– Ach, według tematu? Autora? – spytał mistrz.

*Zabójcze i nie zabójcze*, pomyślał Khadgar.

– Sądzę, że według tematu. Wiele jest anonimowych.

– Hmpf – mruknął Medivh. – Nigdy nie ufaj niczemu, na co autor nie miał odwagi zaryzykować swojej reputacji i imienia. Rób więc tak dalej. Powiedz mi, jaka jest opinia magów z Kirin Tor na temat króla Llana'a? Czy kiedykolwiek go wspominają?

Praca posuwała się powoli niczym schodzący z gór lodowiec, lecz Medivh zdawał się nie zwracać uwagi na mijający czas. W rzeczy samej, każdego ranka wydawał się lekko, lecz przyjemnie zaskoczony, że Khadgar wciąż jest z nimi i po krótkim raporcie na temat postępów kierował rozmowę w innym kierunku.

– Skoro już jesteśmy przy bibliotekach – mówił – czym się teraz zajmuje bibliotekarz Kirin Tor, Korrigan?

– Jak ludzie w Lordaeronie podchodzą do elfów? Czy za ludzkiego życia widziano tam jakieś?

– Czy po korytarzach Fioletowej Cytadeli krążą jakieś legendy o ludziach z głowami byków?

Pewnego ranka, jakiś tydzień po przybyciu Khadgara, Medivh wcale się nie pojawił.

– Wyjechał – powiedział po prostu Moroos, gdy został o to zapytany.

– Wyjechał gdzie? – spytał Khadgar.

Stary kasztelan wzruszył ramionami, a Khadgar niemal słyszał, jak jego kości uderzają o siebie.

– On takich rzeczy nie mówi.

– Co robi? – naciskał dalej Khadgar.

– On takich rzeczy nie mówi.

– Kiedy wróci?

– On takich rzeczy nie mówi.

– Zostawił mnie samego w swojej wieży? – spytał Khadgar. – Bez nadzoru, ze wszystkimi tymi tekstami o magii?

– Mogę stać ci nad głową i pilnować – zaproponował Moroos. – Jeśli tego właśnie chcesz.

Khadgar potrząsnął głową, ale zaraz się odezwał:

– Moroos?

– Tak, paniczu?

– Te wizje... – zaczął młodzieniec.

– Klapki? – zaproponował służący.

Khadgar znów potrząsnął głową.

– Czy one pokazują przyszłość, czy przeszłość?

– Obie, kiedy je zauważam, ale zwykle nie – odpowiedział Moroos. – To znaczy, nie zauważam.

– A te o przyszłości, czy zwykle się spełniają? – spytał młodzieniec.

Moroos wydał z siebie coś, co Khadgar uznał za głębokie westchnienie.

– Według moich doświadczeń tak, paniczu. W jednej z wizji kucharka zobaczyła, jak rozbijam kryształ, więc go schowała. Minęło wiele miesięcy, aż w końcu mistrz poprosił o ten właśnie kryształ. Wyjęła go z ukrycia, a ja po chwili go rozbiłem. Zupełnie niezamierzenie. – Znów westchnął. – Następnego dnia sprawiła sobie okulary z różowego kwarcu. Czy życzysz sobie coś jeszcze?

Khadgar odpowiedział, że nie, ale był zmartwiony, gdy wchodził po schodach na poziom biblioteki. W porządkowaniu biblioteki zaszedł tak daleko, jak się ważył, a nagłe zniknięcie Medivha sprawiło, że pozostał na lodzie, bez dalszych wskazówek.

Kandydat na ucznia wszedł do biblioteki. Po jednej stronie komnaty znajdowały się te woluminy (i ich pozostałości), które świerszcz uznał za „bezpieczne”, zaś drugą wypełniały (zwykle bardziej kompletne) księgi, które określił jako zabezpieczone.

Wielkie stoły pokrywała gruba warstwa luźnych kartek i nierozpieczętowanych listów, ułożonych w dwóch nie do końca regularnych stertach. Półki były zupełnie puste, a łańcuchy wisiały luźno, gdyż ich więźniowie zostali uwolnieni.

Khadgar mógł przejrzeć papiery, ale wolał uporządkować wcześniej książki. Większość z tomów była jednak niepodpisana, a jeśli tytuł mimo wszystko znajdował się na okładce, była ona tak zużyta, przetarta lub podarta, że i tak nie dało się go odczytać. Jedyńm sposobem na określenie zawartości ksiąg było ich otwarcie.

Co oczywiście sprawi, że zadziałają pułapki. Khadgar spojrział na wypalony ślad na podłodze i potrząsnął głową.

Potem zaczął szukać, najpierw wśród zabezpieczonych woluminów, potem wśród tych bez pułapek, aż w końcu znalazł to, czego szukał. Księgę oznaczoną symbolem klucza.

Była zamknięta, opasana grubą metalową obręczą zabezpieczoną zamkiem. W trakcie swoich poszukiwań Khadgar nie natrafił na klucz, co go jednak wcale nie zdziwiło, biorąc pod uwagę stan komnaty. Grzbiet księgi był mocny, a okładkę zrobiono z metalowych płyt obitych czerwoną skórą.

Khadgar wyjął z sakiewki płaskie klucze, lecz wszystkie były zbyt małe w stosunku do dużego zamka. W końcu przy pomocy noża do zdrapywania pergaminu Khadgarowi udało się przesunąć kawałek metalu w zamku. Nagrodził go satysfakcjonujący trzask otwieranego mechanizmu.

Khadgar popatrzył na leżącego na stole świerszcza, ale ten nadal milczał.

Wstrzymując oddech, młody mag otworzył ciężki tom. Poczuł kwaśną woń butwiejącego papieru.

– *O pułapkach i zamkach wszelakich* – powiedział na głos, z trudem odczytując archaiczne pismo i dziwnie brzmiące słowa. – *Traktat o naturze asekuracji.*

Khadgar podciągnął sobie krzesło (teraz nieco niższe, gdyż przypiłował trzy dłuższe nogi i w ten sposób przywrócił siedzeniu równowagę) i zaczął czytać.

Medivha nie było przez pełne dwa tygodnie, a przez ten czas Khadgar zupełnie zadomowił się w bibliotece. Każdego ranka wstawał na śniadanie, dla formalności wspominał Moroesowi o swoich postępach (przy czym kasztelan ani kucharka ani słowem nie wspomnieli, by ich to ciekawiło), po czym znikał w swojej krypcie. Przynoszono mu tam obiad i kolację. Khadgar często pracował do późnej nocy przy łagodnym niebieskawym blasku świecących kul.

Przyzwyczyił się też do natury wieży. Często zdarzało mu się natrafić na obrazy widziane samym kątem oka, mignięcie postaci w poszarpanym płaszczu, która zniknęła, gdy odwracał się w jej stronę. Niedokończone słowo unosiło się w powietrzu. Wyczuwał nagły chłód, jakby otworzono drzwi lub okno, albo nagłą zmianę ciśnienia, jakby nagle pojawiło się ukryte wejście. Czasami wieża jęczała na wietrze, gdy starożytne kamienie przesuwwały się między sobą wiele stuleci po wybudowaniu.

Powoli poznał naturę, jeśli nie dokładną zawartość, wszystkich ksiąg, które znajdowały się w bibliotece, oszukując pułapki założone na najcenniejsze z nich. W tym ostatnim przypadku dobrze przysłużyły mu się

badania. Wkrótce stał się ekspertem w oszukiwaniu mechanizmów zakłęb i pułapek mechanicznych, jak wcześniej w Dalaranie był mistrzem otwierania zamkniętych drzwi i odkrywania tajemnic. W większości przypadków haczyk polegał na tym, by przekonać mechanizm zamka (czy to magiczny, czy mechaniczny w naturze), że zamek nie został oszukany, choć w rzeczywistości tak było. Ustalenie, na co reagowała określona pułapka, czy to na zmianę ciężaru, przesunięcie kawałka metalu, czy też nawet wystawienie na słońce i świeże powietrze, oznaczało wygranie połowy bitwy.

Niektóre z ksiąg były dla Khadgara zbyt trudne, ich zamki oparły się nawet jego zmodyfikowanym wytrychom i elastycznemu nożowi. Te znalazły się na najwyższym poziomie, ale młodzieniec postanowił, że dowie się, jaka jest ich zawartość – samodzielnie, albo wyciągając informacje od Medivha.

Wątpił w to ostatnie i zastanawiał się, czy mistrz wykorzystuje bibliotekę do innych celów niż składnicę odziedziczonych tekstów i starych listów. Większość magów z Kirin Tor utrzymywała w swoich archiwach przynajmniej pozory porządku, a najcenniejsze tomy ukrywała. Medivh jednak miał wszystko w nieładzie, zupełnie jakby nie potrzebował swoich ksiąg.

*Chyba że jako test*, pomyślał Khadgar. Test, który miał odstraszyć kandydatów na uczniów.

Teraz księgi znalazły się na półkach, najcenniejsze (i niemożliwe do odczytania) zostały przymocowane do łańcuchów na górze, zaś bardziej pospolite historie wojskowości, almanachy i dzienniki ulokowano na dolnym poziomie. Tu znajdowały się też zwoje, od zupełnie przyziemnych list towarów zakupionych i sprzedanych w Stormwind po zapisy poematów



epickich. Te ostatnie były szczególnie ciekawe, gdyż kilka opisywało Aegwynn, rzekomą matkę Medivha.

*Skoro żyła ponad osiemset lat, musiała być rzeczywiście potężnym magiem*, myślał Khadgar. Więcej informacji na jej temat znajdowało się pewnie w zabezpieczonych księgach z tyłu. Póki co tomy te opierały się wszelkim zwyczajowym sposobom i próbom ominięcia zamków i pułapek, zaś świerszcz zaczynał właściwie skomleć z przerażenia, gdy Khadgar próbował je otwierać.

Poza tym młodzieniec miał sporo innej roboty z przypisywaniem luźnych fragmentów do odpowiedniej kategorii, składaniem tych ksiąg, które z biegiem czasu zostały niemal zniszczone, sortowaniem (a przynajmniej czytaniem) większości korespondencji. Część tej ostatniej była sporządzona pismem elfów, a jeszcze więcej, pochodzących z różnych źródeł, napisano szyfrem. Te ostatnie nosiły różnorodne pieczęcie – Azeroth, Khaz Modan, Lordaeron i miejsca, których Khadgar nie mógł znaleźć w atlasie. Duża grupa kontaktowała się szyfrem między sobą i z Medivhem.

Khadgar znalazł kilka starych grimuarów traktujących o kodowaniu, większość jednak dotyczyła zastępowania liter i żargonu. Nie było w nich niczego, co by przypominało używany w tych listach szyfr. Być może wykorzystywali kombinację tych metod, by stworzyć swój własny.

W efekcie tego wieczora, gdy Medivh nagle powrócił do wieży, na stole w bibliotece leżały wspomniane grimuary, jak również podręczniki języka elfów i krasnoludów.

Khadgar właściwie go nie usłyszał, lecz nagle poczuł jego obecność niczym zmianę powietrza, gdy nad pola nadciąga burza. Młody mag obrócił się na krześle i oto ujrzał Medivha. Szerokie bary maga wypełniały wejście, a jego szaty wydymały się niczym z własnej woli.

– Panie, ja... – zaczął mówić Khadgar z uśmiechem i podniósł się z krzesła. Wtedy ujrzał, że włosy mistrza są w nieładzie, a jego błyszczące zielone oczy szeroko otwarte i gniewne.

– Złodziej! – krzyknął Medivh, wskazując na Khadgara. – Intruz! – Starszy mag wskazał na młodszego i zaczął nucić obce sylaby, słowa języka nie stworzonego przez ludzkie gardła.

Wbrew sobie Khadgar podniósł rękę i narysował przed sobą ochronny symbol, równie dobrze mógł jednak zrobić nieprzyzwoity gest, gdyż jego efekt na zaklęcie Medivha byłby taki sam. Ściana zestalonego powietrza uderzyła w młodego mężczyznę, przewracając go razem z krzesłem. Grimuary i podręczniki poleciały po blacie stołu niczym żaglówki pochwycone przez nagły szkwał, a notatki odfrunęły.

Zaskoczony Khadgar poleciał do tyłu i uderzył w jeden z regałów. Mebel zaczął się kołysać i młodzieniec bał się, że się przewróci, niszcząc efekty jego długiej pracy. Całe szczęście regał wytrzymał, choć nacisk na piersi Khadgara jeszcze się zwiększył.

– Kim jesteś? – zahuczał Medivh. – Co tutaj robisz?

Walcząc z ciężarem na piersiach, młody mag wydusił z siebie:

– Khadgar – sapnął. – Pomocnik. Sprzątam bibliotekę. Twój rozkaz. – Jakąś częścią umysłu zastanawiał się, czy to dlatego Moroes mówił w taki sposób.

Medivh zamrugał na te słowa i wyprostował się jak człowiek, który właśnie obudził się z głębokiego snu. Lekko poruszył dłonią, a wtedy zestalone powietrze wyparowało. Khadgar opadł na kolana, dysząc ciężko.

Medivh podszedł do niego i pomógł mu wstać.

– Przepraszam, chłopcze – zaczął mówić. – Zapomniałem, że tu jeszcze jesteś. Założyłem, że jesteś złodziejem.

– Złodziejem, który uparł się, że komnata będzie wyglądać porządniej niż przed jego przybyciem – stwierdził Khadgar. Czuł lekki ból, kiedy oddychał.

– Tak – powiedział Medivh, rozglądając się po bibliotece i kiwając głową, mimo bałaganu, który sam stworzył. – Tak. Nie pamiętam, by ktoś wcześniej zaszedł tak daleko.

– Poukładałem według typu – wyjaśnił Khadgar, wciąż zgięty i trzymający się za kolana. – Historia, włączając w to poematy epickie, po twojej prawej. Nauki przyrodnicze po lewej. Legendy pośrodku, razem z językami i podręcznikami. Potężniejsze księgi: notatki alchemiczne, opisy zaklęć i teoria znalazły się na górze, razem z księgami, których nie udało mi się zidentyfikować, a które wydają się potężne. Sam będziesz musiał je sprawdzić.

– Tak – powiedział Medivh, ignorując młodzieńca i rozglądając się wokół. – Doskonale. Doskonała robota. Bardzo dobrze. – Rozejrzał się, jakby właśnie uświadomił sobie, gdzie jest. – Rzeczywiście bardzo dobrze. Dobrze sobie poradziłeś. A teraz chodź.

Mistrz podszedł szybko do wejścia, zatrzymał się nagle i odwrócił.

– Idziesz?

Khadgar poczuł się, jakby uderzył go kolejny duchowy pocisk.

– Idę? A gdzie idziemy?

– Na szczyt – powiedział krótko Medivh. – Chodź albo się spóźnimy. Czas jest bardzo ważny.

Jak na swój wiek, Medivh bardzo szybko wchodził po schodach, wbiegając co drugi stopień.

– Co jest na szczycie? – spytał Khadgar, doganiając starszego maga na podeście na samej górze wieży.

– Transport – powiedział krótko Medivh, po czym zawahał się chwilę. Odwrócił się na pięcie, a jego ramiona opadły. Khadgarowi zdawało się, że w oczach mężczyzny płonie ogień. – Muszę cię przeprosić. Za to, co tam się stało.

– Panie? – powiedział Khadgar, całkowicie skołowany najnowszą przemianą.

– Pamięć mam już nie tak dobrą jak kiedyś, Zaufanie – stwierdził mag.  
– Powinienem był pamiętać, że jesteś w wieży. Przy tym wszystkim założyłem, że musisz być...

– Panie? – przerwał Khadgar. – Czas jest bardzo ważny?

– Czas – powtórzył Medivh, pokiwał głową, a wtedy na jego twarz powrócił wyraz zaaferowania. – Tak, jest. Chodź, nie ociągaj się! – Z tymi słowami mężczyzna ruszył dalej, nadal wbiegając na co drugi stopień.

Khadgar uświadomił sobie, że nawiedzona wieża i zdezorganizowana biblioteka nie były jedynymi powodami, dla których uczniowie opuszczali służbę u Medivha. Pospieszył za nim.

Stary kasztelan czekał na nich w obserwatorium.

– Moroesie! – zahuczał Medivh, gdy dotarli na szczyt wieży. – J– Złoty gwizdek, jeśli łaska.

– Tak, panie – odpowiedział służący, wyciągając wąską rurkę. Na jej bokach wyrzeźbiono krasnoludzkie runy, które teraz migotały w świetle lampy. – Już sobie pozwoliłem to zrobić. Są tutaj.

– Kto? – zaczęła mówić Khadgar. Wtedy usłyszał nad głową łopotanie wielkich skrzydeł. Medivh ruszył na blanki, a młodzieniec podążył za nim.

Z nieba opadły wielkie ptaki o skrzydłach migoczących w blasku księżyca. Nie, nie ptaki, poprawił się Khadgar – gryfy. Miały ciała wielkich kotów, ale ich głowy i przednie łapy należały do orłów, a skrzydła były złote.

Medivh podał mu uzdę i wędzidło.

– Okiełznaj swojego i ruszamy.

Khadgar popatrzył na wielką bestię. Najbliższy gryf wrzasnął przenikliwie i zaczął drapać w kamienie swoimi szponiastymi łapami.

– Nigdy nie... – zaczął mówić młody mężczyzna. – Nie wiem, jak...

Medivh skrzywił się.

– Czy w Kirin Tor niczego was nie uczą? Nie mam na to czasu. – Uniósł palec i wymruczał kilka słów, po czym dotknął nim czoła Khadgara.

Khadgar zatoczył się do tyłu, krzyząc z zaskoczenia. Wydawało mu się, że dotyk starszego maga wbija mu rozpalone żelazo w mózg.

– Teraz już wiesz – stwierdził tymczasem Medivh. – Załóż mu uzdę i wędzidło, i to już.

Khadgar dotknął czoła i sapnął z zaskoczenia. Teraz rzeczywiście wiedział, jak odpowiednio okiełznać gryfa i jak na nim jeździć, zarówno z siodłem, jak i bez, na sposób krasnoludów. Wiedział, jak zakrecać, jak zmusić gryfa do unoszenia się w miejscu i, co najważniejsze, jak przygotować się do nagłego lądowania.

Okiełznał swojego gryfa, czując, jak głowa mu pulsuje, jakby umieszczona w niej nowa wiedza przepychała się z tą, którą już posiadał, o miejsce w jego czaszce.

– Gotowy? Za mną! – powiedział Medivh, wcale nie czekając na odpowiedź.

Dwa gryfy rzuciły się w niebo, wyteżając się i uderzając potężnymi skrzydłami, by się unieść. Wielkie istoty mogły zabrać na swój grzbiet krasnoludów w pancerzach, ale ludzie w szatach najwyraźniej byli blisko granicy ich możliwości.

Khadgar mistrzowsko skręcił i podążył za Medivhem, który unosił się teraz nad ciemnymi drzewami. Ból w głowie rozprzestrzenił się od

miejsca, gdzie dotknął go Medivh i teraz młodzieniec czuł, że jego czoło jest ciężkie, a myśli niewyraźne. Mimo to koncentrował się i dokładnie naśladował ruchy mistrza, jakby przez całe życie latał na gryfach.

Młody mag próbował dogonić Medivha, by spytać go, gdzie się udają i jaki jest ich cel, ale nie mógł go dopędzić. Uświadomił sobie, że nawet gdyby mu się to udało, pęd powietrza zagłuszyłby wszystko prócz najgłośniejszych wrzasków. Podążył więc za mistrzem na wschód, w stronę wznoszących się przed nimi gór.

Khadgar nie miał pojęcia, jak długo mogli lecieć. Mógł nawet na chwilę przysnąć na grzbiecie gryfa, lecz jego dłonie mocno trzymały wodze, a gryf trzymał się blisko swojego towarzysza. Dopiero gdy Medivh gwałtownie skręcił w prawo, Khadgar wyrwał się z drzemki (o ile w ogóle była to drzemka) i podążył za mistrzem na południe. Ból głowy, najpewniej uboczny efekt zaklęcia, znikł, pozostawiając po sobie tylko ćmienie.

Wydostali się za góry i teraz, jak uświadomił sobie Khadgar, lecieli nad równiną. Poniżej tysiące kałuż odbijało i rozbijało blask księżyca. Wielkie bagno lub mokradło, uznał Khadgar. Musiał być wczesny ranek, gdyż horyzont po ich prawej zaczął rozświećlać się obietnicą dnia.

Medivh opadł nisko i unióśł obie ręce nad głowę. Rzucił zaklęcia z grzbietu gryfa, uświadomił sobie Khadgar, i choć jego umysł upewniał go, że wie, jak to robić, że bestią kieruje się przy pomocy kolan, młodzieniec wiedział, że nigdy nie będzie się dobrze czuł podczas takiego manewru.

Stwory opadły jeszcze niżej i Medivha otoczyła nagle kula światła, która wyraźnie oblała go światłem i pokazała gryfa Khadgara jako lecący za nim cień. Poniżej, na niskim wzniesieniu wystającym z otaczających bagien, młody mag widział obóz zbrojnych. Przelecieli nisko nad obozem i teraz z dołu zaczęły dochodzić krzyki oraz brzęk pospiesznie chwytej broni i pancerza. Co ten Medivh wyprawiał?

Przelecieli nad obozowiskiem, a potem Medivh uniósł się i ostro zakręcił, zaś Khadgar podążył za nim, naśladując każdy jego ruch. Powrócili nad obóz, który teraz był o wiele lepiej oświetlony – do dogasających ognisk dorzucano drewna i teraz płonęły jasno. Khadgar ujrzał, że był to duży patrol, może nawet kompania. Namiot dowódcy był duży i zdobiony, młodzieniec widział powiewający nad nim sztandar Azeroth.

W takim razie to sojusznicy, bo czyż Medivh nie był blisko związanego z królem Llane'em z Azeroth i Lotharem, królewskim czempionem? Khadgar spodziewał się, że Medivh wyląduje, lecz mag ścisnął swojego wierzchowca kolanami i szarpnął głowę gryfa do góry. Wielkie skrzydła bestii mocno uderzały w powietrze i znów się wznieśli, tym razem kierując się na północ. Khadgar nie miał wyboru, musiał podążyć za nim. Światło Medivha zbladło i mistrz znów chwycił za wodze.

Znów znaleźli się nad bagnami, ale tym razem Khadgar ujrzał też leżącą poniżej wąską wstęgę, zbyt prostą i regularną na rzekę, zbyt szeroką na rów melioracyjny. W takim razie musiała to być droga, przebijająca bagna i łącząca kawałki suchego lądu, które wystawały z mokradeł.

Ziemia podniosła się, tworząc kolejny grzbiet, potem kolejny suchy fragment i oto ujrzeli kolejny obóz. W tym obozowisku również płonęły ognie, lecz nie były to jasne, ograniczone płomienie podsycane przez żołnierzy. Te były rozrzucone po całej polanie, a gdy się zbliżyli, Khadgar zrozumiał, że to płonące wozy, których zawartość leżała rozsypana między ciemnymi ludzkimi sylwetkami przypominającymi dziecinne lalki, leżącymi bezładnie na piaszczystej ziemi,

Podobnie jak wcześniej, Medivh przeleciał nad obozem, potem zakręcił wysoko w powietrzu, przygotowując się do drugiego przelotu. Khadgar podążył, przechylając się trochę na bok, by lepiej wszystko widzieć.

Wyglądało to jak karawana, która została złupiona i podpalona, ale wszystkie dobra zostały rzucone bezładnie na ziemię. Czy bandyci nie zabraliby łupu i wozów? Czy ktoś pozostał przy życiu?

Odpowiedź na to pytanie nadeszła szybko w postaci krzyku i salwy strzał, które wyleciały z krzaków otaczających polanę.

Prowadzący gryf wrzasnął głośno, a Medivh bez trudu ściągnął wodze, z łatwością kierując istotę z dala od deszczu strzał. Khadgar próbował zrobić to samo, a ciepłe, fałszywe, pocieszające wspomnienia mówiły mu, że tak właśnie powinno się skręcać. Ale w przeciwieństwie do Medivha Khadgar był za bardzo wysunięty do przodu i niewystarczająco mocno trzymał wodze.

Gryf zakręcił, ale to nie wystarczyło, by uniknąć wszystkich strzał. Pocisk o haczykowatym grocie przebił prawe skrzydło, a wówczas bestia wrzasnęła głośno i szarpnęła się, rozpaczliwie próbując wydostać się poza zasięg ostrzału.

Khadgar stracił równowagę i nie był w stanie nic zrobić, by wyrównać swoje położenie. W krótkiej chwili jego dłonie zsunęły się z lejców, a kolana z boków gryfa. Stwór, który przestał czuć zdecydowane opanowanie człowieka, szarpnął się, zrzucając Khadgara ze swojego grzbietu.

Khadgar wyciągnął ręce, by chwycić wodze. Rzemienie uderzyły w czubki jego palców, a potem znikły w mroku razem z jego wierzchowcem.

A Khadgar zaczął spadać w dół, w groźną ciemność.



## Rozdział 4

# Bitwa i to, co nastąpiło po niej

Uderzenie aż wycisnęło Khadgarowi powietrze z płuc. Młodzieniec czuł pod palcami chropawą ziemię i uświadomił sobie, że musiał wylądować na niskiej, piaszczystej wydmie, która zebrała się po jednej stronie grzbietu.

Młody mag podniósł się niepewnie. Z powietrza grzbiet wyglądał niczym płonący las. Z ziemi wydawał się bramą do samego piekła.

Wozy zostały niemal w całości pochłonięte przez ogień, teraz płonęła ich zawartość, rozrzucona wzdłuż grzbietu. Bele materiału leżały rozwinięte na ziemi, beczułki były popękane i przeciekały, zaś jedzenie zostało wdeptane w ziemię. Dookoła siebie widział też ciała, ludzkie ciała odziane w lekkie pancerze. Od czasu do czasu zauważał błysk miecza czy hełmu. To musieli być strażnicy karawany, którzy zawiedli.

Khadgar poruszył obolałym ramieniem, ale uznał, że jest tylko posiniaczone, nie złamane. Nawet biorąc pod uwagę piasek, powinien się bardziej poturbować. Mocno potrząsnął głową. Resztki bólu z zaklęcia Medivha były właściwie niezauważalne, gdyż stłumiły je ostrzejsze bóle w innych częściach ciała.

Wśród zniszczeń coś się poruszyło, więc Khadgar się skulił. Młodzieniec słyszał jazgotliwe głosy mówiące coś w nieznanym mu języku, który zdawał się jednocześnie gardłowy i bluźnierczy. Szukali go.

Widzieli, jak spada z wierzchowca i teraz go szukali. Na jego oczach pochylone postacie przeszukiwały resztki wozów, a gdy mijaly ogień, na jego tle ukazywały się ich garbate sylwetki.

Khadgar miał jakieś dziwne przeczucia, których jednak nie potrafił nazwać. Dlatego tylko zaczął wycofywać się z polanki, mając nadzieję, że ciemność ukryje go przed stworami.

Nie było mu to pisane. Za nim pękła gałązka, a może ciężko obuta stopa natrafiła na otwór przykryty liśćmi, lub też skórzany pancerz na chwilę zaplątał się w krzakach. Tak czy inaczej, Khadgar wiedział, że nie był sam, i dlatego odwrócił się od razu, by ujrzeć...

Potworność ze swojej wizji. Szyderstwo z ludzkiej postaci, zielone i czarne.

Nie był tak wielki, jak stwór z jego wizji, ani tak potężny, ale nadal był istotą rodem z koszmarów. Ciężka szczęka z odwróconymi do góry kłami, reszta twarzy niewielka i złowroga. Khadgar uświadomił sobie, że stwór ma wielkie, wyprostowane uszy. Pewnie usłyszał go, zanim jeszcze zobaczył.

Pancerz stwora był ciemny, lecz wykonano go ze skóry, nie z metalu, jak w jego wizji. W jednej ręce istota niosła pochodnię, która wyostrzała rysy jej twarzy, czyniąc je jeszcze bardziej potwornymi. W drugiej trzymała włócznię ozdobioną sznurem małych białych przedmiotów. Khadgar uświadomił sobie z zaskoczeniem, że są to ludzkie uszy, trofea z dokonanej tu masakry.

Wszystko to Khadgar pojął w jednej chwili, gdy zetknęli się człowiek i potwór. Bestia skierowała ohydnie ustrojoną włócznię w stronę młodzieńca i ryknęła wyzywająco.

Wyzwanie to zostało gwałtownie przerwane, gdy młody mag wymruczał słowo mocy, uniósł dłoń i wypuścił nieduży pocisk energii prosto w brzuch stwora. Bestia złożyła się wpół, a jej ryk został przerwany.

Khadgar był częściowo zaskoczony tym, co właśnie zrobił, jednocześnie jednak, dzięki wizji z Karazhanu, miał świadomość, co te stwory potrafią zdziałać.

Stwór ostrzegł innych członków oddziału, a teraz w odpowiedzi słychać było wojenne okrzyki wokół całego obozowiska. Dwie, cztery, tuzin takich potworności, a wszystkie zbliżające się w jego stronę. Co gorsza, z samego bagna dochodziły inne ryki.

Khadgar wiedział, że nie ma mocy, by odegnać je wszystkie. Wezwanie duchowego pocisku już go osłabiło. Kolejny może doprowadzić go do omdlenia. Może powinien spróbować ucieczki?

Ale te potwory najpewniej znały mroczne mokradła, które ich otaczały, lepiej niż on. Jeśli będzie się trzymać piaszczystego grzbietu, odnajdą go. Jeśli ucieknie na bagna, nawet Medivh go nie odnajdzie.

Khadgar spojrział w niebo, ale nie widział śladu ani maga, ani gryfów. Czy Medivh wylądował gdzieś, a teraz skrada się w stronę potworów? A może powrócił do ludzkiej armii na południu, by sprowadzić ją tutaj?

A może, myślał ponuro Khadgar, niestały nastrój Medivha znów się zmienił i mag zapomniał, że zabrał kogoś ze sobą na tę wyprawę?

Khadgar spojrział szybko w ciemność, a potem w miejsce zasadzki. Widział więcej cieni poruszających się wokół ogni i słyszał dalsze wycie.

Khadgar podniósł włócznię z paskudnymi trofeami i zdecydowanym krokiem podszedł w stronę ognia. Może nie być w stanie wystrzelić więcej niż jeden czy dwa duchowe pociski, ale potwory tego nie wiedzą.

Może były tak głupie, na jakie wyglądały. I równie niedoświadczone w obcowaniu z czarodziejami jak on sam.

Zaskoczył je w końcu, choć nie miało to zbyt wielkiego znaczenia. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewały, był ich cel, ofiara, którą zrzucili z

powietrznego wierzchowca, pojawiający się na krawędzi światła ogniska z włócznie jednego ze strażników w dłoni.

Khadgar rzucił włócznie do ognia, a ta, lądując, wyrzuciła w niebo fontannę iskier.

Młody mag przywołał płomyk, niedużą kulę, i trzymał ją w dłoni. Miał nadzieję, że oświetlała jego rysy w równie poważny sposób, jak pochodnia twarz strażnika. Lepiej, żeby tak było.

– Opuście to miejsce! – ryknął Khadgar, modląc się, by jego głos się nie załamał. – Opuście to miejsce albo zginiecie!

Jeden z większych potworów zrobił dwa kroki do przodu, a wtedy Khadgar wymruczał słowo mocy. Mistyczne energie zebrały się wokół jego płonącej dłoni i uderzyły potwora prosto w twarz. Bestia zdążyła tylko podnieść pazurzystą dłoń do zniszczonej twarzy, po czym się przewróciła.

– Uciekajcie! – krzyknął Khadgar, próbując nadać swojemu głosowi głębokie brzmienie. – Uciekajcie albo czeka was ten sam los! – W żołądku miał wielką kulę lodu i próbował nie patrzeć na płonącego stwora.

Z ciemności wyleciała włócznie, a wtedy Khadgar wykorzystał resztki swojej energii, by wezwać powietrze, co wystarczyło, by odepchnąć pocisk na bok. Gdy to zrobił, poczuł się słabo. Była to ostatnia rzecz, którą mógł zrobić. Czuł się całkowicie i zupełnie wyczerpany. Najwyższy czas, by jego blef zaczął działać.

Otoczające go stwory, a widział ich jakiś tuzin, zrobiły krok do tyłu, a potem następny. Jeszcze jeden krzyk, doszedł do wniosku Khadgar, a uciekną na mokradła, dając mu jednocześnie czas na oddalenie się. Już podniósł decyzję, że ruszy na południe, w stronę obozowiska armii.

Miał tego usłyszeć wysoki, szalony śmiech, który zmroził mu krew w żyłach. Zielonoskórzy wojownicy rozstąpili się, a wówczas do przodu wyszła kolejna postać. Była ona chudsza i bardziej przygięta do ziemi niż

pozostałe, nosiła też szatę o barwie zakrzepłej krwi. Barwy nieba z wizji Khadgara. Jej twarz była równie zielona i zniekształcona, co u pozostałych, ale oczy tego stwora błyszczały dziką inteligencją.

Potwór wyciągnął dłoń, wierzchem do dołu, wyjął sztylet i przebił nim rękę. W pazurzastej dłoni zebrała się krew.

Stwór w czerwonej szacie wypowiedział słowo, którego Khadgar nigdy nie słyszał, słowo, od którego bolały go uszy, a wtedy krew wybuchła płomieniem.

– Człowiek chce się bawić? – spytał potwór, naśladując ludzki język. – Chce się bawić w zaklęcia? Nothgrin umie się bawić!

– Odejdź! – spróbował powiedzieć znów Khadgar. – Odejdź albo zgiń!

Głos młodego maga zaczął się jednak załamywać, a parodia człowieka tylko się zaśmiała. Khadgar rozejrzał się po otoczeniu, szukając najlepszej drogi ucieczki i zastanawiając się, czy uda mu się pochwycić jeden z mieczy strażników, które leżały na ziemi. Zastanawiał się, czy ten Nothgrin blefuje tak samo, jak on wcześniej.

Nothgrin zrobił krok w stronę Khadgara, a wtedy dwa potwory na prawo od czarodzieja nagle wrzasnęły i wybuchły płomieniem. Wydarzyło się to z nagłością, która zaskoczyła wszystkich, włączając w to Khadgara. Nothgrin odwrócił się w stronę spopielonych stworów, a wtedy dołączyły do nich dwa kolejne, wybuchając ogniem niczym suche patyki. Te również wrzeszczały, po czym upadły na ziemię.

W miejscu, gdzie wcześniej były stwory, stał teraz Medivh. Wydawał się świecić własnym światłem, przyćmiewając blask ogniska, płonących wozów i trupów na ziemi, jakby wciągał w siebie ich światło. Wydawał się świetlisty i rozluźniony. Uśmiechnął się do zebranych stworów, a był to dziki, zwierzęcy uśmiech.

– Mój uczeń kazał wam odejść – stwierdził Medivh. – Powinniście byli wysłuchać jego rozkazów.

Jedna z bestii ryknęła, a wtedy mag–renegat uciszył ją machnięciem dłoni. Coś twardego i niewidzialnego uderzyło stwora prosto w twarz. Zabrzmiało głośnie trzask, gdy jego głowa” zerwała się z ramion i poleciała do tyłu, uderzając o ziemię na chwilę przed resztą ciała.

Pozostałe stwory zatoczyły się do tyłu o kilka kroków, po czym uciekły w noc. Tylko przywódca, Nothgrin w czerwonej szacie, stał na swoim miejscu, a jego zbyt wielka szczęka otworzyła się szeroko ze zdziwienia.

– Nothgrin zna cię, człowieku – wysyczał. – To ty...

To, co istota miała jeszcze zamiar powiedzieć, zostało zagłuszone przez wrzask, gdy Medivh machnął ręką, a potwór został uniesiony do góry w wybuchu ognia. Unosił się do góry i wrzeszczał, aż w końcu jego płuca zapadły się od ciśnienia, a resztki spalonego ciała sfrunęły na ziemię niczym czarne płatki śniegu.

Khadgar spojrział na Medivha, który uśmiechał się szeroko z zadowolenia, odsłaniając zęby. Uśmiech ten zbladł, gdy mag spojrział na poszarzałą twarz Khadgara.

– Wszystko w porządku, chłopcze? – spytał.

– Pewnie – powiedział Khadgar, czując oblewającą go falę wyczerpania. Próbował usiąść, ale po prostu opadł na kolana, a jego umysł był zmęczony i pusty.

Medivh od razu znalazł się u jego boku i położył mu dłoń na czole. Khadgar próbował odsunąć tę rękę, lecz odkrył, że nawet na to brak mu sił.

– Odpoczywaj – poradził mu Medivh. – Odzyskuj siły. Najgorsze już minęło.

Khadgar pokiwał głową i zamrugał. Popatrzył na ciała wokół ognia. Medivh mógł go spokojnie zabić tam, w bibliotece. Co go więc zatrzymało?

Jakieś wspomnienie Khadgara? Jakieś wspomnienie ludzkich uczuć?

Młody mag wydusił z siebie:

– Te stwory. – Jego głos był niewyraźny. – Co to...

– Orki – stwierdził mag. – To były orki. Na razie koniec z pytaniami.

Na wschodzie niebo zaczynało się rozjaśniać. Z południa dochodził ich głos rogów i uderzenia kopyt.

– W końcu nadjeżdża kawaleria – powiedział z westchnieniem Medivh.

– Za głośno i za późno, ale nie mów im tego. Mogą wyłapać maruderów. Teraz odpocznij.

Patrol przejechał przez obóz. Połowa żołnierzy zsiadła z koni, a reszta ruszyła dalej drogą. Konni zaczęli sprawdzać ciała. Mały oddział został wysłany do pochowania członków karawany. Te kilka martwych orków, których Medivh nie podpalił, wrzucono do ogniska. Ich ciała zwęgliły się i zmieniły w popiół.

Khadgar nie pamiętał, by Medivh go opuścił, ale nagle ujrzał, jak mag wraca z dowódcą patrolu. Dowódca był dobrze zbudowanym, starszym mężczyzną, zniszczonym przez lata walk i kampanii wojennych. W jego brodzie więcej włosów było siwych niż czarnych, a linia włosów przesunęła się daleko na tył głowy. Potężny mężczyzna wydawał się jeszcze bardziej imponujący dzięki zbroi płytowej i wielkiemu płaszczowi. Znad jego ramienia wystawała rękojeść wielkiego miecza o ogromnym, wysadzonym klejnotami jelcu.

– Khadgarze, oto lord Anduin Lothar – powiedział Medivh. – Lotharze, to mój uczeń, Khadgar z Kirin Tor.

Khadgar miał mętlik w głowie i z początku zwrócił uwagę tylko na pierwsze imię. Lord Lothar. Królewski czempion, towarzysz z dzieciństwa

króla Llane'a i Medivha. Miecz na jego plecach musiał być wielkim królewskim mieczem, zaprzysiężonym do obrony Azeroth i...

Czy Medivh właśnie nie powiedział, że Khadgar jest jego *uczniem*?

Lord Lothar uklęknął, by jego twarz znalazła się na wysokości młodzieńca i spojrział na niego z uśmiechem.

– W końcu masz więc ucznia. Musiałeś udać się do Fioletowej Cytadeli, by go sobie znaleźć, co, Medivh?

– Znaleźć ucznia o odpowiednich zaletach, owszem – odpowiedział Medivh.

– A jeśli do tego doprowadzi to miejscowych kuglarzy do szewskiej pasji, to tym lepiej, co? Nie patrz tak na mnie, Medivh. Co ten chłopak zrobił, że wywarł na tobie aż takie wrażenie?

– To samo, co zawsze – stwierdził Medivh, szczerząc się w odpowiedzi.

– Uporządkował moją bibliotekę. Ujarzmił gryfa przy pierwszej próbie. Samotnie stawiał czoła tym orkom, włącznie z warlockiem.

Lothar zagwizdał cicho.

– Uporządkował *twoją* bibliotekę? Jestem pod wrażeniem. – Pod szarymi węsami pojawił się uśmiech.

– Lordzie Lotharze – wydusił w końcu Khadgar. – Wasze umiejętności są sławne nawet w Dalaranie.

– Odpocznij, chłopcze – powiedział Lothar, kładąc na ramieniu młodego maga dłoń w ciężkiej rękawicy. – Dopadniemy resztę tych stworów.

Khadgar potrząsnął głową.

– Nie. Nie, jeśli będziecie trzymać się drogi.

Czempion zamrugał z zaskoczenia, a Khadgar nie wiedział, czy to z powodu jego arogancji, czy też słów.



– Obawiam się, że chłopak ma rację – stwierdził Medivh. – Orki ruszyły na mokradła. Wydają się znać Czarne Bagno lepiej niż my i dzięki temu są tu tak skuteczne. My trzymamy się dróg, a one mogą krążyć wokół nas.

Lothar potarł rękawicą tył głowy.

– Może moglibyśmy pożyczyć parę twoich gryfów i ruszyć na rekonesans.

– Krasnoludy, które je wyszkoliły, mogą mieć swoje zdanie na temat wypożyczenia gryfów – odpowiedział Medivh. – Ale może powinieneś z nimi porozmawiać, jak również z gnomami. Mają parę powietrznych maszyn, które mogą być bardziej przydatne do zwiadu.

Lothar pokiwał głową i potarł brodę.

– Skąd wiedziałeś, że tutaj są?

– Napotkałem jednego z ich zwiadowców niedaleko mojej dziedziny – stwierdził Medivh tak spokojnie, jakby rozmawiał o pogodzie. – Udało mi się z niego wydusić, że spora grupa przygotowuje się do ataku przy Bagiennej Drodze. Miałem nadzieję, że dotrę na czas, by ich ostrzec. – Spojrzał na otaczające ich zniszczenia.

Światło słońca niewiele poprawiło wygląd okolicy. Mniejsze ognie się wypaliły, a powietrze śmierdziało palonym mięsem orków. Nad miejscem zasadzki unosiła się blada chmura.

Podbiegł do nich młody żołnierz, niewiele starszy od Khadgara. Odnaleźli jednego ocalałego, mocno pokiereszowanego, ale żywego. Czy mag mógłby tam natychmiast przybyć?

– Zostań z chłopakiem – powiedział Medivh. – Wciąż jest trochę nieprzytomny po tym wszystkim. – Powiedziawszy to, mistrz magów przeszedł po spopielonej, zakrwawionej ziemi, a jego szaty wydymały się na wietrze niczym sztandar.

Khadgar próbował wstać i podążyć za nim, lecz czempion położył ciężką rękawicę na jego ramieniu i zatrzymał go. Khadgar przez chwilę się szamotał, po czym wrócił do pozycji siedzącej.

Lothar z uśmiechem patrzył na Khadgara.

– Staruszek w końcu znalazł sobie pomocnika.

– Ucznia – powiedział słabo Khadgar, choć czuł, że jego serce przepełnia duma. To uczucie wlało nową siłę w jego umysł i członki. – Miał wielu pomocników. Nie wytrwali zbyt długo. Tak słyszałem.

– Aha – odpowiedział Lothar. – Kilku z tych pomocników sam poleciłem, a wrócili do mnie z opowieściami o nawiedzanej wieży i szalonym, wymagającym magu. Co ty o nim sądzisz?

Khadgar zamrugał. W ciągu ostatnich dwunastu godzin Medivh zaatakował go, wepchnął mu wiedzę do głowy, przegnał przez pół kraju na grzbiecie gryfa i kazał mu stawić czoła grupie orków, zanim w końcu ruszył mu na pomoc. Z drugiej strony uczynił Khadgara swym uczniem.

Khadgar zakasłał i stwierdził:

– Jest kimś więcej, niż się spodziewałem.

Lothar znów się uśmiechnął, a w uśmiechu tym było prawdziwe ciepło.

– Jest kimś więcej, niż ktokolwiek się spodziewa. To jedna z jego zalet.

– Lothar zastanowił się przez chwilę, po czym dodał: – To była bardzo dyplomatyczna i grzeczna odpowiedź.

Khadgar uśmiechnął się słabo.

– Lordaeron to bardzo dyplomatyczny i grzeczny kraj.

– Zauważyłem to w Królewskiej Radzie. „Ambasadorzy Dalaranu potrafią powiedzieć równocześnie tak i nie, jednocześnie nie mówiąc nic.” Bez obrazy.

– Bez obrazy, panie – odpowiedział Khadgar.

Lothar spojrział na młodzieńca.

– Ile masz lat, chłopcze?

Khadgar podniósł wzrok na mężczyznę.

– Siedemnaście. Dlaczego pytacie?

Lothar potrząsnął głową i chrząknął.

– To może wiele wyjaśniać.

– Co wyjaśniać?

– Med, to znaczy lord mag Medivh, był młodym człowiekiem, kilka lat młodszym od ciebie, gdy zachorował. W efekcie nigdy właściwie nie miał do czynienia z ludźmi w twoim wieku.

– Chory? – spytał Khadgar. – Mag był chory?

– Bardzo poważnie – odpowiedział Lothar. – Zapadł w głęboki sen, nazywali to śpiączką Llane i ja trzymaliśmy go w opactwie Northshire, a tamtejsi święci braciszkanie karmili go bulionem, żeby nie umarł z wyczerpania. Leżał tak latami, a potem trzask i się obudził, zdrow jak ryba. Albo prawie.

– Prawie? – spytał Khadgar.

– Cóż, stracił większą część lat młodzieńczych i kilka dodatkowych dekad. Zasnął jako nastolatek, a obudził się dorosły. Zawsze się martwiłem, że mogło to mieć jakiś wpływ na niego.

Khadgar myślał o żywym temperamencie mistrza magów, jego gwałtownych zmianach nastroju i dziecinnej uciechy, z jaką traktował walkę z orkami. Czy gdyby Medivh był młodszym mężczyzną, jego działania miałyby większy sens?

– Jego śpiączka – mówił dalej Lothar – była nienaturalna. Med nazywa ją „drzemką”, jakby była zupełnie normalna. Ale nigdy nie dowiedzieliśmy się, czemu to się stało. Mag mógłby się tego dowiedzieć, ale nigdy się tym nie interesował, nawet gdy go o to poprosiłem.

– Jestem uczniem Medivha – powiedział po prostu Khadgar. – Czemu mi to wszystko mówicie?

Lothar westchnął głęboko i spojrzał na poznaczony śladami bitwy grzbiet. Khadgar uświadomił sobie, że królewski czempion jest w głębi duszy uczciwym osobnikiem, który nie przeżyłby półtora dnia w Dalaranie. Jego emocje wyraźnie rysowały się na poznaczonej zmarszczkami twarzy.

Lothar zagryzł wargę i powiedział:

– Szczerze mówiąc, martwię się o niego. Jest zupełnie sam w tej wieży...

– Ma kasztelana. Jest też kucharka – wtrącił Khadgar.

– ... z całą swoją magią – mówił dalej Lothar. – Wydaje się samotny. Ukryty tam, w górach. Martwię się o niego.

Khadgar pokiwał głową, a w myślach dodał, i *dlatego właśnie próbowałeś umieścić tam uczniów z Azeroth. Żeby szpiegowali twojego przyjaciela. Martwisz się o niego, ale martwisz się również o jego moc.* Na głos stwierdził:

– Martwicie się, czy z nim wszystko w porządku.

Lothar wzruszył ramionami, ukazując jednocześnie, jak bardzo się martwi i jak bardzo chciałby udawać, że jest inaczej.

– Jak mogę pomóc? – spytał Khadgar. – Pomóc jemu. Pomóc wam.

– Miej na niego oko – stwierdził Lothar. – Skoro jesteś jego uczniem, powinien spędzać z tobą więcej czasu. Nie chciałbym, żeby...

– Ponownie zapadł w śpiączkę? – zasugerował Khadgar. *W czasie, gdy orki znajdują się wszędzie wokół.*

Lothar odpowiedział mu kolejnym wzruszeniem ramion.

Khadgar uśmiechnął się najbardziej szczerze, jak potrafił.

– Będę zaszczycony, mogąc pomóc wam obu, lordzie Lotharze. Wiedźcie, że jestem lojalny przede wszystkim wobec mojego mistrza, ale

jeśli wydarzy się coś, co *przyjaciel* powinien wiedzieć, poinformuję o tym.

Kolejne klepięcie ciężką rękawicą. Khadgar był zdziwiony tym, jak źle Lothar ukrywał swoje zmartwienia. Czy wszyscy mieszkańcy Azeroth byli tak otwarci i szczerzy? Nawet teraz Khadgar widział, że Lothar chce porozmawiać jeszcze o czymś.

– Jest coś jeszcze – stwierdził Lothar.

Khadgar tylko grzecznie pokiwał głową,

– Czy lord mag mówił ci o strażniku? – spytał.

Khadgar rozważył udawanie, że wie więcej niż w rzeczywistości, by wyciągnąć jak najwięcej od tego starego, szczerego człowieka. Jednak natychmiast odrzucił ten pomysł. Lepiej trzymać się prawdy.

– Słyszałem tę nazwę z ust Medivha – odpowiedział Khadgar. – Ale zupełnie nie znam szczegółów.

– Ach – stwierdził Lothar. – W takim razie lepiej będzie, jeśli nic ci o tym nie powiem.

– Na pewno omówimy to w odpowiednim czasie – dodał Khadgar.

– Bez wątpienia – odpowiedział Lothar. – Wyglądasz na godnego zaufania.

– W końcu jestem jego uczniem od zaledwie kilku dni – stwierdził leniwie Khadgar.

Lothar uniósł brwi.

– Kilka dni? A dokładnie od jak dawna jesteś uczniem Medivha?

– Licząc do jutrzejszego świtu? – powiedział Khadgar i pozwolił sobie na uśmiech. – Dokładnie jeden.

Tę właśnie chwilę wybrał Medivh, by powrócić, a wyglądał na jeszcze bardziej wymęczonego niż wcześniej. Lothar uniósł brwi z nadzieją, lecz mag tylko potrząsnął głową. Lothar skrzywił się ponuro i po wymianie kilku grzecznościowych formułek odszedł, by nadzorować resztę

sprzątania. Połowa patrolu, która ruszyła dalej drogą, już wróciła, ale nic nie znalazła.

– Jesteś gotów do podróży? – spytał Medivh.

Khadgar podniósł się, a piaszczysty grzbiet pośrodku Czarnego Bagna zdawał się przechylać niczym statek na wzburzonym morzu.

– Wystarczająco – odpowiedział. – Nie wiem jednak, czy poradzę sobie z gryfem, nawet z... – Umilkł, ale palcem dotknął czoła.

– To nawet dobrze – stwierdził Medivh. – Twój wierzchowiec przestraszył się strzał i poleciał w stronę gór. Musimy lecieć we dwóch. – Uniósł rzeźbiony gwizdek do ust i zagwizdał na nim kilka razy. Z góry dobiegł ich wrzask gryfa, który krążył wysoko nad nimi.

Khadgar podniósł wzrok i stwierdził:

– Czyli jestem twoim uczniem.

– Tak – odpowiedział Medivh, a jego twarz była maską spokoju.

– Przeszedłem twoje próby – stwierdził młodzieniec.

– Tak – odpowiedział znów Medivh.

– Czuję się zaszczycony, panie – powiedział Khadgar.

– I dobrze – odpowiedział Medivh, a przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. – Ponieważ teraz zaczyna się najtrudniejsze.

## Rozdział 5

# Piasek w klepsydrze

Widziałem je wcześniej – powiedział Khadgar.

Od bitwy na bagnach minęło siedem dni. Po powrocie do wieży (i jednym dniu odpoczynku dla Khadgara), nauka młodego maga zaczęła się na poważnie. W pierwszej godzinie dnia, jeszcze przed śniadaniem, Khadgar ćwiczył zaklęcia pod opieką Medivha. Od śniadania do obiadu i od obiadu do kolacji młodzieniec pomagał mistrzowi w różnych zadaniach. Na to składało się notowanie, gdy Medivh czytał różne liczby, bieganie po bibliotece, by przynieść tę książkę lub tamtą, lub też po prostu trzymanie różnych narzędzi, gdy mag pracował.

To właśnie robił w tej chwili, gdy w końcu poczuł się wystarczająco dobrze w towarzystwie starszego maga, by powiedzieć mu, co wiedział o zasadzce.

– Widziałeś kogo wcześniej? – spytał w odpowiedzi jego mentor, patrząc przez szkło powiększające na obecny eksperyment. Na palcach mag miał nieduże, spiczaste napastrki zakończone nieskończone cienkimi igłami. Stroił coś, co wyglądało jak mechaniczny trzmiel, który machał ciężkimi skrzydłami, gdy dotykały go igły.

– Orki – odpowiedział Khadgar. – Już wcześniej widziałem orki, z którymi walczyliśmy.

– Nie wspominałeś o nich, gdy tu przyjechałeś – powiedział z roztargnieniem Medivh, a jego palce tańczyły z niezwykłą precyzją, wbijając igły w urządzenie i wyciągając je. – Pamiętam, że pytałem cię o inne rasy. Nie wspomniałeś o nich. Kiedy je widziałeś?

– W wizji. Wkrótce po tym, jak się tu pojawiłem – stwierdził Khadgar.

– Aha. Miałeś wizję. Cóż, wielu je tutaj ma, wiesz. Moroes pewnie ci powiedział. On jest dosyć gadatliwy, wiesz.

– Miałem jedną, może dwie. Ta, której jestem pewien, pokazywała pole bitwy, a te stwory, te orki, tam były. Atakowały nas. To znaczy, atakowały ludzi, z którymi byłem.

– Hm – powiedział Medivh, a z ust wysunął czubek języka. Delikatnie poruszał igłami wzdłuż miedzianego odwłoka trzmiela.

– A ja nie byłem tutaj – mówił dalej Khadgar. – Nie w Azeroth ani Lordaeron. Tam, gdzie się znalazłem, niebo było czerwone jak krew.

Medivh zadrzał, jakby przeszył go prąd. Skomplikowane urządzenie, nad którym pracował, zapłonęło jasno, gdy dotknął nieodpowiednich części, potem wrzasnęło i zamarło.

– Czerwone niebo? – powtórzył, odwracając się od stołu i patrząc ostro na Khadgara. Nad ciemnymi brwiami starszego mężczyzny zdawała się tańczyć energia, a jego oczy były zielone niczym wzburzone morze.

– Czerwone. Jak krew – powiedział Khadgar.

Młodzieńcowi wydawało się, że przyzwyczał się już do nagłych i gwałtownych zmian nastroju Medivha, ale ta była dla niego niczym cios.

Starszy mag syknął.

– Opowiedz mi o tym. O świecie, orkach, niebie – nakazał Medivh głosem twardym niczym kamień. – Opowiedz mi o wszystkim.

Khadgar przypomniał sobie wizję z pierwszej nocy w wieży i opowiedział wszystko, co tylko zapamiętał. Medivh ciągle przerywał – w



co ubrane były orki, jak wyglądał świat. Co było na niebie, na horyzoncie. Czy orki miały jakieś sztandary. Khadgar miał wrażenie, że jego myśli są poddawane sekcji i badane. Medivh bez trudu wyciągał z niego informacje. Młodzieniec powiedział mu o wszystkim.

O wszystkim prócz dziwnych, znajomych oczu dowódcy, wojownika–maga. Mówienie o tym wydawało mu się niestosowne, a pytania Medivha koncentrowały się raczej na świecie o czerwonym niebie i orkach niż ludzkich obrońcach. Gdy opisał wizję, starszy mag wydawał się uspokajać, lecz oczy pod gęstymi brwiami wciąż przypominały wzburzone morze. Khadgar nie widział potrzeby, by jeszcze bardziej niepokoić maga.

– Ciekawe – powiedział Medivh, powoli i z namysłem, kiedy Khadgar już skończył. Mag odchylił się do tyłu na krześle i poklepał po wargach palcem zakończonym igłą. Komnatę przepełniła cisza wisząca niczym całun. W końcu stwierdził: – Ta jest nowa, naprawdę nowa.

– Panie – zaczął mówić Khadgar.

– Medivh – przypomniał mu mistrz.

– Medivh, panie – zaczął znów mówić Khadgar. – Skąd się biorą te wizje? Czy to wspomnienia przeszłości, czy też zapowiedzi możliwej przyszłości?

– To i to – odpowiedział Medivh, odchylając się do tyłu. – I żadne z nich. Idź do kuchni i przynieś dzban wina. Obawiam się, że moja dzisiejsza praca już się skończyła, czas już prawie na kolację, a wyjaśnianie tego może zająć trochę czasu.

Nim Khadgar wrócił, Medivh zdążył zapalić ogień w kominku i już usadowił się w jednym z większych foteli. Wyjął dwa kubki. Khadgar nalał wina, a jego słodki aromat mieszał się z wonią cedrowego dymu.

– Pijesz? – spytał nagle Medivh, jakby coś mu się właśnie przypomniało.

– Trochę – odpowiedział Khadgar. – W Fioletowej Cytadeli do kolacji zwykle podaje się wino.

– Tak – stwierdził Medivh. – Nie potrzebowalibyście go, gdybyście się tylko pozbyli ołowianej obudowy akweduktu. Ale pytałeś się mnie o wizje.

– Tak, widziałem to, co ci opisałem, a Moroos... – Khadgar zawahał się przez chwilę, mając nadzieję, że jeszcze bardziej nie zepsuje reputacji kasztelana jako skłonnego do plotek, po czym postanowił mówić dalej. – Moroos powiedział, że nie jestem wyjątkiem. Że ludzie widują takie rzeczy przez cały czas.

– Moroos ma rację – stwierdził Medivh, pociągając długi łyk wina i oblizując wargi. – Późny zbiór, ma swoje lata, całkiem niezły. Nie powinno cię dziwić, że ta wieża jest miejscem mocy. Magów takie okolice zwykle przyciągają. W takich miejscach materia wszechświata się przeciera, umożliwiając mu zwijanie się, a czasem nawet pozwalając na przejście do Wirującej Nicości lub zupełnie innego świata.

– Czy w takim razie to właśnie widziałem – przerwał Khadgar – inny świat?

Medivh uniósł dłoń, by uciszyć młodego mężczyznę.

– Mówię tylko, że istnieją miejsca mocy, które z takiego czy innego powodu są obdarzone wielką potęgą. Jednym z takich miejsc jest to tutaj, w Górach Czerwonego Grzbietu. Dawno temu wybuchło tu coś potężnego, rzeźbiąc w górach dolinę i osłabiając rzeczywistość wokół.

– I dlatego właśnie je odszukałeś – odpowiedział Khadgar.

Medivh potrząsnął głową i powiedział tylko:

– To jedna z teorii.

– Powiedziałeś, że dawno temu był tu wybuch, który stworzył to miejsce i napełnił je magiczną mocą. Potem przybyłeś ty...

– Tak – odpowiedział Medivh. – To wszystko prawda, jeśli będziesz na to patrzył w sposób liniowy. Ale może wybuch wydarzył się właśnie dlatego, że ja miałem się tu w końcu pojawić i miejsce musiało być dla mnie przygotowane?

Twarz Khadgara ściągnęła się.

– Ale rzeczy tak się nie dzieją.

– W normalnym świecie nie – stwierdził Medivh. – Magia to jednak sztuka omijania tego, co normalne. Właśnie dlatego wszystkie filozoficzne debaty w Kirin Tor to tak wiele pustych słów. Oni próbują nałożyć na świat gorset racjonalności, uregulować jego działanie. Gwiazdy poruszają się po niebie w odpowiednim porządku, pory roku regularnie następują jedna po drugiej, mężczyźni i kobiety żyją i umierają. Jeśli tak się nie dzieje, jest to magia, pierwsze zniekształcenie wszechświata, kilka desek podłogi, które się wypaczyły i tylko czekają na zręczne ręce, które je wyrwą.

– Ale jeśli to się zdarzyło, żeby ta okolica była przygotowana na twoje przybycie... – zaczął mówić Khadgar.

– Świat musiałby być całkiem inny, niż się nam to wydaje – dokończył Medivh – i w rzeczy samej tak naprawdę jest. Jak działa czas?

Tym razem Khadgar nie był zaskoczony pozorną zmianą tematu przez Medivha.

– Czas?

– Używamy go, ufamy mu, mierzymy go, ale czym jest? – Medivh uśmiechał się znad kubka.

– Czas to regularnie następujące po sobie chwile. Jak piasek przepływający przez klepsydrę – stwierdził Khadgar.

– Doskonała analogia – skomentował Medivh. – Sam miałem zamiar ją wykorzystać, a potem porównać klepsydrę z mechanicznym zegarem. Widzisz różnicę między nimi?

Khadgar powoli potrząsnął głową, a Medivh sącył swoje wino.

W końcu mag odezwał się:

– Nie, nie jesteś głupi, chłopcze. To wyjątkowo trudny koncept dla umysłu. Zegar to mechaniczna symulacja czasu, a każde jego uderzenie jest kontrolowane przez poruszające się przekładnie. Patrzysz na zegar i widzisz, że wszystko porusza się, jedno przesunięcie koła zębatego po drugim. Wiesz, co będzie następane, ponieważ tak zbudował go zegarmistrz.

– No dobrze – stwierdził Khadgar. – Czas jest zegarem.

– Ach, ale czas jest również klepsydrą – powiedział starszy mag, sięgnął po klepsydrę znajdującą się na półce nad kominkiem i przekręcił ją.

Khadgar spojrział na przyrząd i próbował sobie przypomnieć, czy był on tam, gdy przyniósł wino, albo nawet zanim Medivh po niego sięgnął.

– Klepsydra również mierzy czas, prawda? – mówił dalej Medivh. – Jednak tutaj nie wiesz, które ziarenko piasku w określonej chwili przesypie się z górnej części do dolnej. Gdybyś miał ponumerować ziarenka, za każdym razem kolejność byłaby trochę inna. A jednak wynik jest zawsze taki sam: cały piasek przesypuje się z górnej połówki do dolnej. – Oczy maga zapłonęły na chwilę. – Czyli?

– Czyli – odpowiedział Khadgar – mówisz, że może nie mieć znaczenia, czy umieściłeś tu wieżę, ponieważ tę dolinę stworzył wybuch, który wykrzywił naturę rzeczywistości wokół niej, czy też wybuch zdarzył się, ponieważ ty miałeś się tu w końcu pojawić, a sam wszechświat musiał ci dać narzędzia, których potrzebowałeś.

– Blisko – skomentował Medivh.

– Czym w takim razie są te wizje? Ziarenkami piasku? – powiedział Khadgar. Medivh skrzywił się trochę, lecz młodzieniec mówił dalej. – Jeśli wieża jest klepsydrą, a nie zegarem, w takim razie są też ziarenka piasku, samego czasu, które w każdej dowolnej chwili poruszają się przez nią. Są

oderwane lub też nakładają się na siebie tak, że możemy je zobaczyć, ale niezbyt wyraźnie. Niektóre z tych drobin to przeszłość. Niektóre z nich to przyszłość. Czy część z nich może pochodzić z innych światów?

Medivh zamyślił się głęboko.

– To możliwe. Najwyższa ocena. Dobrze to wymyśliłeś. Musisz tylko pamiętać, czym są wizje. Właśnie wizjami. Pojawiają się i znikają. Gdyby wieża była zegarem, pojawiałyby się regularnie i były łatwe do wyjaśnienia. Ale ponieważ wieża jest klepsydrą, nie są. Poruszają się w swoim własnym tempie i nie pozwalają nam na wyjaśnienie ich chaotycznej natury. – Medivh oparł się na krześle. – Jeśli o mnie chodzi, jestem z tego zadowolony. Nie byłbym szczęśliwy w uporządkowanym, dobrze zaplanowanym wszechświecie.

Khadgar dodał:

– Ale czy kiedykolwiek szukałeś jakiejś szczególnej wizji? Czy nie ma sposobu na odkrycie jakiejś określonej przyszłości, a potem upewnienie się, że się wypełni?

Medivh spochmurniał.

– Albo upewnić się, że się nigdy nie wydarzy – dodał. – Nie, są rzeczy, które nawet mistrz magii szanuje i od których trzyma się z dala. To jedna z nich.

– Ale...

– Żadnych ale – powiedział Medivh, wstając i ustawiając pusty kubek na półce. – Teraz, kiedy napiłeś się trochę wina... sprawdzimy, jak wpływa to na twoje opanowanie magii. Unieś w powietrze mój kubek.

Khadgar zmarszczył czoło i uświadomił sobie, że głos ma trochę niewyraźny.

– Ale przecież piliśmy...

– Właśnie dlatego – odpowiedział mistrz. – Nigdy nie możesz mieć pewności, co piaski wszechświata rzuca ci w twarz. Możesz albo próbować być wiecznie czujnym i gotowym, odrzucając życie, jakim je znamy, lub też cieszyć się życiem i zapłacić za to cenę. Teraz spróbuj sprawić, by mój kubek zaczął lewitować.

Aż do tej chwili Khadgar nie uświadamiał sobie, jak dużo wypił, teraz zaś spróbował oczyścić swój umysł i unieść ciężki kamionkowy kubek z półki nad kominkiem.

Kilka chwil później ruszył w stronę kuchni w poszukiwaniu szczotki i szufelki.

Wieczorami, gdy Medivh zajmował się innymi sprawami, Khadgar miał czas dla siebie, na własne ćwiczenia i badania. Młodzieniec zastanawiał się, na czym polegały te inne sprawy, ale zakładał, że obejmowały między innymi korespondencję, gdyż dwa razy w tygodniu na szczycie wieży pojawiał się krasnolud na gryfie, niosący torbę. Listonosz odlatywał zawsze z jeszcze większym pakunkiem.

Medivh zezwolił młodzieńcowi na dowolne korzystanie z biblioteki. Pozwolił mu również na szukanie odpowiedzi na tysiące pytań, jakie przekazali mu jego dawni nauczyciele z Fioletowej Cytadeli.

– Żądam jedynie – stwierdził Medivh z uśmiechem – byś pokazywał mi to, co napisałeś, nim im to pošlesz. – Na twarzy Khadgara musiało malować się zawstydzenie, gdyż Medivh dodał: – Nie dlatego, bym obawiał się, że ukrywasz coś przede mną, Zaufanie, lecz dlatego, iż nie chciałbym, by oni wiedzieli o mnie coś, co zdążyłem już zapomnieć.

I tak oto Khadgar zatopił się w książkach. Dla Guzbaha znalazł starożytny zwój z poematem epickim, którego ponumerowane zwrotki szczegółowo opisywały bitwę matki Medivha, Aegwynn, z nienazwanym

demonem. Dla lady Delth przygotował listę zatechłych ksiąg opisujących elfy. A dla Alondy przebijał się przez te bestiariusze, które potrafił przeczytać, ale w żaden sposób nie mógł zwiększyć liczby gatunków trolli ponad cztery.

Khadgar spędzał wolny czas także z wytrychami i własnymi zaklęciami otwierania. Wciąż próbował poskromić te księgi, które oparły się jego wcześniejszym próbom dotarcia do ich zawartości. Te tomy zabezpieczała potężna magia i Khadgar spędzał czasem cały wieczór na wrózeniu, nim udało mu się zdobyć najmniejszą wskazówkę co do natury zaklęcia chroniącego określony wolumin.

Ostatnią kwestią był strażnik. Medivh wspomniał o nim, a lord Lothar założył, że mag opowiedział o nim młodzieńcowi i wycofał się szybko, gdy okazało się, że jest inaczej.

Zdawało się, że strażnik jest widmem, nie mniej i nie bardziej realnym niż pozaczasowe wizje wędrujące przez wieżę. W elfim tomie znajdowała się wzmianka o śmierci Strażnika (zawsze pisanego wielką literą), w historii Azeroth wspomniano o obecności strażnika na tym ślubie albo tamtym pogrzebie lub też prowadzeniu przez niego jakiegoś ataku. Zawsze obecny, lecz nigdy nie opisany dokładnie. Czy słowo „strażnik” było określeniem pełnionego stanowiska, czy też podobnie jak w przypadku rzekomo niemal nieśmiertelnej matki Medivha chodziło o jedną konkretną istotę?

Wokół tego strażnika krążyły również inne fantomy. Jakiś rodzaj zakonu, jakaś organizacja... czy strażnik był rycerzem zakonnym? Na marginesie jednego z grimuarów zapisano słowo „Tirisfal”, które potem zostało starannie wytarte. Tylko umiejętności Khadgara pozwoliły mu odczytać to, co tam napisano, dzięki śladom, jakie pióro pozostawiło na

pergaminie. Imię jednego ze strażników, nazwa organizacji, czy też coś zupełnie innego?

Tego samego wieczora, gdy Khadgar odnalazł słowo, cztery dni po wypadku z kubkiem, młodzieniec wpadł w kolejną wizję. A raczej to wizja podkraǳła się do niego i otoczyła go, połykając go w całości.

Najpierw doszedł go zapach – ciepły roślinny aromat między stęchlizną butwiejących ksiąg, zapach, który powoli wypełniał komnatę. Później pomieszczenie zaczęło wypełniać ciepło, całkiem przyjemne, niczym wilgotny koc. Ściany pociemniały i stały się zielone, a po regałach zaczęły się pięć pnącza, które przerastały i zastępowały umieszczone tam księgi, rozkładając szerokie, płaskie liście. Wielkie, blade kwiaty wilca i szkarłatne storczyki wyrastały spomiędzy zebranych zwojów.

Khadgar westchnął głęboko, bardziej jednak z podniecenia niż strachu. To nie był świat jałowej ziemi i orczych armii, który widział wcześniej, ale coś zupełnie innego. Widział dżunglę, lecz była to dżungla z jego świata. Ta myśl go pocieszała.

Potem znikł stół i czytana księga, a Khadgar odkrył, że siedzi przy ognisku z trzema młodymi mężczyznami. Wydawali się być mniej więcej w jego wieku i znajdowali się na jakiejś wyprawie. Dookoła ogniska rozłożono śpiwory, a obok suszył się pusty, niedawno umyty kociołek. Trzej młodzieńcy byli ubrani w stroje do konnej jazdy, szyte na miarę i dobrej jakości.

Cała trójka śmiała się i żartowała, jednak podobnie jak wcześniej Khadgar nie rozpoznawał słów. Blondyn pośrodku najwyraźniej opowiadał jakąś historię, a oceniając po jego gestykulacji, sporą rolę w niej grała szczerze obdarzona przez naturę młoda kobieta.

Ten po prawej zaśmiał się i klepnął po kolanie, zaś blondyn kontynuował swoją opowieść. Mężczyzna po prawej przeczesał włosy



palcami, a wtedy Khadgar zauważył u niego pierwsze oznaki łysienia. Wtedy właśnie uświadomił sobie, że patrzy na lorda Lothara. Oczy i nos bez wątpienia należały do niego, uśmiech również wyglądał znajomo, jednak twarz nie była tak pomarszczona, a broda jeszcze nie posiwiiała. Mimo to nie miał wątpliwości, że to Lothar.

Khadgar spojrział na trzeciego mężczyznę i od razu uświadomił sobie, że to Medivh. Mężczyzna odziany był w ciemnozielony strój myśliwego, a odrzucony do tyłu kaptur ukazywał młodą, rozbawioną twarz. W świetle ogniska jego oczy przypominały wypolerowany jadeit. W odpowiedzi na opowieść blondyna uśmiechnął się z zawstyżeniem.

Blondyn pośrodku coś powiedział i wskazał na młodego Medivha, który wzruszył ramionami, najwyraźniej zawstyżony. Opowieść blondyna widocznie dotyczyła również przyszłego maga.

Blondynem musiał być Llane, obecnie król Llane z Azeroth. Tak, opowieści o młdzieńczych dokonaniach tej trójki trafiły nawet do archiwów Fioletowej Cytadeli. Młodzi mężczyźni często wędrowali po obrzeżach królestwa, prowadząc badania i walcząc z wszelkiego rodzaju bandytami i potworami.

Llane zakończył opowieść, a Lothar niemal spadł z kłody, na której siedział, rycząc ze śmiechu. Medivh zdusił śmiech, zakrywając usta dłonią i udając, że tylko kaszle.

Lothar w końcu przestał się śmiać, a wtedy Medivh powiedział coś, rozkładając szeroko ręce, by podkreślić swoją wypowiedź. Lothar rzeczywiście poleciał do tyłu, a Llane zakrył twarz dłonią, krztusząc się ze śmiechu. Najwyraźniej to, co powiedział Medivh, doskonale kwitowało opowieść Llane'a.

Wtedy coś poruszyło się w otaczającej ich dżungli. Trzej mężczyźni natychmiast spoważnieli – musieli to usłyszeć. Khadgar, duch na tym

spotkaniu, raczej to poczuł – coś złowrogiego czającego się na krawędzi światła z ogniska.

Lothar wstał powoli i sięgnął po wielki, szeroki miecz leżący w pochwie u jego stóp. Llane również wstał, sięgnął za kłodę po topór o podwójnym ostrzu i gestem kazał Lotharowi pójść w jedną stronę. Medivh też zdążył wstać, a choć jego dłonie były puste, nawet w tym wieku to on był najpotężniejszym z całej trójki.

Llane z toporem w ręce ruszył w stronę jednego z końców obozu. Mógł uważać, że świetnie się skrada, lecz Khadgar widział, że porusza się z ciężkim zdecydowaniem. Chciał, żeby to, co znalazło się na skraju lasu, w końcu się pokazało.

Stwór właśnie to zrobił, wypadając ze swojej kryjówki. Był półtora raza wyższy od młodych mężczyzn i Khadgar przez chwilę myślał, że to olbrzymi ork.

Potem jednak rozpoznał go z bestiariuszy, które kazała mu przeglądać Alonda. Był to troll, odmiana z dżungli. Jego błękitnawa skóra w świetle księżyca wydawała się blada, a długie szare włosy tworzyły grzebień biegnący od czoła do karku. Podobnie jak w wypadku orków, z jego dolnej szczęki wyrastały kły, jednak te były zaokrąglone niczym kołki i grubsze niż ostre zęby orków. Uszy i nos trolla były wydłużone niczym szyderstwo z ludzkiej postaci. Potwór odziany był w skóry, a na jego piersi podskakiwały naszyjniki z kości ludzkich palców.

Troll wydał z siebie okrzyk wojenny, odsłaniając z wściekłości zęby, i zrobił zwód swoją włócznią. Llane zamachnął się w jej stronę, lecz cios minął celu. Z drugiej strony do ataku ruszył Lothar. Medivh również zbliżył się do miejsca walki, a na końcach jego palców tańczyła energia.

Troll uniknął miecza Lothara i zrobił kolejny krok do tyłu, gdy Llane przeciął powietrze swoim toporem. Każdy jego krok miał długość ponad

trzech stóp, lecz wojownicy natychmiast napierali na trolla, gdy ten się wycofywał. Stwór wykorzystywał włócznię bardziej jako tarczę niż broń, trzymając drzewce obiema rękami i odpychając ciosy.

Khadgar uświadomił sobie, że stwór wcale nie próbuje zabić ludzi, jeszcze nie. Chciał ich tylko pociągnąć w odpowiednie miejsce.

W jego wizji Medivh musiał zrozumieć to samo, gdyż zaczął krzyczeć coś do pozostałych.

W tym momencie było już jednak za późno, gdyż dwa inne trolle wybrały tę właśnie chwilę, by wyskoczyć z kryjówek po obu stronach walczącego towarzysza.

Llane, choć to on wszystko planował, został zaskoczony i włócznia przebiła jego prawe ramię. Ostrze topora wbiło się w ziemię i przyszły król zaklął głośno.

Dwa pozostałe trolle skoncentrowały się na Lotharze i teraz to wojownik został zmuszony do wycofywania się. Z największą zręcznością poruszał szerokim ostrzem, odbijając najpierw jedno pchnięcie, a potem drugie. Trolle z dżungli właśnie pokazały swoją strategię – rozdzielały Llane'a i Lothara, zmuszając Medivha do dokonania wyboru.

Medivh wybrał Llane'a. Khadgar, widmowy obserwator, zgadywał, że powodem była rana Llane'a. Medivh rzucił się do ataku z płonącymi dłońmi...

I został uderzony drzewcem włóczni w twarz. Troll uderzył ciężkim drzewcem w szczękę Medivha, a potem jednym płynnym ruchem grzmotnął rannego Llane'a. Medivh upadł, podobnie Llane, a topór wypadł z dłoni przyszłego władcy.

Troll zawahał się na chwilę, próbując zdecydować, kogo zabić jako pierwszego. Wybrał Medivha, rozciągniętego na ziemi u jego stóp, jako

bliższego. Troll uniósł włócznie, a jej obsydianowy grot zaśnił złowieszczo w blasku księżyca.

Młody Medivh wykrztusił z siebie kilka sylab. Z ziemi poderwała się mała trąba powietrzna, która sypnęła piaskiem w twarz trolla, oślepiając go. Stwór zawahał się na chwilę, pocierając ręką zapiaszczone oczy.

Ta chwila wahania wystarczyła Medivhowi, który rzucił się do przodu, nie z zaklęciem, lecz ze zwyczajnym nożem, który wbił w udo trolla. Stwór krzyknął głośno i na ślepo zadał cios. Włócznia wbiła się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą był Medivh, lecz ten zdążył już się odtoczyć i teraz wstawał, a na koniuszkach jego palców migotała energia.

Mag wymruczał słowo, a wtedy między jego palcami powstała kula światła, która zaraz poleciała do przodu. Troll aż podskoczył od wstrząsu i wisiał tak przez chwilę w błękitnym blasku. W końcu stwór upadł na kolana, ale nadal jeszcze nie był martwy. Próbował się podnieść, a w jego zażawionych czerwonych oczach płonęła nienawiść.

Troll nie dostał szansy na dokonanie zemsty, gdyż za nim podniósł się cień i topór Llane'a zabłysł w świetle księżyca, po czym opadł na głowę potwora, odcinając ją przy szyi. Stwór poleciał do przodu, a wtedy dwaj młodzi mężczyźni, podobnie jak Khadgar, odwrócili się w stronę trolli walczących z Lotharem.

Przyszły czempion wciąż się trzymał, chociaż z trudem, i wycofując się, zdążył przejść cały obóz. Trolle usłyszały śmiertelny krzyk swojego towarzysza i teraz jeden nadal atakował Lothara, podczas gdy drugi ruszył w stronę dwóch ludzi. Przechodząc przez obóz, wydał z siebie nieartykułowany ryk, a włócznie trzymał przed sobą niczym rycerz na koniu lancę.

Llane w odpowiedzi rzucił się do ataku, lecz w ostatniej chwili uskoczył na bok, unikając grotu włóczni. Troll zrobił dwa kroki do przodu, co

doprowadziło go do ogniska i czekającego na niego Medivha.

Teraz mag zdawał się pełen energii, a oświetlony przez węgle z ogniska nabrał iście demonicznego wyglądu. Szeroko rozłożył ramiona i zaczął nucić coś szorstkiego i rytmicznego.

Wtedy płomień podniósł się i na chwilę przybrał ożywioną postać olbrzymiego lwa, po czym rzucił się na atakującego trolla. Stwór wrzasnął, gdy węgle, kłody i popiół otoczyły go niczym płaszcz, który nie dawał się rzucić. Troll rzucił się na ziemię i przetaczał się to w jedną, to w drugą stronę, próbując zdusić ogień, jednak bez rezultatu. W końcu w ogóle przestał się poruszać, a wtedy pochłonęły go głodne płomienie.

Jeśli chodzi o Llane'a, ten nie zatrzymywał się i wbił topór w bok ostatniego pozostałego przy życiu trolla. Bestia zawyła, a ta chwila wahania była wszystkim, czego potrzebował Lothar. Czempion odepchnął wysuniętą włócznię mocnym ciosem z zamachu, a potem precyzyjnym, płaskim cięciem gładko zdjął głowę trolla z ramion. Głowa potoczyła się w krzaki i znikła.

Llane, choć krwawił z rany, poklepał Lothara po plecach, najwyraźniej drocząc się z nim, że tak dużo czasu zajęło mu zabicie trolla. Wtedy Lothar położył dłoń na piersi Llane'a, żeby go uciszyć i wskazał na Medivha.

Młody mag wciąż stał przy ogniu. Jego dłonie były otwarte, ale palce wygięły się niczym szpony. Jego oczy w blasku resztek ogniska wyglądały na szkliste, a zęby były mocno zaciśnięte. Gdy dwaj mężczyźni (i widmowy Khadgar) podbiegli do niego, młodzieniec poleciał do tyłu.

Nim dwaj towarzysze dotarli do Medivha, ten zaczął dyszeć ciężko, a jego źrenice rozszerzyły się. Wojownicy i widmowy przybysz pochylili się nad nim, zaś on starał się zmusić do powiedzenia jakichś słów.

– Uważaj na mnie – powiedział, nie patrząc na Lothara ani na Llane'a, lecz na Khadgara. Potem Medivh przewrócił oczyma i przestał się

poruszać.

Lothar i Llane próbowali ocucić przyjaciela, lecz Khadgar tylko zrobił krok do tyłu. Czy Medivh rzeczywiście go zobaczył, podobnie jak tamten mag o jego oczach, na jałowej równinie? Do tego go usłyszał, wyraźne słowa przeszywające do głębi duszy.

Khadgar odwrócił się, a wtedy wizja opadła równie szybko co kurtyna magika. Znowu był w bibliotece i niemal wpadł na Medivha we własnej osobie.

– Zaufanie – powiedział Medivh, o wiele starszy niż ten, który leżał na ziemi w wizji Khadgara. – Wszystko w porządku? Wołałem cię, ale nie odpowiedziałeś.

– Przepraszam, Med... panie – odpowiedział Khadgar, oddychając głęboko. – To była wizja. Obawiam się, że się w niej zatraciłem.

Ciemne brwi Medivha uniosły się.

– Znowu orki i czerwone niebo? – spytał poważnie mag, a Khadgar ujrzał w jego zielonych oczach ślad burzy.

Khadgar potrząsnął głową i starannie dobierał słowa.

– Trolle. Błękitne trolle w dżungli. Myślę, że tym razem był to ten świat. Niebo wyglądało tak samo.

Medivh natychmiast się uspokoił i powiedział tylko:

– Trolle z dżungli. Spotkałem kiedyś kilka, w Dolinie Kolców... – Rysy twarzy maga złagodniały i mężczyzna najwyraźniej zatracił się w swojej osobistej wizji. Potem potrząsnął głową. – Ale tym razem żadnych orków, zgadza się? Jesteś pewien?

– Tak, panie – odpowiedział Khadgar. Nie chciał wspominać, że był świadkiem bitwy. Czy dla Medivha było to, złe wspomnienie? Czy wtedy właśnie zapadł w śpiączkę?

Patrząc na starszego maga, Khadgar widział wiele z młodego mężczyzny z wizji. Teraz był wyższy, choć nieco zgarbiony z powodu wieku i badań, a jednak w starej postaci ukrywał się młodzieniec.

Medivh ze swej strony powiedział tylko:

– Czy masz „Pieśń Aegwynn”?

Khadgar potrząsnął głową, wyrывая się z zamyślenia.

– Pieśń?

– O mojej matce – stwierdził Medivh. – To taki stary zwój. Przysięgam, że od kiedy tu posprzątałeś, nie mogę go nigdzie znaleźć!

– Jest razem z inną poezją epicką, panie – wyjaśnił Khadgar.

*Powinienem powiedzieć mu o wizji*, pomyślał. Czy to był przypadek, czy też wywołało ją ostatnie spotkanie z Lotharem? Czy dowiadywanie się o różnych sprawach wywołuje wizje?

Medivh podszedł do półki, przeciągnął palcem wzdłuż zwojów, po czym wyciągnął poszukiwaną wersję, starą i zniszczoną. Odwinął częściowo wolumin, porównał coś z kawałkiem papieru wyciągniętym z kieszeni, po czym ponownie go zwinął i odłożył na miejsce.

– Muszę wyjechać – powiedział nagle. – Obawiam się, że już dziś wieczorem.

– Gdzie się udajemy? – spytał Khadgar.

– Tym razem ruszam sam – odpowiedział starszy mag, idąc w stronę drzwi. – Pozostawię Moroesowi wskazówki dotyczące twojej nauki.

– Kiedy wrócisz? – krzyknął Khadgar za oddalającym się mężczyzną.

– Kiedy wrócę! – ryknął w odpowiedzi Medivh, skacząc po dwa stopnie. Khadgar wyobrażał sobie, że kasztelan już jest na szczycie wieży, w ręku ma ozdobiony runami gwizdek, a udomowiony gryf już czeka.

– Świetnie – powiedział Khadgar, patrząc na księgi. – > A ja będę sobie tutaj siedział i zastanawiał się, jak ujarzmić klepsydrę.

## Rozdział 6

# Egwina i Sargerias

Medivha nie było w sumie tydzień, a Khadgar dobrze wykorzystał ten czas. Zainstalował się w bibliotece i kazał Moroesowi przynosić tam sobie posiłki. Więcej niż raz w ogóle nie wrócił wieczorem do swoich komnat, lecz położył się spać na wielkim stole w bibliotece.

Zaniedbał własną korespondencję, zajmując się przegryzaniem przez starożytne tomy i grimuary, szukając odpowiedzi na pytania o czas, światło i magię. Na jego pierwsze raporty nadeszły szybkie odpowiedzi od magów z Fioletowej Cytadeli. Guzbah chciał transkrypcji poematu o Aegwynn. Lady Delth stwierdziła, że nie rozpoznaje żadnego z tytułów, które jej posłał – czy mógłby wysłać je ponownie, tym razem z pierwszym akapitem każdego, żeby wiedziała, o czym traktują? A Alonda upierała się, że musi istnieć piąta odmiana trolli, lecz Khadgar najwyraźniej nie odnalazł odpowiedniego bestiariusza. Młody mag z radością pozostawił ich żądania bez odpowiedzi, szukając sposobu na opanowanie wizji.

Zdawało mu się, że kluczem do opracowywanej przez niego inkantacji było proste zaklęcie widzenia na odległość, pozwalające ujrzeć odległe przedmioty i lokalizacje. Księga magii kapłańskiej opisywała je jako zaklęcie świętej wizji, jednak w wykonaniu Khadgara działało ono tak samo, jak w wypadku kapłanów. Gdy jednak kapłańskie zaklęcie działało



na przestrzeń, być może jego zmodyfikowana wersja podzielała na czas. Khadgar sądził, że normalnie byłoby to niemożliwe, zakładając przepływ czasu w uporządkowanym wszechświecie–zegarze.

Z drugiej strony jednak, za murami Karazhanu, czas był klepsydrą, i identyfikowanie oderwanych kawałków czasu mogło się okazać bardziej prawdopodobne. A kiedy już zaczepi się na jednym ziarnie czasu, łatwiej będzie mu przejść na następne.

Jeśli jednak ktoś nawet próbował czegoś takiego w murach wieży Medivha, nigdzie w bibliotece nie było informacji na ten temat, chyba że w którymś z najsilniej zabezpieczonych lub nieczytelnych tomów zalegających na żelaznej galeryjce. Co ciekawe, notatki pisane ręką Medivha wskazywały na jego zupełny brak zainteresowania wizjami, a ta tematyka dominowała z kolei w notatkach innych odwiedzających wieżę. Czy Medivh przechowywał te informacje w innym miejscu, czy też rzeczywiście bardziej niż sama cytadela interesowało go to, co działo się poza jej murami?

Przystosowywanie zaklęcia do nowych zadań nie było tak proste jak drobna zmiana inkantacji czy też niewielkie przekształcenie gestu. Wymagało głębokiego i precyzyjnego zrozumienia, na czym polega wróżenie, co ukazuje i jak. Gdy zmienia się gest lub też usuwa określony typ używanego kadzidła, efektem jest zwykle zupełna porażka, a zebrana energia po prostu się rozprasza. Czasami magiczna moc wariuje i wyrывa się spod kontroli, jednak przeważnie skutkiem nieudanego zaklęcia jest jedynie frustracja czarodzieja.

Podczas badań Khadgar odkrył, że jeżeli zaklęcie nie powiedzie się szczególnie widowiskowy sposób, oznacza to, iż nieudany czar był bardzo bliski temu zamierzonemu. Magia próbuje zamknąć rozziew, sprawić, by coś się wydarzyło, jednak nie zawsze w sposób zamierzony przez

rzucającego. Oczywiście czarodzieje nie zawsze przeżywają takie doświadczenie.

W trakcie przygotowań Khadgar obawiał się, że Medivh może w każdej chwili wrócić i wpłynąć do biblioteki w poszukiwaniu jakiegoś poematu epickiego lub czegoś równie trywialnego. Czy powie swojemu mistrzowi, co robi? A jeśli tak, to czy Medivh zachęci go do dalszych prób, czy też zabroni mu zajmować się tą kwestią?

Po pięciu dniach pracy Khadgar czuł, że zaklęcie jest gotowe. Rama należała do zaklęcia widzenia na odległość, teraz jednak dodano do niej czynnik przypadkowy, by pozwolić czarowi na rozpostarcie się i poszukiwanie nieciągłości znajdujących się wewnątrz wieży. Te fragmenty zniekształconego czasu będą odrobinę jaśniejsze, odrobinę cieplejsze lub po prostu odrobinę dziwniejsze od otoczenia, a przez to przyciągną do siebie czar.

Zaklęcie, o ile zadziała, powinno w odpowiedzi dokładnie dostroić się do wizji. Zbierze wszystkie dźwięki dochodzące z drugiego końca, usunie zniekształcenia i skoncentruje je niczym starsza osoba, która przykładła zwiniętą dłoń do ucha, żeby lepiej słyszeć. Nie będzie tak dobrze działać na dźwięki poza centralnym obszarem, lecz powinno przekazać, co mówią bohaterowie wizji, uzupełniając to, co widzi rzucający.

Wieczorem piątego dnia Khadgar zakończył obliczenia i prostym pismem zapisał wszelkie wskazówki dotyczące rzucania zaklęcia. Gdyby coś poszło straszliwie nie tak, Medivh przynajmniej domyśli się, co się stało.

Medivh miał oczywiście pełen zapas komponentów do zaklęcia, włączając w to spizarnię z aromatycznymi i magicznymi ziołami oraz lapidarium ze sproszkowanymi kamieniami półszlachetnymi. Z tych ostatnich Khadgar wybrał ametyst do wyrysowania w bibliotece

magicznego kręgu, który przeciął runami ze sproszkowanego różowego kwarcu. Po raz ostatni przejrzał słowa mocy (większość z nich poznał jeszcze przed opuszczeniem Dalaranu) i powtórzył gesty (prawie wszystkie oryginalne). Odziany w szaty czarodzieja, bardziej na szczęście niż dla efektu, wszedł w magiczny krąg.

Khadgar uspokoił się i oczyścił umysł. To nie było szybkie zaklęcie bojowe ani prosta sztuczka, lecz potężny czar, którego rzucenie w Fioletowej Cytadeli natychmiast uruchomiłoby zaklęcia ostrzegawcze innych magów i ściągnęło ich do niego.

Odetchnął głęboko i rozpoczął rzucanie zaklęcia.

Czar zaczął się formować w jego umyśle niczym ciepła, potem gorąca kula energii. Czuł, jak kula twardnieje, a na jej powierzchni zaczynają pojawiać się tęcze fale. To było serce zaklęcia, zwykle szybko wypuszczane przez maga, by zmieniało świat tak, jak uważał to za stosowne.

Khadgar wyposażył sferę w atrybuty konieczne, by wyszukała nawiedzające wieżę odłamki czasu, uporządkowała je i złączyła w jedną wizję, która rozegrałaby się na jego oczach. Pomysły te zdawały się wnikać w wyobrażoną sferę w jego umyśle, która w odpowiedzi zaczęła brzęczeć wyższym tonem, czekając tylko na wypuszczenie i podanie kierunku.

– Znajdź mi wizję – powiedział Khadgar. – Znajdź mi wizję młodego Medivha.

Z odgłosem zapadającego się w siebie jajka magia opuściła jego umysł, przesączając się do rzeczywistego świata, by wypełnić polecenie. Khadgar poczuł szum powietrza, a gdy rozejrzał się dookoła, odkrył, że biblioteka zaczyna się zmieniać i, podobnie jak wcześniej, wizja powoli wypełnia czas i przestrzeń.

Dopiero gdy nagle zrobiło się chłodniej, Khadgar pojął, że wezwał niewłaściwą wizję.

Chłód pojawił się nagle, najpierw w postaci chłodnego powiewu, takiego jak spod niedomkniętego okna. Powiew zmienił się z chłodnego w zimny, a później stał się lodowaty. Mimo świadomości, że to tylko iluzja, Khadgar czuł, że przemarza do szpiku kości.

Ściany biblioteki rozpląnęły się, gdy wizja ukazała ogromną białą przestrzeń. Chłodny wiatr przepłynął wokół ksiąg i manuskryptów, pozostawiając po sobie warstwę śniegu, grubą i twardą. Stoły, półki i krzesła zostały zasłonięte przez padające gęsto płatki, a potem zupełnie znikły.

Khadgar znajdował się na zboczu góry, jego nogi znikły na wysokości kolan w śniegowej zaspie, lecz nie pozostawiał śladów. W tej wizji był duchem.

Mimo to jego oddech parował, unosząc się w zimnym powietrzu. Po jego prawej znajdował się zagajnik, ciemna kępa zimozielonych drzew, teraz uginających się pod śniegiem. Daleko po lewej widział wielkie białe urwisko. Khadgar z początku sądził, że to jakaś substancja przypominająca kredę, lecz zaraz pojął, że to lód, jakby ktoś wziął zamarznąłą rzekę i odwrócił ją do góry nogami. Rzeka była równie wysoka co niejedna z gór w Dalaranie, a nad nią poruszały się niewielkie, ciemne kształty. Orły lub sokoły, choć musiały być olbrzymie, jeśli rzeczywiście znajdowały się w pobliżu urwiska.

Przed Khadgarem znajdowała się dolina, a doliną maszerowała armia.

Przechodząc, armia topiła śnieg, pozostawiając po sobie pas czerniczym ślad ślimaka. Jej członkowie byli ubrani na czerwono, nosili wielkie rogate hełmy i długie czarne płaszcze z wysokimi kołnierzami. Byli myśliwymi, gdyż mieli przy sobie bardzo różne bronie.

Na czele armii szedł przywódca z chorągwią, a na jej szczycie znajdowała się ociekająca krwią głowa. Khadgar pomyślał, że należała ona do jakiegoś zielonego, pokrytego łuskami potwora, potem jednak uświadomił sobie, że to obcięty smoczy łeb.

Widział czaszkę takiego stwora w Fioletowej Cytadeli, lecz nigdy nie spodziewał się, że ujrzy takiego, który jeszcze niedawno żył. Jak daleko w przeszłość rzuciła go wizja?

Armia olbrzymów ryczała coś, co mogło być marszową pieśnią, ale równie dobrze stekiem przekleństw lub okrzykiem wyzwania. Głosy były niewyraźne, jakby dochodziły z dna głębokiej studni, ale Khadgar przynajmniej je słyszał.

Gdy się zbliżyli, mag pojał, czym są. Ich zdobione hełmy nie były hełmami, lecz rogami, które wyrastały z ich głów. Ich płaszcze nie były elementem ubrania, lecz wielkimi nietoperzowymi skrzydłami, które wyrastały z ich grzbietów. Czerwone zbroje były ich własnym ciałem, świecącym od wewnątrz i topiącym śnieg.

Były demonami, stworami z wykładów Guzbaha i skrywanych pamfletów Korrigana. Potwornymi istotami, którym nawet orki ustępowały w sadyzmie i żądzy krwi. Wielkie, szerokie miecze pokrywała warstwa czerwieni, a z tej odległości Khadgar widział, że również ich ciała płamiła krew.

Były tutaj, gdziekolwiek i kiedykolwiek znajdowało się tutaj, i polowały na smoki.

Zza pleców doszedł go cichy, zniekształcony dźwięk, nic głośniejszego niż odgłos kroku na śniegu. Khadgar odwrócił się i odkrył, że nie jest sam. Ktoś inny obserwował myśliwską drużynę demonów.

Zaszła go niespodziewanie od tyłu, a nawet jeśli go zauważyła, nie zwracała na niego uwagi. Tak jak demony zdawały się plagą wcieloną, tak i

ona emanowała mocą. Była to świetlista moc, która zdawała się zwijać i pomnażać, gdy kobieta poruszała się po samej powierzchni śniegu. Była prawdziwa, lecz jej białe skórzane buty pozostawiały tylko niewielkie ślady na białym puchu.

Była wysoka, potężna i zupełnie nie bała się plugastwa w dolinie poniżej. Jej strój był równie nieskazitelnie biały co otaczający ich śnieg, a zbroja składała się z małych srebrzystych łusek. Otaczała ją wielka biała futrzana peleryna z podszewką z zielonego jedwabiu, spięta przy szyi broszą z dużym zielonym kamieniem, doskonale dopasowanym do jej oczu. Jej włosy były jasne, a prostą fryzurę utrzymywał na miejscu srebrny diadem. Wydawało się, że zimno wywiera na niej mniejsze wrażenie niż na widmowym Khadgarze.

Uwagę młodzieńca przyciągnęły jej oczy – zielone niczym letni las, zielone niczym wypolerowany jadeit, zielone niczym ocean po burzy. Khadgar rozpoznał je, gdyż musiał znosić przenikliwe spojrzenie podobnych oczu, należących do jej syna.

To była Aegwynn. Matka Medivha, potężna i niemal nieśmiertelna magini, tak stara, że stała się legendą.

Khadgar pojął wtedy, gdzie się znajduje. Oto miejsce bitwy Aegwynn z hordami demonów. Legenda opowiadająca o walce zachowała się tylko w fragmentach, w zwrotkach epickiego poematu spoczywającego na półce w bibliotece.

Khadgar nagle pojął, gdzie zawiodło jego zakłęcie. Medivh poprosił o ten zwój przed wyjazdem, gdy młodzieniec widział go po raz ostatni. Czy zakłęcie się pomyliło, przechodząc od wizji samego Medivha do tej właśnie legendy, którą ostatnio sprawdzał?

Aegwynn spojrzała w dół na wyprawę myśliwską demonów i zachmurzyła się, a pojedyncza zmarszczka między brwiami dobitnie

pokazywała jej niezadowolenie. Jadeitowe oczy zapłonęły, a Khadgar domyślił się, że wewnątrz kobiety burzy się moc.

Nie minęło wiele czasu, nim gniew ten został wyzwolony. Kobieta uniosła rękę, zanuciła jedną, uciętą frazę, a wtedy z jej palców wystrzeliła błyskawica.

Nie był to zwykły pocisk mocy ani też najpotężniejszy piorun letniej burzy. To był prawdziwy żywioł błyskawicy, przesywający zimne powietrze i znajdujący cel w zaskoczonych demonach. Gdy przecinał je piorun, powietrze rozpadło się na najbardziej podstawowe elementy i zapachniało ostro i gorzko. Potem zabrzmiał głośny szum, gdy powietrze pospieszyło, by zająć miejsce, które zajmował wcześniej pocisk. Mimo wszystko, mimo świadomości, że jest tylko widmem, mimo świadomości, że to wszystko wizja, mimo tego wszystkiego i mimo iż wszystkie słyszane przez niego dźwięki były stłumione, Khadgar wykrzywił się i skulił, gdy duchowy pocisk zagrzmiał metalicznie.

Błyskawica uderzyła w chorążego niosącego odcięty łeb wielkiego zielonego smoka. Spaliła, demona na miejscu, zaś ci, którzy go otaczali, zostali poderwani z ziemi i niczym gorące węgle spadli w śnieg. Część z nich już się nie podniosła.

Większość drużyny myśliwych znajdowała się jednak poza zasięgiem zaklęcia. Demony, każdy większy od dziesięciu mężczyzn, cofnęły się wstrząśnięte, lecz trwało to tylko kilka chwil. Największy z nich ryknął coś w języku brzmiącym niczym dźwięk pogruchotanych metalowych dzwonów, a wówczas połowa z demonów wzniosła się w powietrze i ruszyła w stronę pozycji Aegwynn i Khadgara. Druga połowa wyciągnęła ciężkie łuki z czarnego drewna i żelazne strzały. Strzały w locie zapalały się i na czarodziejkę opadł deszcz ognia.

Aegwynn nawet nie zadrżała, tylko uniosła dłoń. Całe niebo między nią a ognistym deszczem zapłonęło błękitnym ogniem, który połykał płonące pociski. Wyglądało to, jakby strzały wpadły do rzeki.

Strzały miały jednak tylko zapewnić osłonę atakującym, a ci właśnie przebili ścianę błękitnego ognia, gdy ta rozproszyła się, i z góry opadli na Aegwynn. Musiało ich być co najmniej dwudziestu, a każdy był olbrzymem. Ich czarne skrzydła zasłaniały niebo.

Khadgar spojrział na Aegwynn. Czarodziejka uśmiechała się. Był to znaczący, pewny siebie uśmiech, który młodzieniec widział wcześniej na twarzy Medivha, gdy walczyli z orkami. Kobieta była bardziej niż pewna siebie.

Khadgar spojrział w dół na dolinę, gdzie znajdowali się łucznicy. Ci porzucili bezużyteczną broń, zebrali się razem i zaczęli nucić niskimi, bzyczącymi głosami. Powietrze wokół nich zakrzywiło się, a w rzeczywistości pojawiła się dziura, mroczna plama na tle nieskazitelnej bieli. Z otworu tego wypadały kolejne demony – stwory wszelkiego rodzaju, z głowami zwierząt, z płonącymi oczami, ze skrzydłami nietoperzy, owadów i wielkich padlinożernych ptaków. Te demony dołączyły do chóru, a wówczas otwór zaczął się poszerzać, zaś coraz więcej pomiotu Wirującej Nicości trafiało na zimne północne powietrze.

Aegwynn nie zwracała żadnej uwagi na śpiewających i posiłki, chłodno koncentrując się na tych demonach, które spadły na nią z góry.

Czarodziejka przesunęła nad ziemią dłonią, wierzchem do dołu. Połowa z potworów, które unosiły się nad nią, zamieniła się w szkło, a wszystkie spadły na ziemię. Te zmienione w kryształ rozpadały się na kawałki przy wtórze nieharmonijnych dźwięków. Pozostałe z hukiem uderzały o grunt, by po chwili podnieść się i wyciągnąć swą zakrwawioną broń. Pozostało ich jeszcze dziesięć.



Aegwynn przycisnęła lewą pięść do wyciągniętej prawej dłoni, a wtedy cztery pozostałe demony stopiły się. Ich czerwone mięso odpadało od kości, aż w końcu ich truchła zapadły się w pobliskie zasy. Wrzeszczały, a ich rozpadające się krtanie napełniały się ich własnym wysuszonym ciałem. Pozostało ich jeszcze sześć.

Aegwynn ścisnęła powietrze, a wtedy trzy kolejne demony wybuchły, gdy ich wnętrzności zmieniły się w owady i rozerwały je od wewnątrz. Nie miały nawet czasu krzyknąć, gdyż ich ciała zmieniły się w chmurę komarów, pszczoł i os, które ruszyły w stronę lasu. Pozostały jeszcze trzy.

Aegwynn rozłożyła ręce, a wtedy niewidzialne dłonie oderwały ręce i nogi demona od torsu. Pozostały dwa. Aegwynn uniosła dwa palce, a wtedy jeden z demonów zmienił się w piasek, a jego ostatnie przekleństwo rozwiął chłodny wiatr.

Pozostał jeszcze jeden. Był to największy, przywódca, ten, który wykrzykiwał rozkazy. Z tak bliska Khadgar widział, że jego pierś pokrywają blizny, a jeden oczodół jest pusty. Drugie oko płonęło nienawiścią.

Nie zaatakował. Aegwynn też nie. Stali tak niczym skamieniali, podczas gdy dolinę poniżej wypełniały demony.

W końcu olbrzymi demon warknął. Jego głos wydawał się odległy, ale brzmiał czysto w uszach Khadgara.

– Jesteś głupia, strażniczko Tirisfal – powiedział, z trudem układając wargi do niewygodnego dlań ludzkiego języka.

Aegwynn zaśmiała się, a był to śmiech równie ostry co szklany sztylet.

– Naprawdę, plugawy pomocie? Przybyłam tu, by popsuć wam polowanie na smoki. Wygląda na to, że mi się udało.

– Jesteś zbyt pewna siebie, głupia kobieto – wybełkotał demon. – Podczas gdy ty walczyłaś z kilkoma, moi bracia w magii sprowadzili

innych. Cały legion. Każdego inkuba i pomniejszego demona, każdy koszmar i ogar cieni, każdego mrocznego pana i kapitana Płonącego Legionu. Wszyscy przybyli tutaj, gdy ty walczyłaś z kilkoma z nas.

– Wiem – stwierdziła spokojnie Aegwynn.

– Wiesz?! – ryknął demon z gardłowym śmiechem. – Wiesz, że jesteś sama w dziczy, a każdy demon powstał przeciwko tobie. Wiesz?

– Wiem – odpowiedziała Aegwynn, a na jej ustach zagościł uśmiech. – Wiedziałam, że sprowadzisz wszystkich swoich sojuszników. Strażnik był dla ciebie zbyt wielką pokusą.

– Wiesz?! – wykrzyknął ponownie demon. – I mimo to tu przybyłaś, do tego zapomnianego miejsca?

– Wiem – stwierdziła Aegwynn. – Nie mówiłam ci przecież, że jestem sama.

Aegwynn pstryknęła palcami, a wtedy niebo nagle pociemniało, jakby wielkie stado ptaków zostało obudzone i teraz zakryło niebo.

Tyle tylko, że to nie były ptaki. To były smoki. Khadgar, nie miał pojęcia, że tak wiele smoków mogło w ogóle istnieć. Kołowały w powietrzu, poruszając wielkimi skrzydłami. Oczekiwały na sygnał strażniczki.

– Plugawy pomioście z Płonącego Legionu – odezwała się, Aegwynn. – To ty jesteś głupcem.

Przywódca demonów krzyknął głośno i uniósł splamiony krwią miecz. Aegwynn była jednak szybsza i uniosła dłoń z rozcapierzonymi trzema palcami. Pokryty bliznami tors demona wyparował w chmurze krwawych pyłków. Jego potężne ramiona opadły na boki, wielkie nogi zgięły się i przewróciły, a głowa, na której malował się wyraz zaskoczenia, wpadła w topniejący śnieg i znikła.

To był znak dla smoków, gdyż wszystkie naraz skierowały się w stronę zebranej hordy demonów. Wielkie latające postacie spadały ze wszystkich stron, a z ich otwartych paszczy strzelały płomienie. Pierwszy rząd demonów został spalony, w jednej chwili zmieniony w stertę popiołu, podczas gdy inne rozpaczliwie próbowały wyjąć broń, przygotować : zaklęcia lub uciec z pola walki.

Pośrodku armii zabrzmiał zaśpiew, tym razem brzmiący jak gorące błaganie, namiętny krzyk. To byli najpotężniejsi z demonicznych czarodziejów, którzy koncentrowali swoją moc, podczas gdy ci na obrzeżach na śmierć i życie walczyli ze smokami.

Demony przegrupowały się i odpowiedziały atakiem na atak, a wówczas smoki zaczęły spadać z nieba, przebijane żelaznymi strzałami i płonącymi pociskami, czarodziejskimi truciznami i przerażającymi wizjami. Mimo to krąg wokół demonicznych czarodziejów przszerzał się coraz bardziej, gdy smoki mściły się na demonach. Krzyki tych pośrodku stały się coraz bardziej rozpaczliwe i niewyraźne.

Khadgar spojrział na Aegwynn. Kobieta stała bez ruchu w śniegu z dłońmi zaciśniętymi w pięści, płonącymi oczami i mocno ściśniętymi zębami, które sprawiały, że jej twarz miała paskudny wyraz. Też nuciała, coś mrocznego i nieludzkiego, czego Khadgar nie potrafił nawet rozpoznać. Walczyła z zaklęciem, które utkały demony, ale jednocześnie ciągnęła z niego energię, naginając magiczną moc niczym warstwy stali w mieczu, które składa się i skuwa, by ostrze było mocniejsze i potężniejsze.

Krzyki demonów pośrodku zaczęły brzmieć gorączkowo, sama Aegwynn również zaczęła krzyczeć, spowita energią. Jej włosy wysunęły się spod diademu i otoczyły jej głowę. Uniosła obie ręce i wypowiedziała ostatnie słowa swego zaklęcia.

Wtedy pośrodku demonicznej hordy pojawił się błysk, dokładnie w samym środku, gdzie czarodzieje nucili, krzyczeli i modlili się. Było to pęknięcie w materii wszechświata, tym razem jasne, jakby otwarto drzwi do samego środka słońca. Energia wypłynęła na zewnątrz, a demony nie zdążyły nawet krzyknąć, gdy je otoczyła, pochłonęła i pozostawiła tylko ich cienie w powidoku, jako jedyne świadectwo ich istnienia.

Wszystkie demony zostały pochłonięte, jak również kilka smoków, które zbliżyły się zbyt blisko do środka demonicznej hordy. Istoty zostały przyciągnięte niczym ćmy do ognia i tak samo szybko spłonęły.

Aegwynn odetchnęła z trudem i uśmiechnęła się. Był to uśmiech wilka, drapieżnika, zwycięzcy. Tam, gdzie wcześniej znajdowała się demoniczna horda, wznosiła się w niebiosa wielka kolumna dymu.

Gdy jednak Khadgar przyglądał się, chmura spłaszczyła się i zebrała w sobie, stając się ciemniejsza i bardziej materialna, niczym chmura burzowa. Gęstniejąc, jednocześnie stała się wyraźniejsza, a jej serce pociemniało, nabierając odcieni fioleto i hebanu.

Ze środka pociemniałej chmury wyłonił się bóg.

Była to gigantyczna postać, większa niż olbrzymy z legend, większa niż smoki. Jego skóra wyglądała niczym wykuta z brązu, a okrywała go czarna zbroja ze stopionego obsydianu. Jego długa broda i wzburzone włosy były żywymi płomieniami, a znad ciemnego czoła wyrastały wielkie rogi. Oczy miały barwę Nieskończonej Otchłani. Bóg wyszedł z chmury, a ziemia trzęsła się pod jego stopami. Niósł potężną włóczęnię ozdobioną runami, które ociekały płonąca krwią, a na końcu jego długiego ogona jaśniała ognista kula.

Te smoki, które pozostały przy życiu, uciekły z pola walki, kierując się w stronę ciemnego lasu i odległych skał. Khadgar nie mógł mieć do nich pretensji. Niezależnie od tego, ile mocy miał w sobie Medivh i jak wielką

moc okazywała teraz jego matka, w porównaniu z surową mocą tego władcy demonów było to niczym dwie małe świece.

– Sargeraz – wysyczała Aegwynn.

– Strażniczka! – zagrział wielki demon głosem głębokim niczym sam ocean. Widoczne w perspektywie lodowe urwiska zwały się, nie chcąc odbijać tego demonicznego jęku.

Strażniczka wyprostowała się, poprawiła pasemko blond włosów i powiedziała:

– Popsułam twoje zabawki. Jesteś tu skończony. Uciekaj, póki jeszcze żyjesz.

Khadgar spojrział na strażniczkę, jakby postradała zmysły. Nawet on widział, że była wyczerpana po ostatnim doświadczeniu, właściwie równie pusta, co Khadgar po walce z orkami. Ten ogromny demon z pewnością ją przejrzał. Poemat epicki mówił o zwycięstwie Aegwynn. Czy on miał być świadkiem jej śmierci?

Sargeraz nie zaśmiał się, ale jego głos przetoczył się nad ziemią, przygniatając Khadgara.

– Czas Tirisfal się skończył – powiedział demon. – Ten świat wkrótce upadnie pod naporem Legionu.

– Nie, póki żyje strażnik – odpowiedziała Aegwynn. – Nie, póki żyję ja lub ci, którzy nadejdą po mnie.

Palce kobiety zacisnęły się lekko i Khadgar domyślił się, że magini zbiera wewnątrz siebie moc, przygotowując się na wielki atak. Khadgar wbrew sobie cofnął się o krok, potem drugi, a potem trzeci. Jeśli jego starsze wcielenie go widziało, jeśli młody Medivh go widział, to czy ta dwójka, magini i potwór, też nie może go zobaczyć?

A może był za mały, żeby go zauważyli?

– Poddaj się teraz – powiedział Sargeraz. – Twoja moc mi się przyda.

– Nie – odpowiedziała Aegwynn, zaciskając pięści.

– W takim razie giń, strażniczko, i niech twój świat zginie z tobą – stwierdził ogromny demon i uniósł krwawiący runiczny oszczep.

Aegwynn podniosła obie ręce i wykrzyknęła krótkie ni to przekleństwo, ni to modlitwę. Z jej dłoni niczym inteligentna błyskawica wystrzeliła płonąca tęcza barw niewidzianych na tym świecie. Pocisk niczym sztylet uderzył w środek torsu Sargerasa.

Khadgarowi przypominało to strzelanie z łuku do łodzi – z założenia było mało skuteczne. Jednak Sargeras zatoczył się pod ciosem, zrobił pół kroku do tyłu i upuścił swoją włócznię. Ta uderzyła w ziemię niczym meteor, a śnieg pod stopami Khadgara zakołysał się. Młodzieniec upadł na jedno kolano, lecz podniósł wzrok na władcę demonów.

Tam, gdzie uderzyło zaklęcie Aegwynn, zaczęła rozpościerać się ciemność. Nie, nie ciemność, raczej chłód – gorące ciało olbrzymiego demona ginęło, zastępowane przez zimną, nieruchomą masę. Efekt ten rozprzestrzeniał się ze środka jego piersi niczym pożar, pozostawiając za sobą pochłonięte ciało.

Sargeras przyglądał się postępującym zniszczeniom wpierw z zaskoczeniem, potem ze strachem, a później z przerażeniem. Uniósł dłoń, a wtedy chłód rozpostarł się również na tę kończynę, pozostawiając po sobie nieruchomą masę szorstkiego czarnego metalu. Teraz Sargeras sam zaczął nucić, zbierając posiadaną przez siebie moc, by odwrócić proces, zatrzymać przepływ, zgasić pochłaniający go ogień. Jego słowa stawały się coraz gorętsze i bardziej namiętne, a zdrowa skóra płonęła coraz intensywniej. Świecił jak słońce i wykrzykiwał przekleństwa, a ciemny chłód dotarł do miejsca, gdzie powinno być jego serce.

Wtedy pojawił się kolejny błysk, równie intensywny co ten, który pochłonał demoniczną horde, koncentrujący się na samym Sargeracie.

Khadgar odwrócił wzrok, spojrział na Aegwynn, która przyglądała się, jak ogień i ciemność pochłaniają jej wroga. Blask tego światła przyćmił dzień, a za maginią pojawiły się długie cienie.

Wtedy wszystko się skończyło. Khadgar zamrugał, odzyskując wzrok. Odwrócił się z powrotem w stronę doliny i ujrzał olbrzymiego Sargerasa, nieruchomego niczym coś zrobionego z kutego żelaza. Jego moc wypaliła się. Pod jego ciężarem rozgrzany północny grunt zaczął się poddawać, a martwa postać demona powoli upadła do przodu. Pozostając w jednym kawałku, wbiła się w ziemię. Powietrze wokół było nieruchome.

Aegwynn zaśmiała się. Khadgar spojrział na nią. Kobieta wyglądała na wyczerpaną, zarówno przez zmęczenie, jak i swoje szaleństwo. Zatarła ręce, zachichotała i zaczęła iść w stronę powalonego tytana. Khadgar zauważył, że czarodziejka już nie stąpa lekko po szczytach zasp, lecz brnie przez nie w dół zbocza.

Gdy go opuściła, biblioteka zaczęła wracać na swoje miejsce. Śnieg zmienił się w chmury pary, a widmowe sylwetki półek, galeryjki i krzesel powoli stawały się coraz lepiej widoczne.

Khadgar obrócił się w stronę miejsca, gdzie powinien znajdować się stół i wszystko powróciło do normalności. Biblioteka wróciła do rzeczywistości.

Khadgar odetchnął głęboko i potarł skórę. Chłodna, lecz nie zimna. Zaklęcie zadziało w miarę dobrze, generalnie, jeśli nie w szczegółach. Wezwało wizję, lecz nie tę oczekiwaną. Pytanie brzmiało, co poszło nie tak i jak najlepiej to naprawić.

Młody mag sięgnął do sakiewki skryby i wyciągnął pusty arkusz papieru i narzędzia. Na końcu rylca umieścił kawałek metalu, stopił trochę atramentu ośmiornicy w miseczce i szybko zaczął notować wszystko to, co

się wydarzyło od chwili rzucenia zaklęcia do odchodzącej Aegwynn zapadającej się głęboko w śniegu.

Godzinę później wciąż pracował, gdy od strony drzwi doszedł go trupi kaszel. Khadgar był tak zatopiony w myślach, że nie zauważył tego, dopóki Moroos nie zakaszlał po raz wtóry.

Khadgar uniósł wzrok, nieco poirytowany. Musiał jeszcze zapisać coś bardzo ważnego, co jednak mu umykało. Coś, co widział tylko kącikiem oka duszy.

– Mag powrócił – stwierdził Moroos. – Chce, żebyś znalazł się na poziomie obserwatorium.

Khadgar przez chwilę wpatrywał się tępo w Moroosa, nim dotarły do niego słowa służącego.

– Medivh wrócił? – wykrztusił w końcu.

– To właśnie powiedziałem – jęknął Moroos, niechętnie wypowiadając każde słowo. – Masz polecieć z nim do Stormwind.

– Stormwind? Ja? Dlaczego? – wykrztusił młody mag.

– Jesteś jego uczniem, dlatego – mruknął Moroos. – Obserwatorium, najwyższy poziom. Wezwałem gryfy.

Khadgar spojrzał na swoje dzieło – wiele linijek równego pisma, wgłębiających się w każdy szczegół. O czymś jeszcze myślał. Powiedział tylko:

– Tak. Tak. Pozwól mi zebrać rzeczy. Dokończyć to.

– Nie spiesz się – odpowiedział kasztelan. – To tylko mag pragnie, żebyś poleciał z nim do zamku Stormwind. Nic ważnego. – Moroos znikł w korytarzu. – Najwyższy poziom – powiedział jeszcze bezcielesny głos, jakby po namyśle.

*Stormwind*, pomyślał Khadgar, *zamek króla Llane'a!* Cóż było takie ważne, że i on musiał się tam udać? Może raport na temat orków?



Khadgar spojrział na swoje zapiski. Wieści, że Medivh powrócił i wkrótce odjeżdżają, rozproszyły go, i teraz jego umysł koncentrował się na nowym zadaniu. Spojrział na ostatnie słowa, które zapisał na pergaminie.

*Aegwynn ma dwa cienie, przeczytał.*

Khadgar potrząsnął głową. Myśli, które zaprzętały jego umysł, odeszły. Starannie osuszył nadmiar atramentu, by nie powstały smugi, i odłożył kartki na bok. Potem zebrał narzędzia i ruszył w stronę swojej kwatery. Jeśli mają lecieć na grzbietach gryfów, musi przebrać się w strój podróżny, a jeśli ma spotkać się z koronowaną głową, musi też zapakować porządny płaszcz czarodzieja.

## Rozdział 7

# Wichrogród

Do tej chwili największą budowlą, jaką Khadgar kiedykolwiek widział, była Fioletowa Cytadela na Krzyżowej Wyspie, za murami miasta Dalaran. Majestatyczne wieżycy i wielkie sale Kirin Tor, pokryte grubymi płytkami o barwie lapis lazuli, od których pochodziła nazwa cytadeli, były dumą Khadgara. Podczas wszystkich podróży przez Lordaeron i do Azeroth nic, nawet wieża Medivha, nie mogło się równać ze starożytnym majestatem cytadeli Kirin Tor.

Póki nie dotarł do Stormwind.

Znów lecieli w nocy, podobnie jak poprzednim razem, lecz teraz młody mag był przekonany, że spał, a jednocześnie kierował gryfem lecącym przez chłodne nocne powietrze. Wiedza, którą Medivh umieścił w jego umyśle, wciąż działała, ponieważ bez trudu radził sobie z kierowaniem skrzydlatym drapieżnikiem przy pomocy kolan i czuł się z tym swobodnie. W tej części umysłu, w której znajdowała się nowa wiedza, nie czuł już bólu, lecz tylko pulsowanie, jakby tkanka umysłu zagoiła się, pozostawiając bliznę, przyjmując wiedzę, lecz wciąż rozpoznając ją jako coś obcego.

Obudził się, gdy słońce rozświetliło horyzont za jego plecami, i poddał się atakowi paniki, przez co jego powietrzny wierzchowiec skręcał lekko,

oddalając się nieco od Medivha. W dole objawiło się nagle Stormwind, świecąc w blasku porannego słońca.

Była to cytadela ze srebra i złota. W porannym blasku mury zdawały się świecić własnym blaskiem, niczym kielich wypolerowany przez pracowitego zarządcę. Dachy połyskiwały, jakby pokryto je srebrem, a Khadgar przez chwilę miał wrażenie, że wprawiono w nie niezliczone niewielkie klejnoty.

Młody mag zamrugał i potrząsnął głową. Złote mury okazały się zwyczajnym kamieniem, choć w niektórych miejscach wypolerowanym na wysoki połysk, a w innych pięknie rzeźbionym. Srebrne dachy pokryte były po prostu płytkami z czarnego łupku, a to, co uznał za klejnoty, okazało się kroplami rosy odbijającymi blask słońca.

Mimo to Khadgar pozostał zadziwiony ogromem miasta. Było równie wielkie, co największe miasta w Lordaeronie, jeśli nie większe, a z tej wysokości mógł w całości objąć je wzrokiem. Doliczył się trzech pełnych murów okalających główną fortecę i niższych barier oddzielających poszczególne części miasta. Gdziekolwiek nie spojrzał, widział miasto.

Nawet teraz, o świcie, panowało w nim ożywienie. Z kominów unosił się dym, a na rynkach i otwartych placach zaczynali się tłoczyć ludzie. Przez główne bramy wytaczały się wielkie wozy pełne rolników kierujących się na równe, zadbane pola, które rozpościerały się wokół miasta niczym spódnica, sięgając aż po horyzont.

Khadgar nie potrafił rozpoznać połowy budynków. Wielkie wieże mogły być spichlerzami albo uniwersytetami, nie umiał tego ocenić. Rzeczna kaskada została ujarzmiona i zaprzęgnięta do napędzania wielkich kół młyńskich, lecz nie wiedział w jakim celu. Daleko na prawo pojawił się nagle płomień, ale Khadgar nie potrafił powiedzieć, czy jego źródłem była kuźnia, uwięziony smok, czy też wielki wypadek.

Było to największe miasto, jakie kiedykolwiek widział, a w jego sercu znajdował się zamek Llane'a.

Nie mógł się pomylić. Mury tej budowli zdawały się rzeczywiście być zrobione ze złota, z oknami w srebrnych ramach. Królewski dach pokryto niebieskimi płytkami o barwie równie głębokiej i nasyconej co szafir. Z niezliczonych wież zamku zwieszały się proporce z lwią głową Azeroth, herbem dynastii Llane'a i symbolem kraju.

Kompleks zamkowy zdawał się małym, zamkniętym miastem, z niezliczonymi dodatkowymi budynkami, wieżami i korytarzami. Budynki łączyły łukowate galerie, tak długie, że Khadgar nie wyobrażał sobie, by mogły powstać bez pomocy magii.

Może taka budowla mogła powstać tylko w magiczny sposób, pomyślał Khadgar, i uświadomił sobie, że to pewnie jeden z powodów, dla których tak bardzo ceniono tu Medivha.

Starszy mag podniósł dłoń i zatoczył koło nad jedną z wież, której najwyższy poziom był zupełnie płaski. Medivh wskazał w dół – raz, dwa, trzy razy. Chciał, by Khadgar wylądował jako pierwszy.

Wykorzystując zablźnione wspomnienia, Khadgar łagodnie sprowadził gryfa w dół. Wielka lwia bestia cofnęła skrzydła niczym wielki żagiel i spokojnie wylądowała.

Czekała już na niego delegacja. Grupa służących w niebieskich liberjach rzuciła się do przodu, by chwycić wodze i nałożyć ciężki kaptur na łeb gryfa. Obce wspomnienia powiedziały Khadgarowi, że przypomina on kaptur sokolnika, ograniczając pole widzenia drapieżnika. Inny służący przyniósł wiadro ciepłych krowich wnętrzności, które postawił ostrożnie w zasięgu dzioba zwierzęcia.

Khadgar zsunął się z grzbietu wierzchowca i został natychmiast ciepło powitany przez samego lorda Lothara. Wielki mężczyzna wydawał się

jeszcze większy dzięki bogato zdobionemu napierśnikowi oraz wyszywanej szacie i pelerynie.

– Uczniu! – przywitał go Lothar, ściskając dłoń Khadgara swoim wielkim łapskiem. – Miło widzieć, że wciąż jeszcze jesteś na stanowisku!

– Panie – odpowiedział Khadgar, starając się nie skrzywić z bólu, jaki wywoływał uścisk mężczyzny. – Lecieliśmy tu przez całą noc. Nie...

Reszta wypowiedzi Khadgara została zagłuszona przez machanie skrzydeł i przerażony wrzask gryfa. Wierzchowiec Medivha spadł z nieba, a sam mag nie wylądował tak elegancko jak jego uczeń. Wielki drapieżnik prześlizgnął się po całej szerokości podestu i niemal spadł z drugiej strony, a Medivh mocno ściągnął jego wodze. W efekcie wielkie pazury gryfa zacisnęły się na blankach, zaś jego jeździec niemal wyleciał z siodła.

Khadgar nie czekał na komentarz Lothara, lecz natychmiast rzucił się do przodu, za nim podążyli służący w niebieskich strojach, a na końcu sam Lothar.

Gdy dotarli do Medivha, ten zsiadł już z grzbietu gryfa i podał wodze słudze.

– Przeklęty boczny wiatr! – powiedział poirytowanym tonem. – Mówiłem wam, że to najgorsze miejsce na lądowisko, ale tutaj nikt nie słucha magów. Niezłe lądowanie, chłopcze – dodał po chwili, gdy słudzy otoczyli gryfa i próbowali go uspokoić.

– Med – powiedział Lothar, wyciągając rękę do maga. – Dobrze, że jesteś.

Medivh tylko się skrzywił.

– Przyleciałem najszybciej, jak mogłem – warknął mag w odpowiedzi na jakąś obrazę, która zupełnie uszła uwagi Khadgara. – Wiesz, czasami musicie sobie poradzić beze mnie.

Jeśli Lothara nawet zaskoczyło zachowanie Medivha, nie dał tego po sobie poznać.

– I tak dobrze cię widzieć. Jego Wysokość...

– Będzie musiał poczekać – dokończył Medivh. – Zabierzcie mnie do tej komnaty, już. Nie, sam znam drogę. Powiedziałaś, że to Huglar i Hugarin. W takim razie tędy. – Powiedziawszy to, mag ruszył w stronę bocznych schodów, które okrężały wieżę. – Pięć poziomów w dół, potem przez mostek i trzy poziomy w górę! Koszmarne miejsce na lądowisko!

Khadgar spojrział na Lothara. Wielki mężczyzna potarł ręką łysiejącą czaszkę i potrząsnął głową. Potem ruszył za magiem, a za nimi Khadgar.

Nim dotarli do końca schodów, Medivha nigdzie nie było widać, ale przed sobą słyszeli oddalającą się szybko litanie narzekań i od czasu do czasu przekleństw.

– Jest w świetnym humorze – stwierdził Lothar. – Pozwól, że zaprowadzę cię do komnat magów. Tam go znajdziemy.

– Wczorajszego wieczora był bardzo poruszony – powiedział przepaszająco Khadgar. – Nie było go i najwyraźniej wkrótce po jego powrocie do Karazhanu dotarło wasze wezwanie.

– Czy powiedział ci, o co w tym wszystkim chodzi, uczniu? – spytał Lothar. Khadgar tylko potrząsnął głową.

Czempion Anduin Lothar skrzywił się głęboko.

– Dwaj wielcy czarodzieje z Azeroth zginęli, ich ciała spalono, a serca wyjęto z piersi. Martwi w swoich komnatach. Są też dowody... – Lord Lothar zawahał się na chwilę, jakby próbując znaleźć odpowiednie słowa. – Są dowody na działalność demonów. Dlatego posłałem najszybszego posłańca po maga. Może on powie nam, co się stało.

– Gdzie są ciała?! – krzyknął Medivh, gdy Lothar i Khadgar w końcu go dogonili, już blisko szczytu kolejnej iglicy zamku. Za wielkim wykuszowym oknem znajdującym się na ścianie naprzeciwko wejścia rozpościerała się panorama miasta.

Komnata była w ruinie – wyglądała, jakby przeszukiwały ją orki, i to bardzo niezgrabne orki, Wszystkie księgi zostały zrzucone z półek, a wszystkie zwoje rozwinięte, niektóre przy tym podarto na strzępy. Przyrządy alchemiczne zostały zmiażdżone, proszki i maści pokrywały cienką warstwą podłogę, meble zostały połamane.

Pośrodku pomieszczenia znajdował się wyrzeźbiony w podłodze krąg mocy. Składał się z dwóch współśrodkowych okręgów, pomiędzy którymi wykuto magiczne słowa. Nacięcia w posadzce były głębokie i napełnione lepkiem, ciemnym płynem. Między kręgiem a oknem widniały dwa osmalone ślady.

Na ile Khadgar wiedział, takie rzeźbione kręgi miały tylko jeden cel. Bibliotekarz z Fioletowej Cytadeli zawsze przed nimi ostrzegał.

– Gdzie są ciała? – powtórzył Medivh, a Khadgar tylko się cieszył, że to nie od niego oczekuje się odpowiedzi. – Gdzie są szczątki Huglara i Hugarina?

– Zostały zabrane stąd wkrótce po ich odnalezieniu – odpowiedział spokojnie Lothar. – Pozostawienie ich tutaj uznano za niestosowne. Nie wiedzieliśmy, kiedy przybędziesz.

– Chciałeś powiedzieć, że nie wiedzieliście, czy w ogóle przybędę – rzucił Medivh. – No dobrze. No dobrze. Wciąż możemy coś uratować. Kto wchodził do tej komnaty?

– Lordowie–magowie Huglar i Hugarin – zaczął mówić Lothar.

– To oczywiste – przerwał ostro Medivh. – Musieli tu być, skoro tu zginęli. Kto jeszcze?

– Znalazł ich jeden ze służących – mówił dalej Lothar. – Potem wezwano mnie, a ja przyprowadziłem kilku strażników, by zabrali ciała. Nie pochowano ich jeszcze, więc możesz je zbadać.

Medivh był głęboko zamyślony.

– Hm? Ciała czy strażników? Nieważne, tym zajmiemy się później. Czyli był tu służący, ty i około czterech strażników, tak mówisz? A teraz ja i mój uczeń. Ktoś jeszcze?

– Nie przypominam sobie nikogo – odpowiedział Lothar.

Mag zamknął oczy i wymruczał pod nosem kilka słów. Mogło być to zarówno przekleństwo, jak i zaklęcie. Nagle otworzył oczy.

– Ciekawe. Zaufanie!

Khadgar odetchnął głęboko.

– Panie.

– Potrzebuję twojej młodości i niedoświadczenia. Moje zmęczone oczy mogą widzieć to, co pragnę ujrzeć. Potrzebuję świeżego spojrzenia. Nie bój się zadawać pytań, jeśli chcesz. Chodź tutaj i stań pośrodku komnaty. Nie, nie przekraczaj samego kręgu. Nie wiemy, czy nie pozostały na nim jakieś zaklęcia. Stań tutaj. Teraz powiedz mi, co wyczuwasz.

– Widzę zrujnowaną komnatę – zaczął mówić Khadgar.

– Nie pytałem, co widzisz – przerwał ostro Medivh. – Pytałem, co wyczuwasz.

Khadgar odetchnął głęboko i rzucił pomniejsze zaklęcie, które wyostrzało zmysły i pomagało znaleźć zaginione przedmioty. Było to prosty czar wróżenia, który młodzieniec setki razy wykorzystywał w Fioletowej Cytadeli. Szczególnie przydawał się do wyszukiwania rzeczy, które inni pragnęli ukryć.

Już wypowiedziawszy pierwsze słowa, Khadgar poczuł, że coś jest nie tak. Magię w komnacie cechowała niemrawość. Magia zwykle wydawała



mu się lekka i pełna wigoru, ta jednak zdawała się lepka, niemal płynna w swej naturze. Khadgar nigdy nie czuł czegoś takiego i zastanawiał się, czy było to efektem kręgów mocy, czy też mocy i czarów martwych magów.

Było to wrażenie przypominające zaduch, jakby czuł nieruchome powietrze w komnacie, której nie otwierano od wielu lat. Khadgar próbował zebrać magiczne energie, jednak one stawiały mu opór i jedynie z ogromną niechęcią spełniały jego pragnienia.

Khadgar spochmurniał i spróbował wchłonąć więcej mocy komnaty i magicznej energii. To było proste zaklęcie. W tym pomieszczeniu, gdzie często rzucono zaklęcia, wszystko powinno być prostsze.

Nagle młodego czarodzieja otoczyła gęsta, zatęchła fala magii. Magia była wszędzie wokół, jakby wyjął najniższy kamień i nagle spadł na niego cały mur. Moc mrocznej, ciężkiej magii spadła na niego niczym gruby koc, niszcząc zaklęcie, a jego samego rzucając na kolana. Wbrew woli krzyknął głośno.

Medivh natychmiast znalazł się u jego boku i pomógł młodemu magowi wstać.

– Już dobrze, dobrze – powiedział. – Nie spodziewałem się nawet, że pójdziesz ci aż tak dobrze. Niezła próba. Doskonała robota.

– Co to było? – wydusił Khadgar, który w końcu znów był w stanie oddychać. – Nigdy czegoś takiego nie czułem. To było ciężkie. Oporne. Duszące.

– To dla ciebie dobre wieści – odpowiedział Medivh. – Dobrze, że to wyczułeś. Dobrze, że to zniosłeś. Magia tutaj została spaczona w wyniku tego, co zdarzyło się wcześniej.

– Chodzi ci o wizje? – spytał Khadgar. – Nawet w Karazhanie nigdy nie...

– Nie, nie o to – odrzekł Medivh. – Coś o wiele gorszego. Ci dwaj martwi magowie przyzywali demony. To tę skazę czujesz, ten ciężar magii. Tu był demon. To właśnie zabiło Huglara i Hugarina, biednych, potężnych idiotów.

Przez chwilę panowało milczenie, po czym odezwał się Lothar.

– Demony? W królewskich wieżach? Nie wierzę...

– Och, uwierz w to – powiedział Medivh. – Niezależnie od tego, jaki jest wykształcony i pełen wiedzy, mądry i cudowny, potężny i świątły, każdy mag zawsze może zyskać jeszcze odrobinę mocy, jeszcze trochę wiedzy, jeszcze jedną tajemnicę. Myślę, że ci dwaj wpadli w tę pułapkę, wezwali moce spoza Wielkiej Ciemnej Przestrzeni i zapłacili za to. Idioci. Byli moimi przyjaciółmi i kolegami po fachu, ale jednocześnie byli idiotami.

– Ale jak? – spytał Lothar. – Z pewnością podjęli jakieś środki ostrożności. Zaklęcia ochronne. Jest tu tajemny krąg mocy.

– Łatwy do przerwania, łatwy do przełamania – stwierdził Medivh i pochylił się nad kręgiem, w którym migotała wysuszona krew obu magów. Wyciągnął rękę i podniósł cienką słomkę, która leżała na chłodnych kamieniach. – Otóż to! Zwyczajna słomka z miotły. Jeśli leżała tu, gdy zaczęli rzucać czary, nie mogły ich ochronić żadne zaklęcia i filtry na całym świecie. Demon uznał krąg za łuk, bramę do tego świata. Wyszedł, płonąc piekielnym ogniem, i zaatakował biednych głupców, którzy sprowadzili go do tego świata. Widziałem to już wcześniej.

Khadgar potrząsnął głową. Gęsta ciemność, która zdawała się naciskać na niego ze wszystkich stron, nieco złagodziła nacisk, i młodzieniec zebrał myśli. Rozejrzał się po komnacie. Była zrujnowana – demon podczas ataku

zniszczył wszystko. Jeśli to zwykła słomka przerwała krąg, podczas bitwy z pewnością została przeniesiona w inne miejsce.

– Jak leżały ciała, gdy je znaleziono? – spytał Khadgar.

– Co? – odezwał się Medivh tak ostro, że Khadgar niemal podskoczył.

– Przepraszam – odpowiedział szybko Khadgar. – Powiedziałeś, że powinienem zadawać pytania.

– Tak, tak, oczywiście – stwierdził Medivh tylko odrobinę łagodniejszym tonem. Królewskiego czempiona spytał: – Anduinie Lotharze, jak ułożone były ciała?

– Kiedy przybyłem, leżały na ziemi. Służący ich nie ruszał – powiedział Lothar.

– Twarzą do góry, czy do dołu, panie? – spytał Khadgar najspokojniej, jak potrafił. Czuł na sobie lodowate spojrzenie starszego maga. – Głowami w stronę kręgu czy w stronę okna?

Twarz Lothara zachmurzyła się, gdy mężczyzna przypomniał sobie ten widok.

– W stronę kręgu. I twarzą do dołu. Tak, zdecydowanie. Obaj byli porządnie popaleni ze wszystkich stron i musieliśmy ich odwrócić, żeby upewnić się, że to Huglar i Hugarin.

– Do czego zmierzasz, Zaufanie? – spytał mag, który siedział teraz przy otwartym oknie i głaskał się po brodzie.

Khadgar popatrzył na dwa ślady spalenizny pomiędzy kręgiem ochronnym a oknem i próbował pomyśleć o nich jak o ciałach, a nie niedawno jeszcze żywych magach.

– Jeśli uderzycie kogoś od przodu, upada do tyłu. Jeśli uderzycie kogoś od tyłu, upada do przodu. Czy okno było otwarte, kiedy tu wszedłeś?

Lothar popatrzył na otwarte okno w wykuszu, na chwilę zapominając o leżącym poniżej mieście.

– Tak. Nie. Tak, tak sędę. Ale mógł je otworzyć służący. Strasznie śmierdziało – to właśnie zwróciło jego uwagę. Mogę go spytać.

– Nie trzeba – stwierdził Medivh. – Okno najpewniej było otwarte, gdy służący tu wszedł. – Mag wstał i podszedł do śladów spalenizny. – Tak więc sądzisz, Zaufanie – powiedział – że Huglar i Hugarin stali tutaj, obserwując magiczny krąg, a wtedy coś wleciało przez okno i uderzyło ich od tyłu. – Dla efektu sam klepnął się otwartą dłonią w tył głowy.

– Tak, panie – odpowiedział Khadgar. – To znaczy, to moja teoria.

– Teoria jest dobra – powiedział Medivh – ale niestety błędna. Po pierwsze magowie stali tam, z widokiem na zupełnie nic, chyba że wpatrywali się w magiczny krąg. W takim razie przyzywali demona. Takich kręgów nie wykorzystuje się do innych celów.

– Ale... – zaczął mówić Khadgar, lecz w pod wpływem lodowatego spojrzenia Medivha głos uwiązł mu w gardle.

– A – mówił dalej Medivh – to, co zadziałałoby w wypadku pojedynczego napastnika z pałką czy maczugą, nie zadziałałoby równie dobrze z mrocznymi mocami demonów. Gdyby bestia dyszała ogniem, podpaliłaby obu stojących mężczyzn i zabiła ich, a ich ciała dopiero po podpaleniu upadłyby do przodu. Powiedziałaś, że ciała były spalone z obu stron? – To pytanie zadał Lotharowi.

– Tak – odpowiedział królewski czempion.

Medivh uniósł dłoń przed sobą.

– Demon dyszy ogniem. Pali od przodu. Huglar, lub Hugarin, pada przodem na ziemię, a płomienie rozprzestrzeniają się na plecy. Chyba że demon uderzył Hugarina, lub Huglara, od tyłu, a potem przewrócił ich, żeby upewnić się, że przód też jest spalony, a później obrócił raz jeszcze. Mało prawdopodobne – demony nie są tak metodyczne.

Khadgar czuł, że rumieni się ze wstydu.

– Przepraszam. To była tylko teoria.

– I to dobra – powiedział szybko Medivh. – Po prostu się pomyliłeś. Miałeś rację, okno było otwarte, ponieważ demon tak właśnie opuścił wieżę. Teraz jest na wolności wmieście.

Lothar zaklął krótko i spytał:

– Jesteś pewien?

Medivh pokiwał głową.

– Całkowicie. Ale prawdopodobnie się przyczaił. Nawet zabicie takich dwóch głupców jak Huglar i Hugarin musiało osłabić moce każdej istoty, poza najpotężniejszymi.

– W ciągu godziny mogę zorganizować drużyny poszukiwaczy – powiedział Lothar.

– Nie – sprzeciwił się Medivh. – Chcę zrobić to sam. Nie ma sensu marnować dobrych ludzi, skoro źli już zginęli. Oczywiście, będę chciał zobaczyć trupy. To powie mi, z czym mamy do czynienia.

– Przenieśliśmy je do piwnicy na wina – stwierdził Lothar. – Mogę was tam zaprowadzić.

– Za chwilę – odpowiedział Medivh. – Chcę się jeszcze tu rozejrzeć. Zostawisz mnie tu samego z uczniem na chwilę?

Lothar wahał się przez chwilę, po czym stwierdził:

– Oczywiście. Będę za drzwiami. – Powiedziawszy to, spojrział ostro na Khadgara i wyszedł.

Drzwi zamknęły się i w komnacie zapadła cisza. Medivh podszedł do stołu i zaczął przeglądać podarte księgi i papiery. Podniósł fragment listu z fioletową pieczęcią i potrząsnął głową. Powoli zmiął papier.

– W cywilizowanych krajach – powiedział napiętym głosem – uczniowie nie sprzeciwiają się mistrzom. A przynajmniej nie publicznie. – Odwrócił się do Khadgara, a jego twarz była niczym burzowa chmura.

– Przepraszam – odpowiedział Khadgar. – Powiedziałaś, że mam zadawać pytania, a pozycja ciał wtedy nie wydawała mi się właściwa, póki nie wyjaśniłaś mi, jak ciała zostały spalone...

Medivh uniósł dłoń, a wtedy Khadgar zamilkł. Mag milczał przez chwilę, po czym odetchnął głęboko.

– Wystarczy. Zrobiłaś właściwą rzecz, ani mniej, ani więcej niż od ciebie żądałem. A gdybyś się nie odezwał, pewnie nie uświadomiłbym sobie, że demon zszedł po murze wieży i zmarnowałbym sporo czasu, szukając go na terenie zamku. Ale zadawałaś pytania, ponieważ nie wiesz zbyt wiele o demonach, a to ignorancja. Zaś ignorancji nie będę tolerować.

Stary mag popatrzył na Khadgara, lecz w kącikach jego ust malował się uśmiech. Khadgar, pewien, że burza minęła, opadł na stołek. Wbrew sobie powiedział:

– Lothar...

– Poczekaj – stwierdził Medivh, kiwając głową. – On umie czekać, ten Anduin Lothar. A teraz powiedz mi, czego dowiedziałeś się o demonach podczas pobytu w Fioletowej Cytadeli.

– Słyszałem legendy – zaczął mówić Khadgar. – W Pierwszych Dniach demony chodziły po świecie, a wówczas powstał bohaterowie, którzy mieli je wygnać. – Pomyślał o wizji matki Medivha rozrywającej demony na strzepy i stawiającej czoła ich panu, ale nic nie powiedział. Nie chciał znów rozzłościć Medivha, kiedy ten się uspokoił.

– To podstawowe wiadomości – skomentował Medivh. – To mówimy całemu społeczeństwu. Co jeszcze wiesz?

Khadgar odetchnął głęboko.

– Zgodnie z oficjalnym stanowiskiem Fioletowej Cytadeli, Kirin Tor, demonologię należy odrzucać, potępiać i jej unikać. Każdą próbę wezwania demonów należy wykrywać i powstrzymywać, zaś winni mają być

wygnani. Albo i gorzej. Kiedy dorastałem, wśród młodszych studentów krążyły różne opowieści.

– Opowieści mające oparcie w faktach – powiedział Medivh. – Ale jesteś młodzieńcem o ogromnej ciekawości i, jak zakładam, wiesz więcej, prawda?

Khadgar przechylił głowę i starannie dobierał słowa.

– Korrigan, bibliotekarz naszej akademii, miał wielką kolekcję... dodatkowych materiałów w swoim posiadaniu.

– I potrzebował kogoś, kto pomógłby ją uporządkować – stwierdził sucho Medivh. Khadgar musiał aż podskoczyć, gdyż Medivh dodał: – Tylko zgadywałem, Zaufanie.

– Te materiały to głównie ludowe opowieści i raporty miejscowych władz dotyczące wyznawców demonów. Większość z nich opisywała po prostu osobników dopuszczających się ohydnych czynów w imieniu takiego czy innego demona ze starych legend. Nic o tym, jak naprawdę wzywa się demona. Żadnych zaklęć czy notatek. – Khadgar wskazał na ochronny krąg. – Żadnych opisów ceremonii.

– Oczywiście – powiedział Medivh. – Nawet Korrigan nie pozwoliłby uczniom natrafić na coś takiego. Jeśli ma takie materiały, to trzyma je osobno.

– Poza tym, wszyscy sądzą, że kiedy demony pokonano, zostały całkowicie wygnane z naszego świata. Wypchnięto je ze świata życia i żywych istot, do ich własnej domeny.

– Wielkiej Ciemnej Przestrzeni. – Medivh wypowiedział te trzy słowa niczym fragment modlitwy.

– Wciąż tam są, tak w każdym razie mówią legendy – mówił dalej Khadgar – i chcą powrócić. Niektórzy mówią, że odnajdują ludzi o słabej woli i we śnie nakłaniają ich do odnajdywania starych zaklęć i składania

ofiar. Czasem chodzi o to, by otworzyć im drogę powrotu. Inni mówią, że demony chcą, by ich wyznawcy i ofiary uczyniły świat takim, jakim był wcześniej, krwawym i pełnym przemocy, a dopiero wtedy powrócą.

Medivh milczał przez chwilę, głaszcząc się po brodzie, po czym spytał:

– Coś jeszcze?

– Dużo więcej. Detale i poszczególne historie. Widziałem rzeźby demonów, rysunki, diagramy. – Khadgar znów poczuł chęć, by opowiedzieć Medivhowi o swojej wizji, o armii demonów. Miał tego dodać: – I jeszcze ten stary poemat epicki, ten o Aegwynn walczącej z hordą demonów w odległej krainie.

Ta wzmianka sprawiła, że na twarzy Medivha pojawił się łagodny uśmiech.

– Ach, tak. „Pieśń o Aegwynn”. Ten poemat znajdziesz w komnatach wielu potężnych magów.

– Mój nauczyciel, lord Guzbah, był nim bardzo zainteresowany.

– Naprawdę? – spytał z uśmiechem Medivh. – Z całym szacunkiem, ale nie sądzę, by Guzbah był na niego gotów, a zwłaszcza w prawdziwej postaci. – Uniósł brwi. – To, co wiesz, jest ogólnie rzecz biorąc prawdą. Wielu ludzi traktuje to jak legendy lub baśnie, lecz ty wiesz chyba równie dobrze jak ja, że demony istnieją, żyją w swojej domenie, i owszem, są zagrożeniem dla tych z nas, którzy chodzą po tym świecie, jak również dla innych światów. Uważam, tak, uważam, że twój świat z czerwonym słońcem był innym światem na dalekim końcu Wielkiej Ciemnej Przestrzeni. Przestrzeń jest więzieniem dla demonów, miejscem bez światła i wytchnienia, i dlatego są one bardzo, ale to bardzo zazdrosne i bardzo, ale to bardzo pragną powrócić.

Khadgar pokiwał głową, a Medivh mówił dalej.



– Ale twoje założenie, że ofiary są ludźmi słabej woli, jest błędne, choć ponownie błąd ten ma swoje przyczyny. Na świecie jest wielu najemnych parobków, którzy wzywają moce demonów, by zemścić się na dawnej kochance, czy głupich kupców, którzy czarną świecą podpalają rachunek, koszmarne kalecząc imię niegdyś potężnego demona. Ale równie często zdarzają się ci, którzy z własnej woli i świadomie wchodzą do otchłani, którzy czują się bezpieczni i pewni, że im nic nie grozi, że są na tyle potężni, by ujarzmić demoniczne moce kryjące się za murami świata. Są oni bardziej niebezpieczni niż zwykle pospólstwo, gdyż, jak wiesz, w rzucaniu czarów połowiczny sukces jest o wiele gorszy niż zupełna porażka.

Khadgar mógł tylko pokiwać głową. Zastanawiał się, czy Medivh umie czytać w myślach.

– Ale to byli potężni magowie... to znaczy Huglar i Hugarin.

– Najpotężniejsi w całym Azeroth – zgodził się Medivh. – Najmądrzejsi i najlepsi czarodzieje, doradcy samego króla Llane’a. Mądrzy i na stanowisku!

– Oni z pewnością wiedzieli, czym to grozi? – spytał Khadgar.

– Tak by się wydawało – stwierdził Medivh. – A jednak stoimy w ruinach ich komnaty, a ich spalone przez demony ciała leżą w piwnicy na wino.

– Czemu więc to zrobili? – Khadgar zmarszczył czoło, próbując nikogo nie obrazić. – Skoro wiedzieli tak wiele, czemu próbowali przyzwać demona?

– Wiele powodów – stwierdził Medivh z westchnieniem. – Pycha, ta fałszywa duma, która poprzedza upadek. Nadmierna pewność siebie, każdego z nich z osobna, jeszcze podwojona, gdyż pracowali razem. A przede wszystkim, jak sądzę, strach.

– Strach? – Khadgar spojrział pytająco na Medivha.

– Strach przed nieznanym – powiedział Medivh. – Strach przed znanym. Strach przed potężniejszymi od nich.

Khadgar potrząsnął głową.

– Cóż może być potężniejszego od dwóch najpotężniejszych i najbardziej uczonych magów w całym Azeroth?

– Ach – powiedział Medivh, a pod jego brodą pojawił się uśmiech. – Chodzi o mnie. Zabili się, wzywając demona, bawiąc się mocami, które lepiej pozostawić w spokoju, ponieważ bali się mnie.

– Ciebie? – spytał Khadgar, a zaskoczenie w jego głosie było większe, niż chciał. Przez chwilę obawiał się, że znów obrazi starszego maga.

Ale Medivh tylko odetchnął głęboko i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Mnie. Byli głupcami, ale ja też czuję się winien. Chodź, chłopcze, Lothar może poczekać. Najwyższy czas, bym opowiedział ci historię strażników i zakonu Tirisfal, który jest jedyną rzeczą, która stoi między nami a ciemnością.

## Rozdział 8

# Lekcje

Aby zrozumieć zakon – powiedział Medivh – musisz zrozumieć demony. Musisz zrozumieć magię. – Opadł na krzesło, które jakimś cudem oparło się zniszczeniu. Nawet leżało na nim kilka nie podartych poduszek.

– Lordzie Medivhie... magu... – zaczął mówić Khadgar. – Skoro w mieście Stormwind jest demon na swobodzie, to powinniśmy skoncentrować się na nim, a nie na lekcjach historii, które mogą poczekać.

Medivh spojrzał na niego, a Khadgar zaczął się bać, że czeka go kolejny wybuch gniewu mistrza. Ale mag tylko potrząsnął głową i powiedział z uśmiechem:

– Twoja troska miałaby podstawę, gdyby wspomniany demon był zagrożeniem dla wszystkich wokół. Uwierz mi na słowo, że tak nie jest. Demon, nawet jeśli jest najpotężniejszym oficerem Płonącego Legionu, wykorzystał większość mocy na zajęcie się dwoma potężnymi magami, którzy go przywołali. Nie jest ważny, przynajmniej na razie. Ważne jest, byś zrozumiał, czym jest zakon, kim ja jestem i dlaczego inni tak bardzo się nim interesują.

– Ale magu... – zaczął mówić Khadgar.

– Im wcześniej skończę, tym wcześniej będę wiedział, że mogę powierzyć ci te informacje i tym wcześniej ruszę na polowanie na tego

pomniejszego demona, więc jeśli naprawdę tego pragniesz, powinienes pozwolíc mi skończyć, co? – Medivh uśmiechnął się znacząco do młodego maga.

Khadgar otworzył usta, by się sprzeciwić, ale zmienił zdanie. Oparł się o szeroką półkę przy otwartym oknie. Mimo wysiłku służących i wyniesienia ciał z wieży, duszący smród ich śmierci nadal wisiał w powietrzu.

– Dobrze. Czym jest magia? – spytał Medivh tonem nauczyciela.

– Otaczającym nas polem energii, które przenika cały świat – powiedział Khadgar właściwie odruchowo. To było jak katechizm, prosta odpowiedź na proste pytanie. – W niektórych miejscach to pole jest mocniejsze niż w innych, ale jest wszędzie.

– Tak jest – odpowiedział starszy mag – przynajmniej teraz. Ale wyobraź sobie czasy, gdy tak nie było.

– Magia jest wszechobecna – powiedział Khadgar. Już kiedy mówił, wiedział, że wkrótce okaże się, iż tak nie jest. – Jak powietrze albo woda.

– Tak, jak woda – wtrącił Medivh. – Teraz wyobraź sobie czas u samego początku rzeczy, gdy wszelka woda w całym świecie była w jednym miejscu. Cały deszcz i rzeki, morza i strumyki, wszystkie mżawki, potoki i łązy, wszystko w jednym miejscu, w jednej studni.

Khadgar powoli pokiwał głową.

– Teraz wyobraź sobie, że zamiast wody mówimy o magii – stwierdził Khadgar. – Studni magii, źródle, wrotach do innych wymiarów, migoczącej bramie do krain poza Wielką Ciemnością, poza murami świata. Pierwsi, którzy umieli rzucać zaklęcia, zamieszkali wokół studni i zmieniali jej surową moc w magię. Wówczas zwano ich kaldorei. Nie wiem, jak nazywa się ich teraz.

Medivh spojrział na Khadgara, lecz młodzieniec milczał, więc starszy mag zaczął mówić dalej.

– Kaldorei dzięki wykorzystywaniu magii stali się potężni, lecz nie pojmowali jej natury. Nie wiedzieli, że w Wielkiej Ciemnej Przestrzeni istniały inne, potężne moce, poruszające się pomiędzy światami, które pragnęły magii i były bardzo zainteresowane tymi, którzy ją opanowali i wykorzystywali dla swoich celów. Te złe siły były plugastwem, potworami i koszmarami setek światów, lecz my zwiemy je po prostu demonami. Próbowaly one zdobyć każdy świat, gdzie wykorzystywano i pielęgnowano magię, i zniszczyć go, zatrzymując dla siebie moce. Największym z nich, panem Płonącego Legionu, był demon imieniem Sargerass.

Khadgar pomyślał o wizji Aegwynn i stłumił drżenie. Nawet jeśli Medivh zauważył reakcję młodego maga, nic nie powiedział.

– Pan Płonącego Legionu był jednocześnie potężny i subtelny. Próbował zdeprawować pierwszych czarodziejów, kaldorei. Udało mu się, gdyż na ich serca padł cień i z innych ras, w tym rodzących się ludzi, uczynili swoich niewolników, by wybudować imperium.

Medivh westchnął.

– W czasach, gdy kaldorei zostali zniewoleni, byli tacy, którzy widzieli więcej niż ich bracia, którzy byli gotowi sprzeciwić się kaldorei i zapłacić za swoją wizję. Te dzielne jednostki, zarówno kaldorei jak i inne rasy, widziały, jak serca władców stają się zimne i ciemne, a moc demonów wzrasta.

Nadszedł więc czas, gdy kaldorei zostali tak zdeprawowani przez Sargerasa, że niemal skazali ten świat na zagładę w chwili jego narodzin. Ignorowali tych, którzy sprzeciwiali się im, i otworzyli bramę, przez którą najpotężniejsze demony, Sargerass i jego towarzysze, mogły dokonać inwazji. Tylko dzięki bohaterskim czynom niewielkiej garstki migocząca

brama prowadząca do Wielkiej Ciemności została zamknięta, a Sargeras i jego wyznawcy wygnani. Zwycięstwo kosztowało jednak słono. Studnia Wieczności wybuchła, gdy zamknięto bramę, a wybuch ten rozerwał serce naszego świata, niszcząc ziemie kaldorei i sam kontynent, na którym się znajdowały. Tych, którzy zamknęli bramę, już nigdy nie widziano.

– Kalimdor! – powiedział Khadgar, wbrew sobie przerywając magowi.

Medivh spojrzał na niego, a Khadgar mówił dalej.

– To stara legenda z Lordaeronu! Kiedyś była zła rasa, która bezmyślnie bawiła się wielką mocą. Jako kara za grzechy ich ziemie zostały zniszczone i zakryte przez fale. Nazwano to Zatopieniem Świata. Ich ziemie nazywały się Kalimdor.

– Kalimdor – powtórzył Medivh. – Choć poznałeś tylko dziecięcą wersję tej historii, ten fragment, który opowiadamy kandydatom na magów, by podkreślić jak niebezpieczne jest to, czym się bawią. Kaldorei byli głupi i zniszczyli siebie, a prawie i nasz świat. A gdy Studnia Wieczności wybuchła, zgromadzona w niej magiczna energia rozproszyła się na wszystkie strony świata, spadając w wiecznym deszczu magii. I dlatego właśnie magia jest wszechobecna – taka była moc śmierci studni.

– Ale, magu – odezwał się Khadgar – to było tysiące lat temu.

– Dziesięć tysięcy lat temu – powiedział Medivh – plus minus dwadzieścia.

– Jak to możliwe, że ta legenda została nam przekazana? Historia Dalaranu sięga dwa tysiące lat wstecz, ale najwcześniejsze opowieści to tylko legendy.

Medivh pokiwał głową i zaczął opowiadać dalej.

– Wielu zginęło podczas zatopienia Kalimdoru, ale niektórzy przeżyli i zabrali ze sobą swoją wiedzę. Część z tych, którzy przeżyli, stworzyła później zakon Tirisfal. Nawet ja nie wiem, czy Tirisfal było osobą,

miejscem, rzeczą czy też ideą. Zabrali wiedzę o tym, co się wydarzyło i przysięgli, że nie dopuszczą, by to się powtórzyło. Jest to fundament zakonu.

Rasa ludzka również przeżyła te mroczne dni i rozkwitała. Wkrótce, dzięki magii wpisanej w samą materię wszechświata, ludzie też zaczęli drapać w drzwi rzeczywistości, zaczęli przyzywać istoty z Wielkiej Ciemności, próbując otworzyć zamknięte wrota więzienia Sargerasa. Wówczas ci z kaldorei, którzy przeżyli i się zmienili, wystąpili i opowiedzieli historię o tym, jak ich przodkowie niemal zniszczyli świat.

Pierwsi ludzcy magowie rozważyli to, co powiedzieli ocaleli kaldorei i uświadomili sobie, że nawet gdyby odłożyli różdżki, grimuary i szyfry, inni zaczęliby szukać, nieświadomie lub świadomie, sposobów na ponowne otwarcie demonom drogi do naszych zielonych krain. Dlatego też kontynuowali działalność zakonu, teraz jako tajemnego stowarzyszenia wśród najpotężniejszych z magów. Ten zakon Tirisfal wybierał jednego spośród siebie, który miał służyć jako strażnik *Tirisfalen*. Ten strażnik otrzymywał największe moce i miał być odzwierciedleniem rzeczywistości. Brama jednak nie była już jedną wielką studnią mocy, lecz raczej nieskończonym deszczem, który pada do dzisiaj. Wierz mi, to najcięższy obowiązek na całym świecie.

Medivh umilkł, a jego oczy na chwilę zamglily się, jakby nagle został pociągnięty w przeszłość. Potem potrząsnął głową, wracając do siebie, ale wciąż się nie odzywał.

– Ty jesteś strażnikiem – powiedział po prostu Khadgar.

– Tak – odpowiedział Medivh. – Jestem dzieckiem największej strażniczki wszech czasów, a moc otrzymałem wkrótce po narodzinach. To było dla mnie... zbyt wiele i zapłaciłem za to sporą częśćią swej młodości.

– Ale powiedziałaś przecież, że magowie wybierali spośród siebie – sprzeciwił się Khadgar. – Czy magini Aegwynn nie mogła wybrać starszego kandydata? Czemu wybrała dziecko, szczególnie swoje własne?

Medivh odetchnął głęboko.

– Pierwsi strażnicy, przez pierwsze tysiąclecie, wybierani byli ze starannie wyselekcjonowanej grupy. Samo istnienie zakonu utrzymywano w tajemnicy, podobnie jak życzenia jego pierwszych twórców. W miarę upływu czasu jednak swoją rolę zaczęły grać polityka i partykularne interesy, tak że strażnik wkrótce stał się niewiele więcej niż służącym, magicznym chłopcem na posyłki. Niektórzy z bardziej potężnych magów uważali, że zadaniem strażnika jest powstrzymywanie wszystkich innych przed korzystaniem z mocy, którą sami posiadali. Podobnie jak w wypadku kaldorei, wśród członków zakonu pojawił się cień deprawującej mocy. Coraz więcej demonów przedostawało się na drugą stronę, nawet sam Sargeraz zmanifestował małe kawałki siebie. To był ułamek jego mocy, ale to wystarczyło, by zabijać armie i niszczyć narody.

– Magini Aegwynn – Medivh wypowiedział te słowa i przerwał, zupełnie jakby nie był przyzwyczajony do ich wypowiedziania. – Ta, która mnie zrodziła, sama urodziła się niemal tysiąc lat temu. Była niezwykle utalentowana i wybrana przez innych członków zakonu na strażnika. Myślę, że najmądrzejsi z mądrych tamtych czasów sądzili, iż będą w stanie ją kontrolować, a w ten sposób nadal używać strażnika jako pionka we własnych grach politycznych.

– Zaskoczyła ich – wypowiadając te słowa, Medivh uśmiechnął się. – Nie dała sobą manipulować i nawet walczyła z kilkoma najpotężniejszymi magami swoich czasów, gdy ci padli ofiarą demonicznych podszeptów. Niektórzy myśleli, że jej niezależność jest czymś przemijającym, a gdy nadejdzie jej czas, będzie musiała przekazać moc bardziej podatnemu



kandydatowi. Ponownie ich zaskoczyła, gdyż wykorzystując wewnętrzną moc, żyła przez tysiąc lat, niezmienna, i z mądrością wykorzystywała swoją magię. Tak oto zakon i strażnik się rozdzielili. Ten pierwszy może doradzać temu drugiemu, ale drugi musi być w stanie rzucić wyzwanie pierwszemu, by uniknąć tego, co stało się z kaldorei.

Przez tysiąc lat walczyła z wielką ciemnością, nawet rzuciła wyzwanie fizycznemu aspektowi samego Sargerasa, który przedostał się do tego świata i próbował zniszczyć mityczne smoki, dodając ich moc do swojej. Magini Aegwynn spotkała się z nim i pokonała go, ukrywając jego ciało w nieznanym miejscu, nie pozwalając mu powrócić do wielkiej ciemności, która daje mu moc. To właśnie opisano w poemacie epickim „Pieśń o Aegwynn”, który chce otrzymać Guzbah. Ale nie mogła robić tego bez końca, a zawsze musi istnieć strażnik.

– Wtedy... – Głos Medivha znów się załamał. – Miała jeszcze jednego asa w rękawie. Choć potężna, nadal była śmiertelniczką. Spodziewano się, że przekaze swoją moc. Miast tego zrodziła dziewczica czarodziejowi z dworu Azeroth i wybrała to dziecko na swojego następcę. Zagroziła zakonowi, że jeśli jej wybór nie zostanie uszanowany, nie zrezygnuje i zabierze moc strażnika do grobu, a nie odda jej komuś innemu. Zakon czuł, że może być w stanie łatwiej manipulować dzieckiem... mną... więc się zgodził.

– Moc była zbyt wielka – stwierdził Medivh. – Gdy byłem młodym mężczyzną, młodszym od ciebie, obudziła się we mnie i spałem przez ponad dwadzieścia lat. Aegwynn miała tyle życia, a ja większość swojego straciłem. – Znów zadrżał mu głos. – Aegwynn... moja matka... – zaczął mówić, ale nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.

Khadgar przez chwilę siedział w milczeniu. Potem Medivh wstał, potrząsnął głową i stwierdził:

– A kiedy spałem, zło znów wkradło się do naszego świata. Jest coraz więcej demonów i coraz więcej orków. A teraz członkowie mojego własnego zakonu wędrują mroczną drogą. Tak, Huglar i Hugarin byli członkami zakonu, podobnie jak inni, na przykład stary Arrexis z Kirin Tor. Tak, jemu przytrafiło się coś podobnego, a choć ładnie to zatuszowano, z pewnością coś o tym słyszałeś. Obawiali się mocy mojej matki i obawiają się mnie, a ja muszę pilnować, by ich strach ich nie zniszczył. Takie zadanie spoczywa na barkach strażnika Tirisfal.

Starszy mężczyzna wyprostował się.

– Muszę ruszać!

– Ruszać? – spytał Khadgar, nagle zaskoczony, jak wiele energii kryło się w tym chudym ciele.

– Jak słusznie zauważyłeś, w mieście jest demon – stwierdził Medivh z nowym uśmiechem. – Zagrmijcie w rogi, muszę go odnaleźć, nim odzyska rozum i moc i zacznie zabijać innych!

Khadgar wyprostował się.

– Gdzie zaczynamy?

Medivh zatrzymał się i odwrócił, po czym spojrział na młodzieńca z zakłopotaniem.

– Ach. My nigdzie nie zaczynamy. Ja zaczynam. Jesteś utalentowany, ale nie dorosłeś jeszcze do demonów. Ta bitwa będzie tylko moja, młody uczniu Zaufanie.

– Magu, jestem pewien, że...

Ale Medivh podniósł dłoń, by go uciszyć.

– Potrzebuję też, byś został tutaj i miał uszy szeroko otwarte – dodał Medivh cichszym tonem. – Nie wątpię, że stary Lothar spędził ostatnie dziesięć minut z uchem przy drzwiach i na jego twarzy będzie odcisk w kształcie dziurki od klucza. – Medivh uśmiechnął się. – Wie wiele, ale nie

wszystko. Dlatego musiałem ci powiedzieć, żeby zbyt wiele z ciebie nie wyciągnął. Potrzebuję kogoś, by strzegł strażnika, że tak powiem.

Khadgar spojrział na Medivha, a wtedy starszy mag zamrugał. Potem podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie.

Lothar nie wpadł do komnaty, ale stał tam, zaraz po drugiej stronie. Mógł podsłuchiwać albo tylko stać na straży.

– Med – powiedział Lothar z przebiegłym uśmiechem. – Jego Wysokość...

– Jego Wysokość doskonale mnie zrozumie – powiedział Medivh, mijając starszego mężczyznę. – Zrozumie, że wolę raczej spotkać szalejącego demona niż przywódcę kraju. Priorytety i tak dalej. Tymczasem, czy zajmiesz się moim uczniem?

Powiedział to na jednym oddechu, po czym wyszedł, minął korytarz i znikł na schodach, pozostawiając Lothara z rozpoczętym zdaniem na ustach.

Stary wojownik potarł wielką ręką łysinę i westchnął przesadnie. Potem spojrział na Khadgara i westchnął ponownie, jeszcze głębiej.

– Wiesz, on zawsze taki był – stwierdził Lothar, jakby Khadgar rzeczywiście to wiedział. – Pewnie jesteś głodny. Zobaczmy, czy znajdzie nam coś do zjedzenia.

Posiłek składał się z zimnego kapłona zabranego ze spiżarni i trzymanego przez Lothara pod pachą oraz dwóch kufli *ale* wielkości dzbanów, każdy w jednej ręce. Biorąc pod uwagę sytuację, królewski czempion był zadziwiająco spokojny. Zaprowadził Khadgara na znajdujący się wysoko balkon z widokiem na miasto.

– Mój panie – odezwał się Khadgar. – Mimo prośby maga rozumiem, że masz inne zadania.

– Zgadza się – odpowiedział Lothar – a większością zająłem się, gdy rozmawiałeś z Medivhem. Jego Wysokość król Llane jest w swoich komnatach, podobnie jak większość dworzan, i jest strzeżony na wypadek, gdyby demon zdecydował się ukryć na zamku. Wysłałem również agentów do miasta z rozkazami, by zawiadamiali mnie o wszystkich podejrzanych zdarzeniach, jednocześnie nie robiąc nic podejrzanego. Brakuje nam jeszcze tylko paniki z powodu demona. Zrzuciłem wędkę i teraz mogę tylko czekać. – Spojrzał na młodszego mężczyznę. – A moi porucznicy wiedzą, że będę na tym balkonie, ponieważ zawsze jem tu późny obiad.

Khadgar rozważył słowa Lothara i pomyślał, że królewski czempion bardzo przypomina Medivha – nie tylko planuje wszystko na kilka kroków naprzód, ale też sprawia mu przyjemność opowiadanie innym, jak wszystko zaplanował. Uczeń wziął pokrojone w plastry mięso z piersi, zaś Lothar wgryzł się w udko.

Przez dłuższą chwilę jedli w milczeniu. Ptak był całkiem niezły, ponieważ potraktowano go mieszaniną rozmarynu, bekonu i owczego smalcu, którą wepchnięto pod skórę przed pieczeniem. Nawet na zimno rozpląwał się w ustach. *Ale* z kolei było cierpkie w smaku, o bogatym aromacie nizinnego chmielu.

Przed sobą widzieli panoramę miasta. Sama cytadela znajdowała się na skale, która już oddzielała króla od jego poddanych, a dodatkowa wysokość wieży sprawiała, że mieszkańcy Stormwind wyglądali niczym niewielkie lalki spieszące po zatłoczonych ulicach. Poniżej rozgrywały się sceny typowe dla zwykłego targowego dnia – na progach sklepów o barwnych markizach stali przekupnie, wykrzykując (bardzo cicho, tak wydawało się Khadgarowi) pochwałę swoich towarów.

Khadgar na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje, co widział i dlaczego się w ogóle tutaj znalazł. Miasto było piękne. Dopiero głos Lothara wyrwał

go z zadumy.

– I? – zaczął Lothar, jakby wracając do ich rozmowy. – Co z nim?

Khadgar zastanawiał się przez chwilę, po czym odpowiedział:

– Jest w dobrym zdrowiu. Widziałeś to sam, panie.

– Ba. – Lothar splunął, a Khadgar przez chwilę zastanawiał się, czy rycerz nie zadławił się przypadkiem dużym kawałkiem mięsa. – Widzę to i wiem, że Med potrafi oszukać właściwie każdego. Chciałem cię spytać, jaki jest?

Khadgar znów popatrzył na miasto, zastanawiając się, czy potrafi tak jak Medivh, ominąć pytania starszego mężczyzny, odmówić odpowiedzi, nie obrażając go jednocześnie.

Nie, uznał, Medivh wykorzystywał lojalność i przyjaźń starszą od niego samego. Khadgar musiał znaleźć jakąś inną odpowiedź. Westchnął i powiedział:

– Wymagający. Jest bardzo wymagający. I inteligentny. I zaskakujący. Czasem czuję się, jakbym został uczniem tornado. – Spojrzał na Lothara, unosząc brwi, z nadzieją, że to wystarczy.

Lothar pokiwał głową.

– Tornado, zgadza się. I burza też, tak podejrzewam.

Khadgar niezgrabnie wzruszył ramionami.

– Ma swoje humory, jak każdy.

– Hmf – powiedział królewski czempion. – Stajenny ma humory, więc kopie psa. Mag ma humory, więc znika miasto. Bez obrazy.

– Bez obrazy, panie – odpowiedział Khadgar, myśląc o martwych magach w komnacie na wieży. – Pytałeś się, jaki on jest. Jest wszystkimi tymi rzeczami.

– Hmf – mruknął znów Lothar. – Jest bardzo potężną osobą.

Khadgar pomyślał: *a ty martwisz się tym tak, jak inni czarodzieje.*  
Powiedział jednak tylko:

– Dobrze o tobie mówi.

– Co powiedział? – spytał Lothar szybciej, niż pewnie chciał.

– Tylko – Khadgar starannie dobierał słowa – że bardzo mu pomogłeś, kiedy był chory.

– Zgadza się – mruknął czempion, wgrzyzając się w kolejne udko.

– I że jesteś wyjątkowo spostrzegawczy – dodał Khadgar, czując, że był to wystarczający wyciąg z opinii Medivha na temat wojownika.

– Miło wiedzieć, że to zauważyła – powiedział Lothar z pełnymi ustami. Zapanowała cisza, gdy przeżuwał i przełykał. – Czy wspomniał ci o strażniku?

– Rozmawialiśmy o tym – odpowiedział Khadgar, czując, że balansuje nad słowną przepaścią. Medivh nie powiedział mu, ile wie Lothar. Uznał, że milczenie jest najlepszą odpowiedzią i pozwolił, by jego stwierdzenie zawisło w powietrzu.

– A nie jest sprawą ucznia dyskusowanie o działaniach mistrza, co? – powiedział Lothar z uśmiechem, który wydawał się odrobinę zbyt wymuszony. – Dalej, jesteś przecież z Dalaranu. W tym gnieździe magów – zmij jest więcej tajemnic na stopę kwadratową niż gdziekolwiek na kontynencie. Ponownie, bez obrazy.

Khadgar zareagował na ten komentarz wzruszeniem ramionami. Dyplomatycznie stwierdził:

– Zauważyłem, że tutaj rywalizacja między magami jest mniejsza niż w Lordaeronie.

– I chcesz mi powiedzieć, że twoi mistrzowie nie posłali cię z listą zakupów, czyli rzeczy, które masz wyciągnąć z wielkiego maga? – Lothar

wyszczерzył się jeszcze bardziej, a jego uśmiech zdawał się niemal współczujący.

Khadgar poczuł, że się rumieni. Stary wojownik strzelał niebezpiecznie blisko dziesiątki.

– Wszelkie prośby z Fioletowej Cytadeli zostały rozważone przez Medivha. Dotychczas był bardzo hojny.

– Hmf – prychnął Lothar. – To musi znaczyć, że nie pytają o to, co trzeba. Wiem, że tutejsi magowie, włączając w to Huglara i Hugarina, pokój ich duszom, ciągle wypytywali go o to albo tamto i skarżyli się do mnie lub do Jego Wysokości, gdy na to nie reagował. Jakbyśmy mieli nad nim władzę!

– Nie sądzę, by ktokolwiek ją miał – stwierdził Khadgar, a dalsze komentarze utopił w *ale*.

– Nawet jego własna matka, jak rozumiem – dodał Lothar.

Był to komentarz mimochodem, a jednak ciął ostro niczym nóż. Khadgar bardzo chciał dowiedzieć się od Lothara więcej na ten temat, ale się powstrzymał.

– Obawiam się, że jestem zbyt młody, by o tym wiedzieć – odpowiedział. – Czytałem trochę na jej temat. Wydawała się potężnym magiem.

– A ta cała moc jest teraz w nim – stwierdził Lothar. – Spłodziła go z czarodziejem z tego właśnie dworu, karmiła go czystą magią i wlała w niego swoją moc. Tak, wiem o tym wszystko, zebrałem wszystkie elementy układanki, gdy zapadł w tamtą śpiączkę. Zbyt wiele, zbyt młodo. Nawet teraz się martwię.

– Obawiasz się, że jest zbyt potężny? – spytał Khadgar, a Lothar zmroził go nagłym, przenikliwym spojrzeniem. Młody mag kopnął się w

duchu za mówienie, co myśli, zwłaszcza że jego słowa były praktycznie oskarżeniem gospodarza.

Lothar uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Wręcz przeciwnie, chłopcze, martwię się, że nie jest wystarczająco potężny. W królestwach dzieją się straszliwe rzeczy. Te orki, które widziałeś w zeszłym miesiącu, mnożą się niczym króliki po deszczu. A trolle, niedawno prawie wymarłe, widywane są coraz częściej. A teraz, kiedy rozmawiamy, Medivh poluje na demona. Nadchodzą złe czasy, a ja mam nadzieję, nie, modłę się, żeby wystarczyło mu na to sił. Przez ponad dwadzieścia lat, gdy był w śpiączce, musieliśmy sobie radzić bez strażnika. Nie chcę, byśmy musieli żyć bez niego przez kolejne dwadzieścia, szczególnie w takich czasach.

Khadgar poczuł się zawstydzony.

– Czyli kiedy pytasz: „Co z nim?”, chodzi ci o to...

– Co z nim? – dokończył Lothar. – Nie chcę, by w takim momencie osłabł. Orki, trolle, demony, a poza tym... – Lothar umilkł i spojrzał na Khadgara, po czym spytał: – Mogę założyć, że wiesz już o strażniku?

– Możesz tak założyć – odpowiedział Khadgar.

– O zakonie też? – spytał ponownie Lothar, po czym uśmiechnął się. – Nie musisz nic odpowiadać, chłopcze, twoje oczy cię zdradziły. Nigdy nie graj ze mną w karty, co?

Khadgar czuł, że znajduje się na krawędzi przepaści. Medivh ostrzegł go, by nie mówił zbyt wiele czempionowi, ale Lothar sam najwyraźniej wiedział tyle, co Khadgar, a nawet więcej.

Lothar odezwał się spokojnym tonem.

– Nie posłalibyśmy po Meda, gdyby chodziło o zwykły wypadek podczas rzucania czarów. A nawet gdyby dwóch zwykłych czarodziejów padło ofiarą swoich zaklęć. Huglar i Hugarin byli najlepsi, najpotężniejsi.



Była jeszcze jedna, nawet potężniejsza, ale ona miała wypadek dwa miesiące temu. Cała trójka była, jak wierzę, członkami waszego zakonu.

Khadgar poczuł, że dreszcz przechodzi mu po plecach. Udało mu się wydusić:

– Nie czuję się zbyt dobrze, rozmawiając na ten temat.

– To nie rozmawiaj – odpowiedział Lothar, a jego zmarszczone brwi przypominały starożytny łańcuch górski. – Troje potężnych magów, najpotężniejszych w Azeroth. Oczywiście, nie mogli się równać z Medem czyjego matką, ale byli wielkimi i potężnymi czarodziejami. Wszyscy martwi. Mogę uwierzyć, że jeden mag miał pecha albo został zaskoczony, ale troje? Wojownik nie wierzy w takie przypadki. Jest tego więcej – mówił dalej królewski czempion. – Mam swoje sposoby, by dowiadywać się różnych rzeczy. Kupcy z karawan, najemnicy i poszukiwacze przygód, którzy przybywają do miasta, często znajdują chętnego słuchacza w starym Lotharze. Przybywają wieści z Ironforge i Alterac, a nawet z samego Lordaeronu. Była plaga takich wypadków, jeden po drugim. Myślę, że ktoś, a może nawet gorzej, coś, poluje na wielkich magów z tego tajemnego zakonu. Tutaj i w samym Dalaranie, nie wątpię.

Khadgar uświadomił sobie, że starszy mężczyzna przyglądał się jego twarzy podczas całej swojej przemowy, a jednocześnie nagle przypomniał sobie o plotkach, które słyszał przed opuszczeniem Fioletowej Cytadeli. Starożytni magowie, którzy nagle znikali, a góra wszystko wyciszała. Wielka tajemnica Kirin Tor, część samego problemu.

Wbrew sobie Khadgar odwrócił się i spojrzął na miasto.

– Tak, Dalaran też, jak widzę – stwierdził Lothar. – Stamtąd nie przychodzi zbyt wiele wieści, ale założyłbym się, że są podobne, co?

– Sądzisz, że wielki mag jest w niebezpieczeństwie? – spytał Khadgar. Wyrażna troska starego wojownika pokonywała powoli pragnienie, by nic

mu nie powiedzieć.

– Sądzę, że Medivh jest wcielonym niebezpieczeństwem – odpowiedział Lothar. – I podziwiam każdego, kto odważył się mieszkać z nim pod jednym dachem. – Brzmiało to jak żart, lecz królewski czempion się nie uśmiechnął. – Ale owszem, coś się dzieje, i może się to wiązać z demonami, orkami albo jeszcze czymś innym. A ja nie chciałbym stracić w takim momencie naszej najpotężniejszej broni.

Khadgar spojrział na Lothara, próbując odczytać zmarszczki na twarzy mężczyzny. Czy stary wojownik martwi się o przyjaciela, czy też o możliwość utraty magicznej osłony? Czy martwi się o bezpieczeństwo Medivha, który mieszka sam w dziczy, czy też obawia się, że coś poluje na nich wszystkich? Twarz wojownika była niczym maska, a jego niebieskie jak morze oczy nie zdradzały, co Lothar naprawdę myśli.

Khadgar spodziewał się prostego wojownika, rycerza oddanego swym obowiązkom, lecz ten królewski czempion był czymś więcej. Sprawdzał Khadgara, szukając słabego punktu, szukając informacji, ale w jakim celu?

*Potrzebuję kogoś, żeby strzegł strażnika, powiedział Medivh.*

– Z nim wszystko w porządku – powiedział Khadgar. – Martwisz się o niego, a ja dzielę twoje troski. Ale on dobrze sobie radzi i wątpię, by cokolwiek lub ktokolwiek mogło mu zaszkodzić.

Niepojęte oczy Lothara wydawały się zapadać się w siebie, ale tylko przez krótką chwilę. Mężczyzna miał zamiar powiedzieć coś więcej, ponowić przyjacielskie przesłuchanie, gdy poruszenie wewnątrz wieży odciągnęło ich uwagę od rozmowy, od osuszonych kufli i nagich kości kapłona.

W ich polu widzenia pojawił się Medivh, a za nim całe stado służących i strażników. Wszyscy narzekali na jego obecność, lecz żaden (mądrze) nie

odważył się położyć na nim ręki, i w efekcie podążali za nim niczym ożywiony, miauczący ogon komety.

– Wiedziałem, że masz swoje przyzwyczajenia, Lotharze – stwierdził Medivh. – Wiedziałem, że będziesz tu popijał popołudniową herbatkę! – Mag uśmiechnął się ciepło, lecz Khadgar widział, że zatacza się lekko, niczym pijany. Medivh trzymał jedną rękę za plecami.

Lothar wstał, a jego głos był zatroskany.

– Medivh, wszystko w porządku? Demon...

– Ach, tak, demon – powiedział radośnie Medivh i wyciągnął zza pleców okrwawione trofeum. Leniwym gestem rzucił je w stronę Lothara i Khadgara.

Czerwona kula obracała się w locie, rozchlapując ostatki krwi i mózgu, po czym wylądowała u stóp Lothara. Była to czaszka demona, wciąż okryta ciałem, z potężnym ostrzem jak od topora bojowego wbitym w sam środek, dokładnie pomiędzy baraniami rogami. Na twarzy demona, jak sądził Khadgar, malował się jednocześnie podziw i oburzenie.

– Może każesz go sobie wypchać – poradził Medivh, prostując się poważnie. – Oczywiście, resztę musiałem spalić. Nie wiadomo, co ktoś niedoświadczony mógłby zrobić z flaszką krwi demona.

Khadgar zauważył, że twarz Medivha jest bardziej ściągnięta niż zwykle, a zmarszczki wokół oczu wyraźniejsze. Lothar również mógł to zauważyć, w każdym razie stwierdził:

– Szybko go złapałeś.

– To dziecinnie proste! – odpowiedział Medivh. – Kiedy Zaufanie wskazał, jak demon uciekł z zamku, nie miałem problemów z wytropieniem go – jego szlak wiódł od podstawy wieży do małych umocnień. Nawet nie zauważyłem, kiedy było po wszystkim. On też nie. – Mag zachwiał się lekko.

– Choć więc – powiedział Lothar z ciepłym uśmiechem. – Powinniśmy powiedzieć królowi. Na twoją cześć zostanie wydana uczta, Med!

Medivh uniósł dłoń.

– Obawiam się, że będziecie ucztować beze mnie. Powinniśmy wracać. Wiele mil dzieli nas od miejsca odpoczynku. Nieprawdaż, uczniu?

Lothar spojrział na Khadgara, ponownie na wprost pytająco, na wprost błagalnie. Medivh wyglądał na spokojnego, ale zmęczonego. Tym razem również spoglądał wyczekująco na Khadgara, spodziewając się jego wsparcia.

Młodzieniec zakaszłał.

– Oczywiście. Zostawiliśmy przecież rozpoczęty eksperyment.

– Tak! – Medivh natychmiast podchwycił kłamstwo. – Tak się tu spieszyliśmy, że prawie o nim zapomniałem. Powinniśmy się pospieszyć. – Mag obrócił się na pięcie i ryknął w stronę zebranych dworzan. – Przygotujcie nasze wierzchowce! Natychmiast ruszamy!

Służący rozpięchli się niczym stadko przepiórek. Medivh odwrócił się z powrotem do Lothara. – Oczywiście przekażesz nasze przeprosiny Jego Wysokości.

Lothar spojrział na Medivha, potem na Khadgara, a potem znów na Medivha. W końcu westchnął i stwierdził:

– Oczywiście. Pozwól mi się chociaż odprowadzić na wieżę.

– Prowadź – stwierdził Medivh. – Nie zapomnij zabrać swojej czaszki. Sam bym zatrzymał ją dla siebie, ale już jedną taką mam.

Lothar uniósł łeb z baraniami rogami, po czym minął Medivha i poprowadził ich w głąb wieży. Gdy odszedł, mag zdawał się zapadać w sobie, jakby uszło z niego powietrze. Wyglądał na bardziej zmęczonego niż jeszcze kilka chwil wcześniej. Westchnął ciężko i sam ruszył w stronę drzwi.

Khadgar dogonił go i dotknął jego łokcia. Był to delikatny dotyk, lecz starszy mag wyprostował się nagle i zadrżał, jakby w odpowiedzi na cios. Odwrócił się do Khadgara, a gdy spojrzał na młodzieńca, jego oczy zamgliły się.

– Magu – zaczął Khadgar.

– Co tym razem? – spytał Medivh syczącym szeptem.

Khadgar zastanowił się, co powiedzieć, żeby nie zasłużyć na krytykę.

– Nie czujesz się najlepiej – stwierdził po prostu.

Były to właściwe słowa. Medivh pokiwał głową niczym starzec i stwierdził:

– Bywało lepiej. Lothar też to chyba wie, ale nie będzie mi się sprzeciwiał. Wolę być w domu niż tutaj. – Zatrzymał się na chwilę i skrzywił wargi. – Tutaj byłem przez bardzo długi czas chory. Nie chcę, by to się powtórzyło.

Khadgar nic nie powiedział, tylko pokiwał głową. Lothar stał przy drzwiach i czekał na nich.

– Teraz ty poprowadzisz nas do Karazhanu – powiedział Medivh tak głośno, by usłyszeli wszyscy zebrani wokół. – Miejskie życie jest stanowczo zbyt wyczerpujące i przyda mi się drzemka!

## Rozdział 9

# Drzemka Medivha

To bardzo ważne – powiedział Medivh, zsuwając się z grzbietu gryfa. Zataczał się lekko i wyglądał na wyczerpanego, więc Khadgar założył, że bitwa z demonem była trudniejsza, niż mag się przyznawał.

– Przez kilka dni będę... niedostępny – mówił dalej starszy mag. – Jeśli w tym czasie przybędą jakieś wiadomości, chcę, żebyś zajmował się moją korespondencją.

– Poradzę sobie z tym – stwierdził Khadgar – bez trudu.

– Nie, wcale nie – sprzeciwił się Medivh, zaczynając schodzić po schodach. – Dlatego muszę ci powiedzieć, jak czytać te z fioletową pieczęcią. Fioletowa pieczęć to zawsze sprawy zakonu.

Tym razem Khadgar nic nie powiedział, tylko pokiwał głową.

Stopa Medivha zsunęła się z krawędzi schodów. Mag potknął się i poleciał do przodu. Khadgar rzucił się, by chwycić starszego mężczyznę, lecz ten już oparł się o ścianę i wyprostował. Nawet nie ominął stopnia.

– W bibliotece jest zwój. „Pieśń o Aegwynn”. Opowiada o bitwie mojej matki z Sargerasem.

– Zwój, którego kopię pragnął otrzymać Guzbah – stwierdził Khadgar, uważnie przyglądając się, jak mag schodzi po schodach.

– Ten właśnie – odpowiedział Medivh. – I dlatego właśnie nie może go dostać... używamy go jako klucza do korespondencji zakonu. Każdy z członków zakonu ma identyczną kopię. Bierzesz standardowy alfabet i przesuwasz wszystko do przodu, tak, że pierwszą literę stanowi czwarta albo dziesiąta, albo dwudziesta. To prosty kod. Rozumiesz?

Khadgar zaczął mówić, że tak, rozumie, ale Medivh już mówił dalej, jakby rozpaczliwie spiesząc się, by wszystko wytłumaczyć.

– Zwój jest kluczem – powtórzył. – Na górze wiadomości jest coś, co wygląda jak data. Nie jest nią. To odniesienie do zwrotki, linijki i słowa, od którego zaczynasz. Pierwsza litera tego słowa staje się pierwszą literą alfabetu w tym kodzie. Potem już wszystko idzie normalnie, druga litera w porządku alfabetycznym staje się drugą literą alfabetu i tak dalej.

– Rozumiem.

– Nie, wcale nie – sprzeciwił się Medivh, teraz zdyszany i zmęczony. – To klucz tylko dla pierwszego zdania. Gdy trafiasz na kropkę, przechodzisz do drugiej litery w tym słowie. Ona staje się odpowiednikiem pierwszej litery alfabetu w szyfrze dla tego zdania. Interpunkcja jest normalna. Liczby też, ale oni mają pisać je słownie, nie używać cyfr. Jest coś jeszcze, ale teraz tego nie pamiętam.

Znajdowali się na zewnątrz osobistej kwatery Medivha. Moroos już tam był, z szatą przewieszoną przez ramię i zakrytą misą spoczywającą na kunsztownie zdobionym stole. Już od drzwi Khadgar wyczuwał unoszącą się znad naczyń bogatą woń bulionu.

– Co mam zrobić, kiedy już rozszyfruję wiadomość? – spytał Khadgar.

– Racja! – krzyknął Medivh, jakby w jego głowie nastąpił jakiś istotny przeskok. – Opóźnienie. Najpierw opóźnienie. Dzień albo dwa, może uda mi się do tej chwili wstać. Potem zwodzenie. Wyjechałem w ważnych sprawach, mogę wrócić w każdej chwili. Użyj tego samego szyfru, który

otrzymałeś, ale upewnij się, że oznaczysz go jako datę. Jeśli wszystko zawiedzie, przekazuj obowiązki. Powiedz posłańcowi, aby sam ocenił powagę sytuacji, a ja udzielę takiej pomocy, jakiej zdołam i jak najszybciej. Zawsze to lubią. Nie mów, że jestem niedysponowany – kiedy poprzednim razem tak powiedziałem, przybyła cała horda pragnących mi służyć kandydatów na kapłanów. Od tamtej wizyty wciąż nie mogę doliczyć się kilku srebrnych drobiazgów.

Stary mag wziął głęboki oddech, wydawał się kurczyć, opierając o futrynę drzwi. Moroes nie poruszył się, za to Khadgar zrobił krok w jego stronę.

– Walka z demonem – powiedział Khadgar. – To było straszne, nieprawdaż?

– Walczyłem z gorszymi. Demony! Zwierzęta z rogami na głowach i pochylonymi plecami. W połowie złożone z cienia, w połowie z ognia. Bardziej bestie niż ludzie, a najwięcej w nich surowej żółci. Paskudne pazury. Na to należy uważać, na szpony.

Khadgar pokiwał głową.

– Jak udało ci się go pokonać?

– Potężny uraz zwykle uwalnia życiową esencję – powiedział Medivh. – W tym wypadku zdjąłem mu głowę.

Khadgar zamrugął.

– Nie miałeś miecza.

Medivh uśmiechnął się słabo.

– Czy powiedziałem, że miecz był mi potrzebny? Wystarczy. Coraz więcej pytań, kiedy mam ich dość.

Powiedziawszy to, wszedł do pokoju, a zawsze wierny Moroes zamknął drzwi przed nosem Khadgara. Ostatnim dźwiękiem, jaki młodzieniec



usłyszał, było wyczerpane stęknienie starego człowieka, który wreszcie znalazł miejsce do odpoczynku.

Minął tydzień, a Medivh nie wyszedł ze swojej kwatery. Moroës codziennie wchodził po schodach z misą rosółu. W końcu Khadgar zebrał w sobie tyle odwagi, by zajrzeć do środka. Kasztelan nie próbował mu przeszkodzić, krótkim mruknięciem potwierdził tylko, że go zauważył.

Odpoczywający Medivh wyglądał strasznie, z jego zakrytych powiekami oczu znikł blask, a z twarzy ślady życia. Odziany w długą nocną koszulę, oparty był o zagłówek i podparty poduszkami. Jego usta były otwarte, a zwykle ożywiona postać chuda i wyczerpana. Moroës ostrożnie wlewał rosół do ust Medivha, a ten go połykał, ale poza tym wcale się nie budził. Potem kasztelan zmieniał pościel i na tym kończyły się jego zadania.

Khadgar zaczął się zastanawiać, czy taka sama scena nie rozegrała się w młodości Medivha, gdy po raz pierwszy objawiły się jego moce. Wtedy to Lothar się nim zajmował. Zastanawiał się, ile czasu mag będzie nieprzytomny. Jak wiele energii kosztowała go walka z demonem?

Nadchodziły normalne wieści, pisane zwykłą dłonią, zrozumiałym językiem. Niektóre przynosili jeźdźcy gryfów, inne konni, a więcej niż kilka przybyło na wozach, które regularnie przywoziły zaopatrzenie do spiżarni Moroësa. Większość z nich zawierała zupełnie przyziemne treści – ruchy statków i wojsk. Raporty o gotowości. Czasem odkrycie jakiegoś starożytnego grobowca lub zapomnianego artefaktu albo odzyskanie dawnej legendy. Opisy zaobserwowanej trąby wodnej, wielkiego morskiego żółwia albo karmazynowego przypływu. Obrazki zwierząt, które obserwatorowi mogły wydawać się nowe, ale były lepiej przedstawione w bestiariuszach w bibliotece.

I informacje o orkach, o coraz ich większej liczbie, szczególnie na wschodzie. Coraz częstsze spotkania w okolicy Czarnego Bagna. Zwiększona liczba strażników w karawanach, lokalizacje tymczasowych obozów, raporty o wycieczkach, napaściach i tajemniczych zniknięciach. Coraz więcej uchodźców szukających bezpiecznego schronienia w otoczonych murami miasteczkach i miastach. I wykonane przez ocalałych szkice przedstawiające stwory o pochylonych czołach i wielkich szczękach, w tym dokładny opis potężnego układu mięśniowego, który, jak uświadomił sobie Khadgar, mógł powstać jedynie po rozkrojeniu obiektu badań.

Khadgar zaczął czytać śpiącemu czarodziejowi jego korespondencję, wybierając co ciekawsze lub zabawniejsze kawałki. Mag w żaden sposób nie próbował zachęcić go do tego, ale też tego nie zabronił.

Nadszedł pierwszy list z fioletową pieczęcią i Khadgar natychmiast się zgubił. Część listu miała sens, ale szybko przechodziła w bezsensowny bełkot. Z początku młody mag wpadł w panikę, pewien, że źle zrozumiał coś zupełnie podstawowego w poleceniu. Po całym dniu zaśmiecania komnat notatkami z nieudanych prób Khadgar uświadomił sobie, co sprawiało mu kłopot – przerwa między wyrazami była w szyfrze zakonu uznawana za jeszcze jedną literę, w rezultacie przesuwając wszystko o jedną literę do przodu. Kiedy młodzieniec to zrozumiał, szybko odszyfrował wiadomość.

Wywarła na nim mniejsze wrażenie niż wtedy, gdy była jeszcze bełkotem. Była to krótka notka z dalekiego południa, z półwyspu Ulmat Thondr, informująca, że wszystko w porządku, orków nie zauważono (choć ostatnio zwiększyła się liczba dżunglowych trolli), zaś nad południowym horyzontem pojawiła się nowa kometa. Dołączono do tego dokładne notatki (rozpisane słownie, nie cyframi). Nie wymagano żadnej odpowiedzi, więc Khadgar odłożył list i jego tłumaczenie na bok.

Khadgar zaczął się zastanawiać, dlaczego zakon nie wykorzystywał magicznego kodowania lub pisma opartego na zaklęciach. Może nie wszyscy członkowie zakonu Tirisfal byli czarodziejami? A może próbowali ukryć się przed innymi magami, takimi jak Guzbah, a wykorzystanie magicznego pisma przyciągnęłoby tamtych niczym pszczoły do nektaru? Najpewniej, jak uznał Khadgar, była to czysta złośliwość ze strony Medivha, który zmusił innych członków zakonu do wykorzystania poematu sławiącego jego matkę jako klucza.

Od Lothara przysłała spora przesyłka. Wojownik zebrał wszystkie raporty o napotkanych orkach i odbytych z nimi potyczkach i przekształcił je w dużą mapę. Rzeczywiście, wyglądało, jakby armie orków wylewały się z moczarów Czarnego Bagna. Ponownie odpowiedź nie była wymagana. Khadgar rozważał wysłanie Lotharowi informacji o stanie Medivha, ale nie zdecydował się na to. Cóż takiego mógł zrobić czempion, poza martwieniem się? Posłał jednak krótki list, z własnym podpisem, zawierający podziękowanie za informacje i prośbę o dalsze.

Minął drugi tydzień i zaczął się trzeci, a sytuacja wyglądała nadal tak samo. Mistrz był w śpiączce, a uczeń szukał. Uzbrojony w odpowiedni klucz, Khadgar zaczął przeglądać starsze listy, niektóre nadal zamknięte bryłkami fioletowego wosku. Przeglądając starą korespondencję, Khadgar zaczął rozumieć ambiwalentne uczucia Medivha wobec zakonu. Czasem listy były niewiele więcej niż żądaniem – o to zaklęcie, tamte informacje, lub wezwaniem do natychmiastowego przybycia, bo krowy nie chcą jeść albo ich mleko skwaśniało. Bardziej wyszukane epistoły zwykle kryły w sobie jakiś haczyk – prośbę o pożądane zaklęcie lub zaginiony tom, owinięte w kwieciste pochwały. W wielu znajdowały się tylko dokładne rady, wskazujące, dlaczego ten lub inny kandydat byłby doskonałym

uczniem (jak zauważył, te w większości nie były nawet otwarte). Poza tym ciągle raporty z serii: brak wieści, żadnych zmian, nic niezwykłego.

To ostatnie zmieniło się w świeższych wiadomościach (nie były datowane, ale Khadgar zaczął oceniać, gdzie znajdowały się w chronologii, zarówno po stopniu zażółcenia pergaminu, jak i coraz większej gorączkowości żądań i rad). Wraz z nagłym pojawieniem się orków ton listów stawał się coraz bardziej pojednawczy, szczególnie kiedy stwory zaczęły napadać na karawany. Wciąż jednak były w nich żądania, i to coraz bardziej natarczywe.

Khadgar patrzył na starego mężczyznę leżącego na łóżku i zastanawiał się, co skłaniało go do pomagania tym ludziom, i to regularnie.

Poza tym były jeszcze tajemnicze listy – od czasu do czasu jakieś podziękowanie, odniesienia do jakiegoś tajemnego tekstu, odpowiedzi na nieznane pytania: „tak”, „nie” i „oczywiście emu”. Podczas czuwania Khadgara przy łożu Medivha przybył jeden tajemniczy list, bez podpisu. Brzmiał on: „Przygotuj kwatery. Wkrótce przybędzie wysłannik”.

Pod koniec trzeciego tygodnia wraz z wędrującym kupcem przybyły dwa listy, jeden z fioletową pieczęcią, drugi ze zwykłą, czerwoną, adresowany do samego Khadgara. Oba pochodziły z Fioletowej Cytadeli Kirin Tor.

List do Khadgara, pisany z charakterystycznymi zawijasami, zaczynał się: „Z przykrością musimy zawiadomić o nagłej i niespodziewanej śmierci maga–nauczyciela Guzbaha. Sądzymy, że korespondowałeś ze świętej pamięci magiem i wyrażamy współczucie w tej smutnej chwili. Jeśli masz jakąś korespondencję, pieniądze lub informacje, które miałeś przesłać Guzbahowi, lub też jesteś w posiadaniu jakiegokolwiek jego własności (szczególnie wypożyczonych od niego ksiąg), docenilibyśmy zwrot tej

korespondencji, pieniędzy, informacji lub własności na poniższy adres.” Na dole listu znajdował się szereg liczb i leniwy, niewyraźny podpis.

Khadgar czuł się, jakby ktoś uderzył go prosto w brzuch. Guzbah nie żyje? Odwrócił kartkę, ale nie wypadły z niej dodatkowe informacje. Otepiąły sięgnął po list z fioletową pieczęcią. Napisano go tym samym pismem, lecz zawierał dodatkowe treści.

Guzbah został znaleziony zamordowany w bibliotece, w wigilię Święta Skrybów, podczas czytania „Traktatu Denbrawna o *Pieśni o Aegwynn* „ (Khadgar poczuł się winien, że nie przysłał swojemu dawnemu nauczycielowi zwoju). Najwyraźniej został zaskoczony przez bestię (najpewniej przyzwaną), a ta rozerwała go na strzępy. Śmierć była szybka, lecz bolesna, a opis, jak wyglądało ciało po znalezieniu, był szczegółowy aż do przesady. Z opisu ciała i zniszczeń w bibliotece Khadgar wywnioskował, że „przyzwana bestia” była demonem w rodzaju tego, z którym Medivh walczył w Stormwind.

Dalsza część listu pisana była w zimny, analityczny sposób, który Khadgar uznał za przesadzony. Piszący zauważył, że była to siódma śmierć maga z Fioletowej Cytadeli w przeciągu roku, włączając w to arcymaga Arrexisa. Dalej zauważał, że był to pierwszy wypadek tego rodzaju, gdy ofiara nie była członkiem zakonu. Piszący chciał wiedzieć, czy Medivh miał kontakt z Guzbahem, czy to bezpośrednio, czy też przez swojego ucznia (Khadgar miał moment *deja vu*, gdy ujrzał swoje imię w liście). Nieznany autor spekulował dalej, że skoro Guzbah nie był członkiem zakonu, mógł być odpowiedzialny za wezwanie bestii z innych powodów, a jeśli tak było, Medivh powinien mieć świadomość, że Khadgar przez pewien czas był uczniem Guzbaha.

Khadgar poczuł ostre ukłucie bólu. Jak ten tajemniczy pisarz (musiał to być ktoś wysoko postawiony w hierarchii Kirin Tor, ale Khadgar nie miał

pojęcia, kto) śmiało oskarżać Guzbaha i jego samego! Khadgar nie był nawet obecny przy śmierci Guzbaha! Może to właśnie piszący był odpowiedzialny, albo ktoś taki jak Korrigan – bibliotekarz prowadził badania na temat wyznawców demonów. W taki sposób rzucać oskarżenia!

Khadgar potrząsnął głową i odetchnął głęboko. Nie, takie rozważania były bezsensowne, a napędzało je jego osobiste oburzenie, podobnie jak większość polityki Kirin Tor. Gniew zmienił się w smutek i świadomość, że potężni magowie z Fioletowej Cytadeli nie byli w stanie zapobiec śmierci siedmiu czarodziejów (z których sześciu było członkami tego ponoć tajemnego i wpływowego zakonu), a piszący mógł tylko rzucać oszczerstwa w rozpaczliwej nadziei, że nie będzie więcej śmierci. Khadgar pomyślał o szybkich i zdecydowanych działaniach Medivha w Twierdzy Stormwind i zdziwił się, że w jego własnym środowisku nie znalazł się nikt dorównujący mu mądrością, zdecydowaniem i inteligencją.

Młody mag podniósł zaszyfrowany list i ponownie przyjrzał mu się w blasku świecy. Święto Skrybów było ponad półtora miesiąca wcześniej. Tak dużo czasu minęło, nim wiadomość przepłynęła morze i dotarła do nich drogą lądową. Półtora miesiąca. Zanim Huglar i Hugarin zostali zabici w Stormwind. Jeśli zamieszany był w to ten sam demon albo ten sam przyzywający, musiał bardzo szybko poruszać się między dwoma punktami. Niektóre demony z wizji miały skrzydła – czy możliwe, by taka bestia przeleciała między dwoma miejscami i nikt jej nie zauważył?

W komnacie pojawił się nieoczekiwany wietrzyk. Khadgar poczuł, że włoski na karku stają mu dęba i podniósł wzrok na czas, by zauważyć manifestującą się wewnątrz postać.

Najpierw pojawił się dym, czerwony jak krew, wypływający z jakiegoś małego otworu w materii wszechświata. Skręcał się i zwijał niczym

mleko w wodzie, szybko tworząc wirującą masę, z której wyszła przytłaczająca postać wielkiego demona.

Był mniejszy niż wówczas, gdy ujrzał go Khadgar na ośnieżonym polu zagubionej w czasie wizji. Skurczył się, by zmieścić się w ograniczonej przestrzeni komnaty. Jego ciało nadal jednak było z brązu, zbroja z czarnego niczym węgiel żelaza, a broda i włosy z ożywionego ognia, zaś jego czoła wyrastały potężne rogi. Był nieuzbrojony, lecz zdawał się nie potrzebować żadnej broni, gdyż poruszał się z pewną siebie gracją drapieżnika, który nie boi się niczego.

Sargerass.

Khadgar osłupiał i nie był w stanie odezwać się ani poruszyć. Z pewnością zaklęcia ochronne, które utrzymywał Medivh, zatrzymałyby taką bestię. A jednak była tutaj, weszła do wieży, a teraz do osobistych komnat czarodzieja z łatwością szlachcica, który wchodzi do chaty chłopca.

Pan Płonącego Legionu nie rozglądał się wokół, lecz przysunął do stóp łóżka. Stał tam przez dłuższą chwilę i przyglądał się nieruchomej postaci, a płomienie jego brody i włosów migotały bezgłośnie. Demon wpatrywał się w śpiącego maga.

Khadgar powstrzymał oddech i rozejrzał po stoliku do pracy. Kilka ksiąg, świeca z lustrem z tyłu, by było jaśniej. Nóż do listów wykorzystywany do łamania fioletowych pieczęci. Młody mag sięgnął powoli po ostrze, próbując nie przyciągnąć uwagi wielkiego demona. Jego palce otoczyły mocno rękojeść, aż zbieleły kostki.

Sargerass nadal stał u stóp łóżka. Minęła dłuższa chwila, a Khadgar próbował się zmusić do poruszenia, czy to do ucieczki, czy ataku. Jego mięśnie zdawały się zamrożone w miejscu.

Medivh poruszył się na łóżku i zamruczał coś niezrozumiałego. Władca demonów podniósł powoli dłoń, jakby chciał wypowiedzieć

błogosławieństwo nad nieruchomym magiem.

Khadgar wydał z siebie zduszony krzyk i zerwał się z krzesła, z nożem do listów w zaciśniętej mocno dłoni. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że trzyma go nie w tej ręce.

Demon podniósł wzrok, a był to leniwy, gładki ruch, jakby demon spał albo znajdował się pod wodą. Spojrzał na atakującego młodzieńca, który uniósł niezgrabnie rękę z zaciśniętym w niej krótkim, ostrym sztyletem.

Demon uśmiechnął się. Medivh znów poruszył się we śnie i zamruczał. Khadgar wbił nóż do listów w pierś demona.

I całkowicie przebił ciało stwora. Pęd ciosu zaniósł go do przodu, przez Sargerasa, w stronę przeciwległej ściany. Nie mogąc się zatrzymać, młodzieniec uderzył o ścianę, a nóż do listów zabrzączał na kamiennej podłodze.

Oczy Medivha otworzyły się gwałtownie i strażnik podniósł się.

– Moroes? Khadgar? Jesteście tutaj?

Khadgar podniósł się i rozejrzał dookoła. Demon znikł, pękł niczym bańka mydlana przy pierwszym dotknięciu stali. Był z Medivhem sam w komnacie.

– Co robisz na podłodze, chłopcze? – spytał Medivh. – Moroes mógł przynieść ci siennik.

– Panie, twoje zaklęcia ochronne! – wykrzyknął Khadgar. – Zawiodły. Był tu... – zawahał się na chwilę, nie wiedząc, czy powinien wyjawić, że zna wygląd Sargerasa. Medivh coś takiego natychmiast zauważy i będzie go dręczyć, aż wyjawi, skąd to wie. – Demon – wydusił z siebie. – Był tu demon.

Medivh uśmiechnął się. Wyglądał na wypoczętego, a jego twarz nabrała barw.



– Demon? Nie sędę. Zaczekaj. – Mag zamknął oczy i pokiwał głową. – Nie, zaklęcia są wciąż na swoim miejscu. Żeby straciły moc, potrzeba więcej niż tylko drzemki. Co widziałeś?

Khadgar szybko opisał pojawienie się demona w chmurze gotującego się czerwonego mleka, jak stał tam i uniósł dłoń. Mag potrząsnął głową.

– Sędę, że była to kolejna twoja wizja – powiedział w końcu. – Jakiś fragment oderwanego czasu, który wpadł do wieży, a potem szybko znikł.

– Ale demon... – zaczął mówić Khadgar.

– Demon, którego opisałeś, już nie istnieje, przynajmniej w tym życiu – powiedział Medivh. – Został zabity przed moimi narodzinami i pogrzebany głęboko pod morzem. Twoja wizja była wizją Sargerasa z „Pieśni o Aegwynn”. Masz tu zwoje. Odszyfrowywałeś wiadomości? Tak. Może to przyzywało do moich komnat tego zagubionego w czasie upiora. Nie powinieneś tu pracować w czasie, kiedy spałem. – Skrzywił się lekko, jakby zastanawiał się, czy powinien być bardziej zdenerwowany, czy też nie.

– Przepraszam, myślałem... myślałem, że lepiej będzie nie zostawiać cię samego? – Khadgar zmienił to w pytanie, i teraz zabrzmiało to głupio.

Medivh zachichotał, a na jego pomarszczonej twarzy pojawił się uśmiech.

– Cóż, nie powiedziałem ci, że nie wolno tego robić, a nie sędę, by Moroes cię powstrzymał, zwłaszcza że dzięki temu nie musi tutaj być. – Potarł kciukiem usta i przeciągnął palcami przez brodę. – Chyba mam dość rosołu na całe życie. A żeby dać ci pewność, sprawdzę magiczne zabezpieczenia wieży. I pokażę ci, jak to robić. A poza tym, czy oprócz wizji demonów podczas mojej nieobecności coś się wydarzyło?

Khadgar w skrócie przedstawił wiadomości, które otrzymał. Coraz większa fala incydentów z orkami. Mapa Lothara. Tajemnicza wiadomość o

wysłanniku. I wieści o śmierci Guzbaha.

Medivh chrząknął, słysząc opis zejścia Guzbaha i stwierdził:

– Czyli będą zrzucać winę na Guzbaha, aż kolejny biedny głupiec zostanie rozszarpany. – Potrząsnął głową, po czym dodał: – Święto Skrybów. To jeszcze przed śmiercią Huglara i Hugarina.

– Jakież półtora tygodnia – odpowiedział Khadgar. – Wystarczająco dużo czasu, by demon przeleciał z Dalaranu do Stormwind.

– Albo człowiek na grzbiecie gryfa – zastanawiał się Medivh. – W tym świecie sanie tylko demony i magia. Czasem wystarczy prosta odpowiedź. Coś jeszcze?

– Wygląda na to, że orki stają się coraz bardziej liczne i niebezpieczne – powiedział Khadgar. – Lothar mówi, że przeszły od napaści na karawany do ataków na osady. Na razie małe, ale w efekcie do Stormwind i innych miast przez cały czas przybywają ludzie.

– Lothar za bardzo się martwi – stwierdził Medivh, krzywiąc się.

– Jest zatroskany – stwierdził Khadgar głosem bez wyrazu. – Nie wie, czego się spodziewać.

– Wręcz przeciwnie – odpowiedział Medivh z ponurym westchnieniem. – Jeśli wszystko, co mi powiedziałaś, jest prawdą, obawiam się, że wszystko idzie dokładnie tak, jak się spodziewałem!

## Rozdział 10

# Emisariusz

Po powrocie Medivha do zdrowia wszystko powróciło do normalności – na tyle, na ile życie w otoczeniu maga można było nazwać normalnym. Gdy mag wyjeżdżał, pozostawiał Khadgarowi instrukcje dotyczące szlifowania jego magicznych umiejętności, a gdy znajdował się w wieży, oczekiwał, że młodzieniec na każde skinienie będzie owe umiejętności prezentował.

Khadgar przystosował się do tego bez trudu i miał wrażenie, że jego moc jest zestawem ubrań, o jakieś dwa rozmiary za dużym, do których dopiero zaczyna dorastać. Teraz umiał opanować ogień wola, wzywać błyskawicę z bezchmurnego nieba i sprawiać, by małe przedmioty zgodnie z jego życzeniem tańczyły na stole. Nauczył się także innych zaklęć – takiego, dzięki któremu wystarczała jedna kość, by dowiedzieć się, kiedy i jak zginął człowiek, tworzącego mgłę i umożliwiającego zostawianie magicznych wiadomości dla innych. Dowiedział się, jak przywracać utracone lata przedmiotom nieożywionym, na przykład wzmacniając stare krzesło, i przeciwnie, odbierać całą młodość świeżo wyciosanej maczudze, która stawała się zakurzona i krucha. Poznał naturę zaklęć ochronnych i powierzono mu utrzymywanie ich w dobrym stanie. Poznał bibliotekę demonów, choć Medivh nie zezwolił na przyzywanie żadnego z nich w swojej wieży. Khadgar nie miał ochoty łamać tego zakazu.

Medivh wyjeżdżał na krótki czas, dzień tu, parę dni tam. Zawsze pozostawiał instrukcje, ale nigdy wyjaśnienia. Po powrocie strażnik wyglądał na bardziej wychudzonego i zmęczonego, sprawdzał Khadgara, by ocenić opanowane przez młodzieńca umiejętności, po czym nakazywał poinformować się o wszystkich listach, jakie nadeszły w czasie jego nieobecności. Przypominający śpiączkę sen nie powtórzył się jednak i Khadgar założył, że to, co robił jego mistrz, nie wiązało się z demonami.

Siedząc pewnego wieczora w bibliotece, Khadgar usłyszał hałasy na dziedzińcu i w stajniach poniżej. Krzyki, hasła i odzewy, a wszystko ciche i niewyraźne. Gdy dotarł do okna wychodzącego na tę część dziedzińca, ujrzał tylko grupę jeźdźców opuszczających zamek.

Khadgar skrzywił się. Czy byli to jacyś proszący zawróceni przez Moroesa, czy też posłańcy ze złymi wieściami dla jego pana? Khadgar zszedł na dół, by się tego dowiedzieć.

Nowo przybyłego widział tylko przez krótką chwilę – mignięcie czarnego płaszcza znikającego w pokoju gościnnym na jednym z niższych poziomów wieży. Był tam Moroos ze świecą w ręku i klapkami na swoim miejscu, a gdy Khadgar zszedł ostrożnie po kilku ostatnich stopniach, usłyszał, jak kasztelan mówi:

– ... inni odwiedzający byli mniej ostrożni. Odeszli.

Odpowiedzi nowo przybyłego, jeśli takowa była, Khadgar nie usłyszał, a Moroos zamknął drzwi, gdy młodzieniec się zbliżył.

– Gość? – spytał Khadgar, próbując zobaczyć, czy za plecami zarządcy znajdują się jakieś ślady przybysza. Ujrzał tylko zamknięte drzwi.

– Ano – odpowiedział kasztelan.

– Mag czy kupiec? – spytał młodzieniec.

– Nie wiem – odpowiedział Moroos, już ruszając korytarzem. – Nie pytałem, a wysłannik nie mówił.

– Wysłannik – powtórzył Khadgar, przypominając sobie jeden z tajemniczych listów, jaki przyszedł podczas wielkiego snu Medivha. – W takim razie to sprawa polityczna. Do maga.

– Tak zakładam – stwierdził Moroos – Nie pytałem. Nie moja sprawa.

– Czyli to do maga – powtórzył Khadgar.

– Tak zakładam – stwierdził Moroos równie sennie, co poprzednio. – Powiedzą nam, kiedy będziemy musieli wiedzieć. – Powiedziawszy to, odszedł, pozostawiając Khadgara wpatzonego w zamknięte drzwi.

Podczas następnego dnia w wieży dziwnie wyczuwało się obecność nowej osoby, nowego ciała niebieskiego, którego grawitacja wpłynęła na orbity wszystkich innych. Nowa planeta sprawiła, że kucharka przestawiła się na zestaw większych garnków, a Moroos poruszał się po korytarzach w jeszcze dziwniejszych godzinach. Nawet sam Medivh wysyłał Khadgara w różnych sprawach, a gdy młodzieniec odchodził, słyszał szelest ciężkiego płaszcza na kamiennej podłodze za sobą.

Medivh sam nie chciał nic zdradzić, a Khadgar czekał, aż wszystko zostanie mu objaśnione. Rzucał sugestie. Czekał cierpliwie. A w efekcie został posłany do biblioteki, gdzie miał kontynuować naukę i ćwiczyć zaklęcia. Khadgar zszedł pół obrotu po kręconych schodach, zatrzymał się i powoli wszedł z powrotem na górę. Ujrzał plecy czarnego płaszcza znikające w laboratorium Medivha.

Khadgar zszedł ciężko po schodach, rozważając, kim może być wysłannik. Szpiegiem Lothara? Jakimś tajemniczym członkiem zakonu? Może jednym z członków Kirin Tor, tym z pismem z zawijasami i jadowitymi poglądami? A może chodziło o jakąś zupełnie inną sprawę? Niewiedza była frustrująca, a brak zaufania ze strony maga jeszcze pogarszał sytuację.

– Powiedz nam, kiedy będziemy musieli wiedzieć – mruknął, wchodząc ciężko do biblioteki. Jego notatki i księgi historyczne leżały na stołach tam, gdzie je pozostawił. Spojrzał na nie i na schematy zaklęcia przywołującego wizje. Od czasu ostatniej próby naniósł na nie kilka poprawek, mając nadzieję na polepszenie wyników.

Khadgar spojrział na notatki i uśmiechnął się. Potem zabrał flakoniki ze zmiażdżonymi kamieniami i ruszył w dół – aby więcej poziomów dzieliło go od komnaty posłuchań Medivha – do jednej z porzuconych jadalni.

Dwa poziomy niżej znalazł doskonałe miejsce, elipsoidalną komnatę z kominkami po obu stronach. Wielki stół przeniesiono i wykorzystywano gdzie indziej, a starodawne krzesła umieszczono wzdłuż ściany obok jedyne go wejścia. Podłoga z białego marmuru była stara i popękana, lecz dzięki niezmożonej pracowitości Moroosa utrzymana w czystości.

Khadgar usypał magiczny krąg z ametystu i różowego kwarcu, szczerząc się przy tym paskudnie. Teraz był już pewny siebie i nie potrzebował ceremonialnych szat czarodzieja na szczęście. Gdy już usypał wzór ochrony i odrzucenia, uśmiechnął się ponownie. Zaczął już kształtować zaklęcie w swoim umyśle, wzywając odpowiednie cienie i typy magii, tworząc z nich wymagane kształty, trzymając ich energię pod kontrolą, póki nie stały się potrzebne.

Wszedł do wnętrza kręgu, wypowiedział słowa, które musiały zostać wypowiedziane, z doskonałą harmonią wykonał odpowiednie gesty i uwolnił energię z wnętrza umysłu. Wyczuwał ten akt jak coś związanego z jego umysłem i duszą i wezwał magię.

– Pokaż mi, co się dzieje w komnatkach Medivha – powiedział, a jednocześnie jego umysł zadrżał nerwowo. Miał tylko nadzieję, że zaklęcia ochronne strażnika nie odnosiły się do jego ucznia.

Od razu wiedział, że zaklęcie poszło nie tak. Nie był to wielki wypadek, gdy magiczne matryce zapadały się w sobie, jedynie niewielki niewypał. Być może zaklęcia ochronne jednak zadziałały przeciwko niemu, kierując jego wizję gdzie indziej, w stronę innego obrazu.

Kilka wskazówek powiedziało mu, że coś jest nie tak. Po pierwsze, był teraz dzień. Po drugie było ciepło. I, na koniec, lokalizacja wydawała się znajoma.

Nie był tam wcześniej, nie dokładnie tam, przynajmniej nie w tej właśnie iglicy, ale jasno widział, że znajduje się w twierdzy Stormwind górującej nad miastem poniżej. Była to jedna z wyższych wież, a komnata miała podobny układ co ta, w której miesiąc wcześniej śmierć powaliła dwóch członków zakonu. Tutaj jednak okna były duże i otwierały się na wielkie białe blanki, a ciepły, wonny wietrzyk poruszał niemal przezroczystymi draperiami. Wokół komnaty na złocistych kręgach siedziały wielobarwne ptaki.

Przed Khadgarem znajdował się nieduży stolik zastawiony białymi porcelanowymi talerzami z obramowanymi złotem krawędziami i sztuccami z tego samego szlachetnego metalu. W kryształowych misach znajdowały się owoce – świeże i ponętne. Krople rosy wciąż zdobiły leżące pośród innych truskawki. Na ten widok Khadgar poczuł, że burczy mu w brzuchu.

Wokół stołu kręcił się nieznanemu Khadgarowi chudy mężczyzna o wąskiej twarzy i szerokim czole, z wąsikami i kozią bródką. Odziany był w wyszywaną czerwoną kołdrę, która, jak uświadomił sobie młodzieniec, musiała być szlafrokiem, przewiązaną w talii złotym pasem. Mężczyzna dotknął jednego z widelców, przesunął go odrobinę w bok i z satysfakcją pokiwał głową.

– Ach, już nie śpisz – powiedział głosem, który Khadgarowi również wydawał się niemal znajomy.

Przez chwilę Khadgar myślał, że postać z wizji może go widzieć, ale nie, mężczyzna zwracał się do kogoś stojącego za nim. Młodzieniec odwrócił się i ujrzał Aegwynn, równie młodą i piękną co na śnieżnym polu. (Czy było to wcześniej niż wtedy? Później? Nie potrafił tego ocenić po jej wyglądzie.) Kobieta miała na sobie białą pelerynę z zieloną podszewką, tę jednak uszyto z jedwabiu, nie z filtra, a jej stopy okrywały nie wysokie buty, lecz proste sandały. Jej jasne włosy podtrzymywał srebrny diadem.

– Zadałeś sobie wiele trudu – powiedziała, a Khadgar nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy.

– Jeśli moc i pożądanie są wystarczająco wielkie, nic nie jest niemożliwe – odpowiedział mężczyzna i odwrócił dłoń wierzchem do dołu. Nad jego dłonią unosił się biały kwiat orchidei.

Aegwynn wzięła kwiat, symbolicznie podniosła go do nosa i odłożyła na stół.

– Nielas... – zaczęła mówić.

– Najpierw śniadanie – przerwał mag Nielas. – Popatrz lepiej, co królewski mag może wyczarować z samego rana. Te owoce zebrano w królewskich ogrodach nie dalej niż godzinę temu...

– Nielas – powtórzyła Aegwynn.

– Dalej zaś plastry szynki z masłem i syrop – mówił dalej mag.

– Nielas – powtórzyła po raz kolejny Aegwynn.

– To może kilka jajek *vrocka*, ugotowanych na stole w skorupkach dzięki prostemu zaklęciu, jakie poznałem na wyspach...

– Odchodzę – stwierdziła po prostu Aegwynn.

Twarz maga zachmurzyła się.



– Odchodzisz? Tak szybko? Przed śniadaniem? To znaczy, miałem nadzieję, że będziemy mieli jeszcze okazję porozmawiać.

– Odchodzę – powiedziała Aegwynn. – Mam zadania do wykonania i mało czasu na uprzejmości.

Dworski czarodziej wydawał się zagubiony.

– Sądziłem, że po ostatniej nocy zechcesz na dłużej pozostać w zamku, w Stormwind. – Zamrugął. – Nieprawdaż?

– Nie – odpowiedziała Aegwynn. – W rzeczy samej, po ostatniej nocy nie ma wcale powodu, bym tu pozostała. Osiągnęłam to, po co tu przybyłam. Nie ma potrzeby, bym została tutaj dłużej.

Khadgar skrzywił się, gdyż wszystkie kawałki układanki znalazły się na swoim miejscu. Oczywiście, że głos maga wydawał się znajomy.

– Ale sądziłem... – wyjąkał Nielas, lecz strażniczka potrząsnęła głową.

– Nielasie Aranie, jesteś idiotą – stwierdziła po prostu Aegwynn. – Jesteś jednym z najpotężniejszych czarodziejów w zakonie Tirisfal, a jednak pozostajesz idiotą. To mówi coś o reszcie zakonu.

Nielas Aran odrzucił głowę do tyłu. Chciał wyglądać na poirytowanego, a wyglądał na nadąsanego.

– Zaraz, zaczekaj...

– Z pewnością nie sądziłeś, że to wyłącznie twój wrodzony urok sprowadził mnie do twojej komnaty, ani też że twój dowcip i fantazja odwróciły moją uwagę od dyskusji na temat rytuałów przyzywania? Z pewnością uświadamiasz sobie, że nie jestem pod wrażeniem twojej pozycji na dworze niczym jakaś wiejska pasterka? I z pewnością musisz sobie uświadamiać, że uwiedzenie działa w obie strony? Nie jesteś aż tak wielkim idiotą, prawda, Nielasie Aranie?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział dworski czarodziej, najwyraźniej zraniony przez jej słowa bardziej, niż chciał się do tego przyznać. –

Sądziłem tylko, że jak cywilizowani ludzie zjemy we dwoje śniadanie.

Aegwynn uśmiechnęła się, a Khadgar widział, że był to okrutny uśmiech.

– Jestem równie stara co wiele z dynastii i już pod koniec pierwszego stulecia życia zrezygnowałam z dziewczęcych kaprysów. Doskonale wiedziałam, co robię, gdy wczorajszego wieczora przyszedłam do twoich komnat.

– Myślałem... – zaczął Nielas. – Ja tylko myślałem...

– Że ty, z całego zakonu, będziesz właśnie tym, który oczaruje i poskromi wielką, dziką strażniczkę? – dopowiedziała Aegwynn, uśmiechając się coraz szerzej. – Że nagniesz ją do swojej woli tam, gdzie innym się nie powiodło, dzięki swojemu urokowi, dowcipowi i buduarowym sztuczkom? Zaprzęgiesz moc *Tirisfalen* do własnego rydwanu? Nie rozśmieszaj mnie, Nielasie Aranie. I tak straciłeś większość ze swojego potencjału, nie mów mi, że życie na królewskim dworze zupełnie cię zepsuło. Pozostaw mi choć trochę szacunku wobec ciebie.

– Ale jeśli nie byłaś pod wrażeniem – powiedział Nielas, usiłując pojąć to, co mówiła Aegwynn – jeśli mnie nie chciałaś, to dlaczego my...

Aegwynn odpowiedziała mu.

– Przybyłam do Stormwind po jedyną rzecz, której sama nie mogłam sobie dać, odpowiedniego ojca dla mojego dziedzica. Tak, Nielasie Aranie, możesz powiedzieć innym magom zakonu, że udało ci się spędzić noc z wielką i potężną strażniczką. Ale będziesz ich musiał też poinformować, że umożliwiłeś mi przekazanie mocy w taki sposób, by zakon nie miał w tej kwestii nic do powiedzenia.

– Naprawdę? – Mężczyzna zaczął uświadamiać sobie skutki swych działań. – Pewnie tak. Ale zakonowi nie spodoba się, że...

– Nim manipuluję? Sprzeciwiam się? Oszukuję? – odpowiedziała Aegwynn. – Nie, nie spodoba się. Ale członkowie zakonu nie wystąpią przeciwko tobie, obawiając się, że mogą być nadal tobą zainteresowana. I może znajdziesz jakieś pocieszenie w tym, że ze wszystkich magów i czarodziejów ty posiadałaś największy potencjał. Twoje nasienie ochroni i wzmocni moje dziecko i uczyni je naczyniem dla mej mocy. A gdy syn już narodzi się i zostanie wykarmiony, ty właśnie będziesz go wychowywać, tutaj, ponieważ chcę, żeby podążył moją ścieżką, a nawet zakon nie chciałby stracić takiej możliwości wywarcia na niego wpływu.

Nielas Aran potrząsnął głową.

– Aleja... – Przerwał na chwilę. – Ale ty... – Znów przerwał. Gdy się w końcu odezwał, w jego oczach płonął ogień, a w głosie dźwięczała stal. – Żegnaj, Aegwynn.

– Żegnaj, Nielasie Aranie – odpowiedziała Aegwynn. – Było... przyjemnie. – Powiedziawszy to, obróciła się na pięcie i wyszła z komnaty.

Nielas Aran, najwyższy czarodziej na dworze Azeroth, spiskowiec z zakonu Tirisfal, a teraz przyszły ojciec strażnika Medivha, usiadł przy idealnie zastawionym stole. Podniósł złoty widelec i zaczął go obracać w palcach. W końcu westchnął i upuścił go na ziemię.

Wizja zbladła, nim widelec uderzył o podłogę, a Khadgar usłyszał inny hałas, tym razem za plecami. Odgłos buta na zimnym kamieniu. Cichy szelest płaszcza. Nie był sam.

Khadgar odwrócił się, ale ku swej udręce ujrzał tylko mignięcie czarnego płaszcza. Wysłannik szpiegował go. Już wystarczająco źle, że zostawał odprawiany za każdym razem, gdy Medivh spotykał się z nieznanym – a teraz wysłannik chodził sobie do woli po wieży i go szpiegował!

Khadgar natychmiast zerwał się i ruszył biegiem. Nim dotarł do wejścia, jego cel już znikł, lecz młodzieniec usłyszał szelest tkaniny ocierającej się o schody. Niżej, w okolicach komnat gościnnych.

Khadgar również popędził po schodach. Ich zakrzywienie sprawi, że przybysz będzie trzymać się zewnętrznej krawędzi, gdzie stopnie były szersze i pewniejsze. Młody mag tak wiele razy spieszył po tych schodach, że zgrabnie zeskakiwał po dwa i trzy, tuż przy wewnętrznej ich krawędzi.

W połowie drogi do poziomu gości Khadgar ujrzał na ścianie cień swojej ofiary. Gdy dotarł na dół, ujrzał okrytą płaszczem postać, która przechodziła właśnie przez łukowate przejście, w stronę drzwi. Gdy wysłannik dotrze do komnat gościnnych, Khadgar straci okazję. Młodzieniec jednym susem zeskoczył z czterech ostatnich stopni i rzucił się do przodu, by chwycić postać za ramię.

Jego dłoń zacisnęła się na materiale i twardych mięśniach. Obrócił swoją ofiarę do ściany.

– Mag chętnie się dowie o twoim szpiegowaniu... – zaczął mówić, lecz słowa zamarły na jego wargach, gdy płaszcz opadł, odkrywając wysłannika.

Postać była odziana w skórzany strój podróżny, wysokie sznurowane buty, czarne spodnie i czarną jedwabną bluzkę. Była dobrze umięśniona i Khadgar nie wątpił, że całą drogę jechała konno. Ale jej skóra była zielona, a gdy kaptur płaszcza opadł, ukazała się orcza twarz z wystającymi kłami. Z masy czarnych włosów wystawały duże zielone uszy.

– Ork! – krzyknął Khadgar i zareagował odruchowo. Uniósł dłoń i wymruczał słowo mocy, zbierając magiczną energię konieczną do przebicia wroga magicznym pociskiem.

Nie zdołał dokończyć. Gdy tylko otworzył usta, kobieta wyrzuciła nogę do góry, na wysokość piersi. Kolanem odepchnęła jego dłoń na bok. Jej

ciężko obuta stopa trafiła Khadgara w policzek. Młodzieniec stracił równowagę.

Khadgar zatoczył się do tyłu i poczuł krew w ustach – w wyniku ciosu musiał ugryźć się w policzek. Ponownie spróbował wystrzelić pocisk, lecz orczyca była szybka, szybsza niż uzbrojeni wojownicy, z którymi walczył wcześniej. Już zmniejszyła odległość między nimi i wbiła mu pięść w brzuch, wyciskając dech z piersi i uniemożliwiając skoncentrowanie się.

Młody mag warknął i porzucił magię na rzecz bardziej bezpośredniego podejścia. Wciąż czując ból zadanego przez nią ciosu, obrócił się na bok, chwycił kobietę za ramię i wytrącił ją z równowagi. Na jej twarzy o barwie jadeitu pojawił się wyraz zaskoczenia, ale tylko na chwilę. Orczyca mocno stanęła na ziemi, pociągnęła Khadgara do siebie, po czym elegancko wyswobodziła się z jego uchwytu i odwróciła go.

Khadgar poczuł korzenny aromat, gdy orczyca przyciągnęła go do siebie, po czym młodzieniec został rzucony w głąb korytarza. Potoczył się po kamiennej posadzce, odbił od ściany i w końcu zatrzymał na czyichś nogach.

Podniósłszy wzrok, Khadgar ujrzał kasztelana, który wpatrywał się w niego z niejaką troską.

– Moroes! – krzyknął Khadgar. – Wracaj! Ściągnij maga! W wieży mamy orka!

Moroes nie poruszył się, lecz tylko spojrzął na orczycę swoimi wyblakłymi oczyma.

– Wszystko w porządku, wysłanniku?

Kobieta wykrzywiła wargi, odsłaniając zęby, i otuliła się płaszczem.

– Nigdy nie czułam się lepiej. Potrzebowałam trochę ćwiczeń. Ten szczeniak był tak miły, że mi w tym pomógł.

– Moroes! – splunął młody mag. – Ta kobieta jest...

– Wysłannikiem. Gościem maga – powiedział Moroes i dodał głosem bez wyrazu: – Przyszedłem po ciebie. Mag chce cię widzieć.

Khadgar podniósł się i spojrzał ostro na wysłannika.

– Kiedy zobaczysz się z magiem, czy powiesz mu, że szpiegujesz w wieży?

– On nie chce jej widzieć – poprawił Moroes. – Chce widzieć ciebie.

– Ona jest orkiem! – powiedział Khadgar głośniejszym i ostrzejszym głosem, niż zamierzał.

– Tak naprawdę to półorkiem – poprawił Medivh. Mag pochylał się nad stołem do pracy i zajmował złocistym urządzeniem, astrolabium. – Zakładam, że w jej ojczyźnie są ludzie, albo prawie ludzie, a przynajmniej byli jeszcze niedawno. Podaj mi suwmiarkę, uczniu.

– Próbowaly cię zabić! – wykrzyknął Khadgar.

– To znaczy orki? To prawda, pewne – odpowiedział spokojnie Medivh.

– Pewne orki próbowały mnie zabić. I ciebie także. Garona nie należała do tej grupy. W każdym razie nie sądzę, by należała. Jest tu przedstawicielem swojego ludu. A przynajmniej części swojego ludu.

*Garona. Czyli ta wiedźma ma imię,* pomyślał Khadgar. Powiedział zaś:

– Zostaliśmy zaatakowani przez orki. Miałem wizje ataku orków. Czytałem wieści z całego Azeroth, mówiące o napadach i atakach orków. Wszystkie informacje na temat orków mówią o ich okrucieństwie i gwałtowności. Z każdym dniem jest ich coraz więcej. To niebezpieczna i dzika rasa.

– A ona bez trudu się ciebie pozbyła, jak zakładam – stwierdził Medivh, podnosząc wzrok znad pracy.

Wbrew sobie Khadgar dotknął kącika ust, gdzie krew już prawie zaschła.

– To nie ma najmniejszego związku.

– Oczywiście – stwierdził Medivh. – A do czego zmierzasz?

– Jest orkiem. Jest niebezpieczna. A ty pozwoliłeś jej swobodnie włączyć się po wieży.

Medivh chrząknął, a w jego głosie dźwięczała stal.

– Jest półorkiem. Jest równie niebezpieczna co ty, biorąc pod uwagę okoliczności i skłonności. I jest moim gościem, więc powinna być traktowana z całym szacunkiem należnym gościom. Oczekuję od ciebie takiego właśnie zachowania wobec moich gości, Zaufanie.

Khadgar milczał przez chwilę, po czym spróbował nowego podejścia.

– Jest wysłannikiem.

– Tak.

– Czyim wysłannikiem jest?

– Jednego lub więcej klanów zamieszkujących obecnie Czarne Bagno – odpowiedział Medivh. – Jeszcze nie jestem pewien, których dokładnie. Tak daleko jeszcze nie doszliśmy.

Khadgar zamrugął ze zdziwienia.

– Wpuszczasz ją do naszej wieży, a ona nie ma nawet oficjalnego statusu?

Medivh odłożył suwmiarkę na stół i westchnął ze zmęczeniem.

– Przedstawiła mi się jako przedstawiciel niektórych z orczych klanów, które obecnie najeżdżają Azeroth. Jeśli mamy rozwiązać tę kwestię inaczej niż ogniem i mieczem, ktoś musi zacząć rozmowy. To miejsce równie dobre co każde inne. A tak przy okazji, to *moja* wieża, nie nasza. Jesteś tu moim uczniem, moim podopiecznym, i to tylko ze względu na mój kaprys. A od ciebie, jako mojego ucznia, oczekuję otwartego umysłu.

Zapadła cisza, gdy Khadgar próbował przyjąć to, co usłyszał.

– Kogo więc reprezentuje? Niektóre, żadne czy wszystkie orki?

– Jak na razie reprezentuje samą siebie – odpowiedział Medivh ze zirytowanym sapnięciem. – Nie wszyscy ludzie wierzą w to samo. Nie ma powodu, by z orkami było inaczej. Moje pytanie brzmi, dlaczego, biorąc pod uwagę twoją wrodzoną ciekawość, nie próbujesz wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji, zamiast mówić mi, że nie powinienem tego robić? Chyba że wątpisz we mnie i moje zdolności do poradzenia sobie z jedną półorczyką.

Khadgar umilkł, podwójnie zawstydzony z powodu swoich działań i niezdolności spojrzenia na wszystko z innej strony. Czy wątpił w Medivha? Czy istniała możliwość, że mag zadziała przeciwko swojemu zakonowi? Khadgar miał mętlik w głowie, podsycany słowami Lothara, wizją demona i polityką zakonu. Chciał ostrzec starszego mężczyznę, ale każde jego słowo wydawało się zwracać przeciwko niemu.

– Czasami się o ciebie martwię – powiedział w końcu.

– A ja martwię się o ciebie – odpowiedział z roztargnieniem mag. – Ostatnio martwię się o bardzo wiele rzeczy.

Khadgar spróbował po raz ostami.

– Panie, sądzę, że ta Garona jest szpiegiem – powiedział po prostu. – Sądzę, że przybyła tutaj, by dowiedzieć się jak najwięcej, co potem zostanie wykorzystane przeciwko tobie.

Medivh odchylił się do tyłu i uśmiechnął się paskudnie do młodzieńca.

– To przypadek kotła przyganiającego garnkowi, młody magiku. A może już zapomniałeś o liście rzeczy, które twoi mistrzowie z Kirin Tor chcieli, żebyś ze mnie wyciągnął, kiedy dotarłeś do Karazhanu?

Gdy Khadgar opuszczał komnatę, jego uszy płonęły.



## Rozdział 11

# Garona

Powrócił do swojej (to znaczy Medivha) biblioteki i odkrył, że orczyca przegląda jego notatki. Natychmiast poczuł, że przepełnia go wściekłość, lecz wspomnienie zadanych przez nią ciosów i przemowy Medivha sprawiły, że się opanował.

– Co robisz? – spytał ostro.

Palce wysłanniczki Garony wypuściły papiery.

– Węszę, tak to chyba nazwałś? Szpieguję? – Podniosła wzrok, a na jej twarzy malowało się niezadowolenie. – Tak naprawdę, to próbuję zrozumieć, nad czym pracujesz. Notatki leżały na wierzchu. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

*Oczywiście, że mi przeszkadza*, pomyślał Khadgar, ale powiedział tylko:

– Lord Medivh nakazał mi, bym traktował cię z szacunkiem. Może się jednak zdenerwować, jeśli przy okazji pozwolę ci wysadzić się w powietrze podczas rzucania niedopracowanego zaklęcia.

Twarz Garony była bez wyrazu, ale Khadgar zauważył, że orczyca podniosła dłonie z papierów.

– Nie interesuje mnie magia.

– Słynne ostatnie słowa – skomentował Khadgar. – Czy mogę ci w czymś pomóc, czy też po prostu sobie myszkujesz i patrzysz, co z tego

wyjdzie?

– Powiedziano mi, że masz tu poczet królów Azeroth – odpowiedziała.

– Chciałabym coś w nim sprawdzić.

– Umiesz czytać? – spytał Khadgar. Zabrzmiało to ostrzej niż zamierzał.

– Przepraszam. Chciałem powiedzieć...

– Tak, ku zaskoczeniu, umiem czytać – odpowiedziała Garona szybko i wyniośle. – Przez te wszystkie lata zdobyłam wiele umiejętności.

Khadgar skrzywił się.

– Drugi rząd, czwarta półka od góry. To oprawiona na czerwono księga ze złotymi okuciami.

Garona znikła między regałami, a Khadgar wykorzystał tę okazję, by zebrać notatki ze stołu. Skoro półorczyca miała możliwość swobodnego poruszania się po wieży, będzie musiał przechowywać je gdzie indziej. Całe szczęście nie była to korespondencja zakonu – nawet Medivh dostałby ataku szału, gdyby Khadgar wręczył Garonie „Pieśń o Aegwynn”.

Natychmiast spojrział w stronę półki, gdzie trzymał zwój wykorzystywany jako klucz. Z jego punktu widzenia wyglądał na nienaruszony. Nie ma powodu robić teraz sceny, ale pewnie jego też będzie musiał przenieść.

Garona powróciła z potężnym tomem w rękach i, spojrzawszy na Khadgara, pytająco uniosła brew.

– Tak, to ten – odpowiedział uczeń.

– Ludzkie języki są nieco... rozwlekłe – stwierdziła, układając księgę na pustym miejscu, gdzie wcześniej znajdowały się notatki Khadgara.

– Tylko dlatego, że zawsze mamy coś do powiedzenia – odrzekł Khadgar, próbując się uśmiechnąć. Zastanawiał się, czy orki mają książki. Czy w ogóle czytają? Oczywiście, mają czarodziejów, ale czy to znaczy, że zgromadziły jakąś prawdziwą wiedzę?

– Mam nadzieję, że tam, w korytarzu, nie potraktowałam cię zbyt ostro.  
– Mówiła gładko, ale Khadgar miał pewność, że wolałaby raczej ujrzeć, jak wypłuka ząb. Pewnie wśród orków to uchodziło za przeprosiny.

– Nigdy nie czułem się lepiej – odpowiedział Khadgar. – Potrzebowałem trochę ćwiczeń.

Garona usiadła i zabrała się za lekturę tekstu. Młodzieniec zauważył, że jej usta poruszały się, gdy czytała. Od razu skierowała się na koniec księgi, do nowych dopisków na temat rządów króla Llane’a.

Teraz, nie w ogniu walki, widział, że Garona nie jest typowym orkiem, z którymi wcześniej walczył. Była szczupła i dobrze umięśniona, w przeciwieństwie do przysadzistych, prymitywnych stworów, które napadły na karawanę. Jej skóra była gładsza, niemal ludzka, i w jaśniejszym odcieniu zieleni niż jadeitowe ciała orków. Kły miała mniejsze, a oczy odrobinę większe i bardziej wyraziste niż twarde szkarłatne oczy orczych wojowników. Zastanawiał się, ile z tego wynikało z częściowo ludzkiego pochodzenia, a ile z bycia kobietą. Nurtowało go, czy któryś z orków, z którymi walczył wcześniej, był samicą – nie było to oczywiste, a on nie miał czasu sprawdzać.

W rzeczy samej, pomijając zieloną skórę, zniekształconą twarz z wydatnymi kłami i otaczającą ją aurę wyższości i wrogości, mogła być całkiem atrakcyjna. Mimo to była w jego bibliotece i przeglądała jego książki (a dokładniej w bibliotece Medivha i książki Medivha, lecz mag powierzył je właśnie jego opiece).

– Czyli jesteś wysłannikiem – odezwał się w końcu. Próbował mówić spokojnie, jakby tylko podtrzymywał rozmowę. – Powiedziano mi o twoim rychłym przybyciu.

Kobieta pokiwała głową, koncentrując się na leżącym przed nią tekście.

– Kogo właściwie reprezentujesz?

Garona podniosła wzrok, a Khadgar ujrzał w jej oczach irytację. Podobało mu się, że ją denerwuje, ale jednocześnie zastanawiał się, gdzie leży granica jej wytrzymałości. Nie chciał naciskać jej zbyt mocno, za szybko, żeby nie skończyło się to kolejną bójką lub kolejną reprimendą ze strony maga.

Tym razem przynajmniej uda mu się wyciągnąć z niej trochę informacji przed bitwą.

– Chodzi mi o to – stwierdził – że skoro jesteś wysłannikiem, to znaczy, że ktoś daje ci rozkazy, ktoś pociąga za sznurki, komuś musisz składać raporty. Kogo reprezentujesz?

– Jestem pewna, że twój pan, Stary, powiedziałby ci, gdybyś go o to zapytał – powiedziała gładko Garona, lecz jej spojrzenie pozostało twarde.

– Z pewnością – skłamał. – Gdybym był na tyle bezczelny, by go o to spytać. Miast tego pytam ciebie. Kogo reprezentujesz? Jakie uprawnienia posiadasz? Jesteś tu, by negocjować, żądać, a może coś innego?

Garona zamknęła księgę (oderwanie jej od zadania Khadgar uznał za niewielkie zwycięstwo) i spytała:

– Czy wszyscy ludzie myślą tak samo?

– Byłoby wtedy bardzo nudno – odpowiedział Khadgar.

– To znaczy, czy wszyscy zgadzają się we wszystkim? Czy ludzie zawsze zgadzają się z tym, czego pragną ich mistrzowie i przełożeni? – spytała ponownie Garona. Jej oczy złagodniały odrobinę.

– Raczej nie – odpowiedział Khadgar. – Jednym z powodów, dlaczego zebrano tutaj tak wiele tomów, jest to, że każdy ma swoje zdanie. I chodzi tu tylko o tych piśmiennych.

– Zrozum więc, że orki też miewają różne zdania – stwierdziła Garona.  
– Horda składa się z pewnej liczby niniejszych klanów, z których każdy ma

swojego wodza i dowódców. Wszystkie orki przynależą do klanów. Większość orków jest lojalna wobec swojego klanu i wodza.

– Jakie są klany? – spytał Khadgar. – Jak się nazywają?

– Siewca Burzy to jeden z nich – odpowiedziała. – Czarny Kamień. Młot Zmroku. Krwawa Jama. To te największe.

– Brzmi to jak bardzo wojownicza gromada – skomentował Khadgar.

– Ojczyzna orków to surowe miejsce – odpowiedziała Garona – i przeżywają tylko najsilniejsi i najlepiej zorganizowani. Są tylko tym, co uczyniła z nich ich ziemia.

Khadgar pomyślał o jałowej krainie pod krwawym niebem, którą widział w swojej wizji. Czyli to właśnie była ojczyzna orków. Jakieś pustkowia w innym wymiarze. Ale jak się tu dostały? Spytał jednak tylko:

– A który klan jest twój?

Garona prychnęła, co zabrzmiało jak kichnięcie buldoga.

– Nie mam klanu.

– Powiedziałaś, że wszyscy z twojego ludu należą do jakiegoś klanu – stwierdził Khadgar.

– Powiedziałaś „wszystkie orki” – poprawiła Garona. Gdy Khadgar spojrzał na nią tępo, uniosła rękę. – Popatrz na to. Co widzisz?

– Twoją dłoń.

– Ludzką czy orcza?

– Orcza – odpowiedział Khadgar. Dla niego było to oczywiste. Zielona skóra, ostre żółtawe paznokcie, kostki trochę za duże jak dla człowieka.

– A ork powiedziałby, że to ludzka ręka. Za chuda, żeby być naprawdę użyteczna, za mało mięśni, by utrzymać topór czy dobrze zmiażdżyć czaszkę. Za blada, za słaba i za brzydka. – Garona opuściła dłoń i podniosła wzrok na młodego maga. – Widzisz te części mnie, które są orcze. Moi orczy zwierzchnicy i wszystkie inne orki widzą te części mnie, które są

ludzkie. Jestem mieszanką obu ras, a jednocześnie nie należę do żadnej, gdyż obie strony uznają mnie za gorszą istotę.

Khadgar otworzył usta, by się sprzeciwić, ale zastanowił się nad sprawą i zachował milczenie. Jego pierwszą reakcją było zaatakowanie orka, którego spotkał w korytarzu, nie ujrzenie człowieka, gościa Medivha. Pokiwał głową i stwierdził:

– Musi być ci trudno. Bez przynależności do klanu.

– Obróciłam to na swoją korzyść – stwierdziła Garona. – Łatwiej mi poruszać się między klanami. Zakłada się, że jako istota gorsza nie zawsze szukam korzyści dla mego rodzinnego klanu. Nikt mnie nie lubi i dlatego nie przedkładam interesów jednej grupy nad interesy innych. Niektórzy wodzowie uznają to za uspokajające. Czyni to ze mnie lepszego negocjatora i, nim sam to powiesz, lepszego szpiega. Ale lepiej nie być lojalnym wobec nikogo, niż być rozdartym między lojalnością wobec kilku.

Khadgar pomyślał o tym, jak Medivh surowo oceniał jego własne związki z Kirin Tor.

– A który klan reprezentujesz w tej chwili?

Garona uśmiechnęła się sucho.

– Gdybym powiedziała, że Gizblaha Potężnego, co byś na to powiedział? A może wysłał mnie z misją Morgax Szary albo Hikapik Krwawy. Czy to powie ci wystarczająco dużo?

– Mogłoby – odpowiedział Khadgar.

– Nie powie ci – stwierdziła Garona – ponieważ wszystkie te imiona wymyśliłam w tej właśnie chwili. A nazwa frakcji, która mnie tu przysłała, także nic by dla ciebie nie znaczyła, nie w tej chwili. Podobnie deklarowana przez Starego przyjaźń z królem Llane'em nic nie znaczy dla naszych wodzów, zaś imię Lothar jest dla nich tylko przekleństwem wykrzykiwanym przez chłopów, których napotyamy. Nim jeszcze

zawrzemy pokój, nim nawet zaczniemy negocjacje, musimy dowiedzieć się więcej o was.

– I dlatego właśnie jesteście tutaj.

Garona westchnęła głęboko.

– I dlatego modłę się, byś pozostawił mnie w spokoju wystarczająco długo, bym pojęła, o czym właściwie mówi Stary, kiedy rozmawiamy.

Khadgar umilkł na chwilę. Garona znów otworzyła księgę, przerzucając kartki aż do miejsca, gdzie przerwała.

– Oczywiście, to dotyczy obu stron – stwierdził Khadgar, a Garona zamknęła księgę z poirytowanym westchnieniem. – To znaczy, musimy wiedzieć więcej o orkach, jeśli mamy robić coś więcej, niż tylko z nimi walczyć. Jeżeli poważnie mówisz o pokoju.

Garona spojrzała ze złością na Khadgara, który przez chwilę zastanawiał się, czy półorczyca przeskoczy przez stół i zacznie go dusić. Miast tego nastawiła uszu.

– Zaraz – powiedziała. – Co to?

Khadgar wyczuł to, nim jeszcze cokolwiek usłyszał. Nagła zmiana w powietrzu, jakby gdzieś w wieży otworzono okno. Niewielki wietrzyk unoszący kurz w korytarzu. Fala ciepła przechodząca przez całą budowlę.

Khadgar powiedział:

– Coś jest...

Garona przerwała:

– Słyszałam...

A wtedy Khadgar również to usłyszał, dźwięk żelaznych pazurów drapiących o kamień, zaś powietrze robiło się coraz gorętsze. Włosy na karku stanęły mu dęba.

I oto do biblioteki wtoczyła się wielka bestia.

Składała się z ognia i cienia, jej skóra była ciemna i migotała płomykami. Z przypominającego wilczy pyska wyrastała para baranich rogów, które świeciły niczym wypolerowany heban. Stwór wyglądał na dwunoga, lecz chodził na czterech łapach, a jego długie przednie szpony drapały o kamienną posadzkę.

– Co to... – wysyczała Garona.

– Demon – odpowiedział Khadgar zduszonym głosem, wstając i cofając się od stołu.

– Wasz służący powiedział, że zdarzają się tu wizje. Duchy. Czy to jedna z nich? – Garona także wstała.

Khadgar próbował wyjaśnić, że nie, że wizje zwykle obejmowały całą okolicę, przenosząc uczestnika w zupełnie inne miejsce, ale tylko potrząsnął głową.

Bestia stanęła w drzwiach i powąchała powietrze. W jej oczach płonął ogień. Czy stwór był ślepy i potrafił znajdować ofiary tylko po zapachu? A może odkrył właśnie coś nowego w powietrzu, przyprawę, której wcześniej nie czuł?

Khadgar spróbował ściągnąć energię do swego umysłu, lecz jego serce zadrżało, a umysł był pusty. Bestia nadal niuchała, obracając się w miejscu, aż stanęła naprzeciwko dwójki.

– Wejź na szczyt wieży – powiedział cicho Khadgar. – Musimy ostrzec Medivha. – Kątem oka zobaczył, że Garona kiwa głową, ale jej spojrzenie nie opuszcza bestii. Po jej długiej szyi spływała strużka potu. Kobieta przesunęła się lekko na bok.

Ten ruch wystarczył i nagle bestia skuliła się i skoczyła przez komnatę. Umysł Khadgara rozjaśnił się i młodzieniec szybko i skutecznie ściągnął do siebie energię, uniósł dłoń i zatopił magiczny pocisk w piersi stwora.



Energia przebiła tors istoty i rozerwała jej grzbiet, posyłając kawałki płonącego ciała we wszystkie strony, lecz wcale jej nie zatrzymała.

Stwór wylądował na stole do pracy, jego szpony wbiły się w twarde drewno, i znów się odbił, tym razem w stronę Khadgara. Młodzieniec skamieniał na chwilę, a chwila ta wystarczyła, by demon zmniejszył odległość między nimi.

Ktoś chwycił go i pociągnął w bok. Poczł woń piżma i cynamonu i usłyszał gardłowe przekleństwo, gdy odsuwał się z drogi skaczącego demona. Bestia przeleciała przez miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się uczeń, i wrzasnęła. Na jej lewym boku pojawiło się długie rozdarcie, z którego płynęła płonąca krew.

Garona wypuściła Khadgara z uchwytu (słabego, ludzkiego uchwytu, który jednak wystarczył, by wycisnąć młodzieńcowi powietrze z płuc). Jak zauważył uczeń, kobieta w drugiej ręce trzymała długi nóż, szkarłatny od pierwszej krwi. Khadgar zastanawiał się, gdzie go chowała podczas ich pierwszej kłótni.

Stwór wylądował, obrócił się i spróbował natychmiast drugiego, niezgrabnego ataku. Wyciągnął żelazne szpony, a jego pysk i oczy płonęły żywym ogniem. Khadgar uchylił się i wstał z ciężkim czerwonym tomem „Królewskiej dynastii Azeroth” w ręce. Uderzył ciężką księgą w pysk stwora, po czym znów się uchylił. Bestia przeleciała obok niego i wylądowała znów koło drzwi. Wydała z siebie ohydny odgłos przypominający krztuszenie się i potrząsnęła łbem, by zrzucić ciężkie tomiszczce z rogów. Khadgar zauważył czerwoną linię płonącej krwi na prawym boku istoty. Garona uderzyła po raz drugi.

– Biegnij po Medivha! – krzyknął Khadgar. – Ja odciągnę go od drzwi!

– A jeśli zaatakuje właśnie mnie? – odpowiedziała Garona. Po raz pierwszy w jej głosie słychać było przerażenie.

– Na pewno nie – stwierdził ponuro Khadgar. – To zabija magów.

– Ale ty...

– Ruszaj – powiedział Khadgar.

Młody mag ruszył się w prawo, a demon, zgodnie z jego obawami, podążył za nim. Garona nie ruszyła jednak w stronę drzwi, lecz skoczyła w prawo i zaczęła wspinać się na ostatni regał.

– Biegnij po Medivha! – krzyknął znów Khadgar, biegnąc wzdłuż rzędów książek.

– Nie ma czasu – odpowiedziała Garona, nie przerywając wspinaczki. – Zobacz, czy uda ci się go zatrzymać między rzędami.

Khadgar zakręcił na końcu jednego z długich rzędów półek i odwrócił się. Demon już przeskoczył nad stołem do pracy i teraz szedł przejściem między regałami, pomiędzy dziełami historycznymi i geograficznymi. W panującym tam cieniu płonące oczy i pysk stwora były wyjątkowo wyraziste, a z jego rannych boków unosił się gryzący dym.

Khadgar oczyścił umysł, zdusił strach i rzucił magiczny pocisk. Kula ognia lub błyskawica byłyby bardziej skuteczne, lecz stwora otaczały książki.

Pocisk wbił się w pysk istoty, odrzucając ją o krok do tyłu. Stwór zaryczał gardłowo i znów ruszył do przodu.

Młody mag powtórzył proces niczym rytuał – oczyścić umysł, zwalczyć strach, unieść dłoń i wypowiedzieć słowo. Kolejny pocisk uderzył w hebanowe rogi i odbił się do góry. Bestia zatrzymała się, ale tylko na chwilę. Teraz jej pysk wydawał się wykrzywiać w płomienistym uśmiechu.

Po raz trzeci wezwał moc magicznego pocisku. Teraz stwór był blisko i pocisk uderzył go prosto w pysk, lecz poza oświetleniem rozbawionych rysów potwora nie uczynił nic. Khadgar poczuł kwaśny odór płonącego ciała i usłyszał głębokie trzaski w gardle bestii – śmiech?

– Przygotuj się do biegu! – krzyknęła Garona z jakiegoś miejsca u góry, na prawo od niego.

– Co ty... – zaczął mówić Khadgar, cofając się jednocześnie.

– Już! – krzyknęła i pchnęła półkę nogami.

Półorczyca wspięła się na szczyt regałów, a teraz rozepchnęła je na bok, przewracając je niczym olbrzymie kostki domina. Usłyszeli grzmot, gdy każdy kolejny regał przewracał swojego sąsiada, wyrzucając na zewnątrz książki i miażdżąc wszystko na swej drodze.

Ostatni regał uderzył o ścianę i popękał, a siła uderzenia wbiła go w ziemię. Garona zsunęła się ze swej kołyszącej się półki, a w ręce miała długi nóż. Próbowwała coś zobaczyć przez unoszący się kurz.

– Khadgar? – spytała.

– Tutaj – odpowiedział uczeń, przyciśnięty do ściany na końcu komnaty, w miejscu, gdzie żelazne podesty podpierały galeryjkę otaczającą bibliotekę.

– Dorwaliśmy go? – spytała, wciąż przykucnięta i w każdej chwili gotowa do przyjęcia kolejnego ataku.

Khadgar wskazał na krawędź czegoś, co jeszcze kilka chwil wcześniej było końcem rzędu półek. Teraz cały niższy poziom pokrywały strzaskane regały i zniszczone książki. Z tej sterty wystawało umięśnione, poranione ramię z przygasłego płomienia i powykęcanych cieni. Żelazne szpony już zaczynała pokrywać rdza, a ciepła krew zbierała się na podłodze. Wyciągnięta ręka znajdowała się zaledwie stopę od miejsca, gdzie rozciągnął się Khadgar.

– Dorwaliśmy go – stwierdziła Garona i wsunęła nóż do pochwy ukrytej pod bluzką.

– Powinnaś była mnie posłuchać – powiedział Khadgar, krztusząc się od unoszącego się kurzu. – Powinnaś pobiec po Medivha.

– Rozerwałby cię na kawałki, nim weszłabym dwa piętra wyżej – odpowiedziała półorczyca. – A wtedy kto wyjaśniłby to wszystko Staremu?

Khadgar pokiwał głową, a potem z namysłem zmarszczył czoło.

– Mag. Czy to słyszał?

Garona pokiwała głową.

– Powinien był zejść. Zrobiliśmy wystarczająco dużo hałasu, by obudzić umarłego.

– Nie – powiedział Khadgar, ruszając w stronę wejścia do biblioteki. – A jeśli był więcej niż tylko jeden demon? Chodźmy!

Garona odruchowo wyjęła nóż i podążyła za człowiekiem.

Odnaleźli Medivha siedzącego w swoim laboratorium, przy tym samym stole do pracy, przy którym zostawił go Khadgar jakąś godzinę wcześniej. Teraz złoty instrument, nad którym pracował, składał się z pokręconych kawałków, a z boku stołu leżał żelazny młotek.

Medivh gwałtownie uniósł głowę, gdy Khadgar wpadł do komnaty, a zaraz za nim Garona. Uczeń zastanawiał się, czy mag przypadkiem nie przespał tego wszystkiego.

– Mistrzu! W wieży jest demon! – wyrzucił z siebie młodzieniec.

– Znowu demon? – spytał zmęczonym tonem Medivh, pocierając oko wierzchem dłoni. – Za pierwszym razem też był demon. Ostatnim razem był ork.

– Twój uczeń się nie myli – stwierdziła Garona. – Byłam z nim w bibliotece, gdy zaatakował. Duży stwór, zwierzęcy, ale sprytny. Składał się z ognia i ciemności, a jego rany płonęły i dymiły.

– Prawdopodobnie była to tylko kolejna wizja – skomentował Medivh i wrócił do pracy. Podniósł pokrzywiony kawał urządzenia, jakby widział go

po raz pierwszy. – Tutaj to się zdarza, to znaczy wizje. Myślałem, że Moroos was przed nimi ostrzegł.

– To nie była wizja, mistrzu – odpowiedział Khadgar. – To był demon taki jak ten, z którym walczyłeś w Stormwind. Coś przedostało się przez zaklęcia zabezpieczające i zaatakowało nas.

Medivh podejrzliwie uniósł brwi.

– Coś znowu przeszło przez moje zabezpieczenia? To śmieszne. – Zamknął oczy i narysował symbol w powietrzu. – Nie. Wszystko normalnie. Żadne z zaklęć zabezpieczających nie zostało poruszone. Jesteście tutaj. Kucharka jest w kuchni, a Moroos w korytarzu przy bibliotece.

Khadgar i Garona wymienili spojrzenia. Khadgar stwierdził:

– W takim razie powinieneś natychmiast pójść z nami, mistrzu.

– Muszę? – odpowiedział Medivh. – Mam inne zmartwienia, tego jestem pewien.

– Chodź i zobacz – powtórzył Khadgar.

– Sądzymy, że bestia nie żyje – stwierdziła Garona. – Ale nie chcielibyśmy ryzykować życia twoich służących, opierając się na naszych przypuszczeniach.

Medivh popatrzył na zmiażdżony przyrząd, potrząsnął głową i opuścił go. Wydawał się zirytowany.

– Jak sobie życycie. Uczniowie zwykle nie sprawiają tylu kłopotów.

Gdy jednak dotarli do biblioteki, Moroos już tam był, z miotłą i szufelką w ręku, i przyglądał się zniszczeniom. Podniósł wzrok, gdy do środka weszli dwaj magowie i półorczyca. Wyglądał na nieco zagubionego.

– Gratulacje – stwierdził Medivh, a zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. – Sądzę, że teraz panuje tu większy bałagan niż przed twoim

przybyciem. Wtedy przynajmniej miałem półki. A gdzie ten rzekomy demon?

Khadgar podszedł do miejsca, gdzie wcześniej wystawała ręka demona, ale teraz pozostał tam tylko jeden z regałów przyciśnięty do podłogi. Nawet krew znikła.

– Był tutaj – odezwała się Garona, najwyraźniej równie zaskoczona co Khadgar. – Wszedł do środka i zaatakował nas. – Chwyliła krawędź regału, próbując go podnieść, lecz masywny dębowy mebel był dla niej zbyt ciężki. Szarpała się przez chwilę, po czym powiedziała: – Oboje go widzieliśmy.

– Widzieliście wizję – stwierdził surowo Medivh. – Czy Moroos was przed nimi nie ostrzegał?

– Tak – potwierdził Moroos. – Zrobiłem to. – Dla podkreślenia postukał się w klapki.

– Mistrzu, to coś nas zaatakowało – powtórzył Khadgar. – Uszkodziliśmy go zaklęciami. Wysłannik ranił go dwa razy.

– Hmf – chrząknął mag. – Bardziej prawdopodobne, że przesadnie zareagowaliście i większość zniszczeń to wasza własna robota. Na stole są świeże zadrapania. To przez demona?

– Miał żelazne szpony – powiedział Khadgar.

– A może to od twoich własnych pocisków, rzucanych we wszystkie strony jak paciorki na targu w Stormwind? – Medivh potrząsnął głową.

– Mój nóż wbił się w coś twardego i skórzastego – stwierdziła Garona.

– Bez wątpienia w którąś z książek – skomentował mag. – Nie, gdyby tu był demon, jego ciało nadal by tu leżało. Chyba, że ktoś je sprzątnął. Moroos, masz może przypadkiem demona w koszu na śmieci?

– Nie sądzę – odpowiedział kasztelan. – Mogę sprawdzić.

– Nie kłopotz się, ale zostaw sprzęt dla tej dwójki. – Medivh zwrócił się w stronę młodego maga i półorczyki. – Oczekuję, że się dogadacie. W

świetle tego, co się wydarzyło, wasza dwójka musi wysprzątać bibliotekę. Zaufanie, zdradziłeś swoje imię i teraz musisz temu zadośćuczynić.

Garona się nie poddawała.

– Ale ja widziałam...

– Widziałas widmo – przerwał Medivh tonem nie znoszącym sprzeciwu. Zmarszczył brwi. – Widziałas kawałek jakiegoś innego miejsca. Widmo nie zrobiłoby ci krzywdy. Nigdy tak się nie zdarzyło. Twój przyjaciel – wskazał na Khadgara – ma w zwyczaju widzieć demony tam, gdzie ich nie ma. To mnie odrobinę martwi. Może postarajcie się nie widzieć żadnego podczas sprzątania. I nie przeszkadzajcie mi, póki nie skończycie!

Powiedziawszy to, znikł. Moroes położył miotłę i szufelkę na ziemi, po czym podążył za nim.

Khadgar popatrzył na rozciągające się wokół ruiny. Będą potrzebować więcej niż tylko miotły. Regały zostały przewracane, a w kilku miejscach całkiem popękały, zaś książki leżały rozrzucone dookoła, niektóre z połamanymi grzbietami i porwanymi okładkami. Czy to mogła być zagubiona w czasie wizja?

– To nie iluzja nas zaatakowała – stwierdziła ponuro Garona.

– Wiem – odpowiedział Khadgar.

– Więc dlaczego on tego nie pojmuję? – spytała.

– Tego nie wiem – odpowiedział. – I martwię się, że mogę znaleźć odpowiedź.

## Rozdział 12

# Życie w czasach wojny

Uporządkowanie biblioteki zajęło tylko kilka dni. Większość z rozrzuconych książek leżała w pobliżu miejsca, w którym powinny się znajdować, a rzadszym, magicznym lub zabezpieczonym woluminom umieszczonym na galeryjce całe zamieszanie nie zaszkodziło. Trochę czasu zajęło jednak odbudowanie regałów, więc Garona i Khadgar zmienili pustą stajnię w prowizoryczny warsztat stolarski, gdzie próbowali naprawiać (a czasem zastępować) zniszczone półki.

Po demonie nie pozostał żaden ślad poza zniszczeniami. Na stole pozostały ślady pazurów, a kartki „Królewskiej dynastii Azeroth” były bardzo zniszczone i podarte, jakby przez potężne szczęki. Nie było jednak ciała czy krwi, żadnych pozostałości, które można by rzucić do stóp Medivhowi.

– Może przeżył – zasugerowała Garona.

– Był całkiem martwy, kiedy go opuszczaliśmy – odrzekł Khadgar, jednocześnie próbując sobie przypomnieć, czy umieszczał poematy epickie na półce nad, czy też pod epiką romantyczną.

– Coś zabrało ciało – stwierdziła. – Ta sama osoba, która ściągnęła tu demona, zabrała go z powrotem.

– I krew także – przypomniał młodzieniec.



– I krew także – powtórzyła półorczyca. – Może to był czysty demon.  
– Magia tak nie działa – stwierdził Khadgar.  
– Może nie twoja magia, nie magia, której się nauczyłeś – powiedziała.  
– Inne ludy mogą mieć inne magie. Starzy szamani wśród orków mają swoją magię, warlockowie, którzy rzucają zaklęcia, mają inną. Może to zaklęcie, o którym nigdy nie słyszałeś.

– Nie – odpowiedział po prostu. – Pozostałby po nim jakiś ślad. Odrobina rzucającego. Jakaś energia, którą mógłbym poczuć, nawet jeśli nie byłbym w stanie jej zidentyfikować. Jedynymi czarodziejami aktywnymi w wieży byłem ja i mag. Wiem to dzięki swoim zaklęciom. I sprawdziłem zabezpieczenia. Medivh miał rację, wszystkie działają. Nikt nie powinien być w stanie dostać się do wieży, magicznie czy w inny sposób.

Garona wzruszyła ramionami.

– Ale w tej wieży dzieją się też różne inne dziwne rzeczy, zgadza się? Być może stare zasady tu nie obowiązują?

Tym razem to Khadgar wzruszył ramionami.

– Jeśli tak jest, mamy większe kłopoty, niż sądziłem.

Stosunki Khadgara z półorczyca wydawały się; poprawiać w trakcie remontu biblioteki. Młodzieniec zauważył, że gdy był odwrócony do niej plecami lub znajdowała się między rzędami książek, jej głos brzmiał niemal ludzko. Mimo to nie chciała przyznać się, kogo reprezentuje, a Khadgar ze swej strony pozostawał ostrożny. Zapamiętywał, jakie materiały wykorzystywała i jakie pytania zadawała.

Próbował również dowiedzieć się, z kim się komunikowała, nawet Otoczył pokoje gościnne siecią własnych zaklęć wykrywania, by informowały go, kiedy opuszczała komnaty lub wysyłała wiadomości. Jeśli to robiła, była w stanie oszukać nawet zaklęcia Khadgara, co tylko go

jeszcze bardziej denerwowało, zamiast uspokajać. Jeśli nawet robiła coś z wiedzą, którą zebrała, zachowywała to dla siebie.

Zgodnie ze swą obietnicą, Garona zaczęła dzielić się swoją wiedzą na temat orków. W umyśle Khadgara zaczął tworzyć się obraz tego, jak rządziły się orki (w oparciu o siłę i umiejętności wojowników), jak również jak wyglądały poszczególne klany. Kiedy już Garona zaczęła mówić, bardzo dobitnie wyrażała swoją opinię na temat poszczególnych klanów i o tym, których przywódców uważała za tępe bydłeta, myślące tylko o kolejnej bitwie. Gdy opisywała składający się z wielu klanów naród orków, hordę, Khadgar szybko pojął, że jego wewnętrzna struktura była w najlepszym wypadku zmienna i płynna.

Dużą częścią hordy był konserwatywny klan Krwawej Jamy. Potężna grupa z długą historią podbojów stawała się coraz mniej znacząca, gdyż jej stary przywódca, Kilrogg Martwe Oko stawał się coraz mniej skłonny do marnowania życia w walce. Garona wyjaśniła, że u orków starsi stawali się coraz bardziej pragmatyczni, co młodsze pokolenie często myliło z tchórzostwem. Kilrogg zabił już trzech synów i dwóch wnuków, którzy uważali, że potrafią lepiej rządzić klanem.

Klan znany jako Czarny Kamień zdawał się inną dużą częścią hordy, a jego przywódcą był Czarna Ręka, którego podstawową kwalifikacją jako wodza była umiejętność wbicia w ziemię każdego, kto zapragnął tego tytułu. Kawalek Czarnego Kamienia już się oderwał, wybił sobie jeden ząb i nazwał się Czarnym Uśmiechem. Czarujące nazwy.

Były jeszcze inne klany: Młot Zmroku, który radował się zniszczeniem, i Płonące Ostrze, który najwyraźniej nie miał przywódcy, lecz był zbieraniną anarchistów w chaosie hordy. I mniejsze klany, jak Siewcy Burzy, prowadzone przez warlocków. Khadgar podejrzewał, że Garona

odpowiada przed kimś z Siewców Burzy, choćby dlatego, że na temat tego zgromadzenia mówiła mniej złych rzeczy niż o innych.

Khadgar notował wszystko i tworzył z tego raporty dla Lothara. Z różnych części Azeroth nadchodziły wiadomości i zdawało się, że horda wylewa się z Czarnego Bagna we wszystkich kierunkach. Orki były teraz wszechobecne, a Stormwind przygotowywał się do odparcia groźby. Khadgar nie dzielił się wieściami z Garona, ale Lotharowi przesyłał wszystkie szczegóły, które udało mu się zdobyć, łącznie z opisem rywalizacji między klanami i ulubionymi barwami poszczególnych zgromadzeń (Czarny Kamień na przykład z jakiegoś powodu preferował czerwień).

Khadgar próbował przekazać to, czego się dowiedział, również Medivhowi, lecz mag wydawał się wyjątkowo nie zainteresowany. W rzeczy samej, jego rozmowy z Garona nie były już tak częste jak wcześniej, a kilka razy młodzieńcowi zdarzyło się odkryć, że Medivh opuścił wieżę, nawet mu o tym nie mówiąc. Nawet gdy mag był obecny, zdawał się odległy. Khadgar napotykał go czasem siedzącego w jednym z foteli w obserwatorium i wpatrującego się w noc nad Azeroth. Medivh wydawał się teraz bardziej humorzasty, szybciej się denerwował i mniej chętnie niż wcześniej wysłuchiwał drugiej strony.

Inni również wyraźnie zauważali jego paskudny nastrój. Opuszczając komnaty swego pana, Moroes spoglądał na Khadgara z udręczeniem. Garona również podniosła ten temat, gdy przeglądali mapy znanego świata (wykonane w Stormwind i przez to boleśnie niepełne, nawet jeśli chodziło o Lordaeron).

– Czy on zawsze tak się zachowuje? – spytała.

– Ma swoje humory – odpowiedział stoicko Khadgar.

– Tak, ale na początku, kiedy go poznałam, wydawał się ożywiony, zainteresowany i pozytywnie nastawiony do świata. Teraz zdaje się bardziej...

– Roztargniony?

– Otumaniony – stwierdziła Garona, krzywiąc wargi w niesmaku.

Khadgar nie mógł się nie zgodzić. Później tego samego wieczora młodzieniec przekazał magowi zestaw tłumaczeń nowych wiadomości, wszystkich z fioletową pieczęcią, i wszystkich błagających o pomoc przeciwko orkom.

– Orki nie są demonami – stwierdził Medivh. – Są stworami z krwi i kości, i jako takie powinny stanowić zmartwienie wojowników, nie czarodziejów.

– Wieści są bardzo poważne – powiedział Khadgar. – Wygląda na to, że ziemie w pobliżu Czarnego Bagna zostały porzucone, a fale uciekinierów przybywają do Stormwind i innych miast Azeroth. Ludzie zostali przyciśnięci do muru.

– I dlatego liczą, że strażnik ruszy im na pomoc. Już i tak muszę utrzymywać strażnice w Wirującej Nicości, by pilnować demonów i polować na efekty pomyłek tych nowicjuszy. Teraz mam ratować ich przed innymi rasami? Może następnym razem poproszą mnie o wsparcie Azeroth w konflikcie handlowym z Lordaeronem? Takie kwestie nie powinny być naszym zmartwieniem.

– Bez twojej pomocy Azeroth może przestać istnieć. Lothar jest...

– Lothar jest głupcem – mruknął Medivh. – Starą kwoką, która wszędzie widzi zagrożenie. A Llane jest niewiele lepszy od niego, nie widzi nic, co mogłoby przebić się przez jego mury. Zaś zakon, ci wszyscy potężni magowie, tak bardzo kłócili się, walczyli i pluli na siebie, że teraz nie mają mocy, by odpędzić nowego napastnika. Nie, Zaufanie, to wszystko

nieistotne sprawy. Nawet jeśli orki zwyciężą w Azeroth, będą potrzebować strażnika, a ja tu będę.

– Mistrzu, to...

– Świętokradztwo? Błuznierstwo? Zdrada? – Mag westchnął i podrapał się po nosie. – Być może. Ale ja jestem człowiekiem, który zestarzał się przed czasem i zapłaciłem wielką cenę za niechcianą moc. Pozwól mi buntować się przeciwko zegarom, które rządzą moim życiem. Teraz odejdz. Rano powrócimy do twych opowieści o nieszczęściach.

Zamykając drzwi, Khadgar usłyszał, jak Medivh dodaje:

– Jestem zmęczony martwieniem się o wszystko. Kiedy będę miał czas martwić się o siebie?

– Orki zaatakowały Stormwind – powiedział Khadgar trzy tygodnie później. Położył wiadomość na stole między sobą a Garoną.

Półorczyca patrzyła na list z czerwoną pieczęcią, jakby to był jadowity wąż.

– Przykro mi – powiedziała w końcu. – Z zasady nie biorą jeńców.

– Tym razem armia orków została odparta – stwierdził Khadgar. – Wojska Llana'a nie pozwoliły im nawet dotrzeć do bram. Z opisów wynika, że były to klany Krwawej Jamy Kilrogga i Młota Zmroku. Dwóm głównym siłom najwyraźniej brakowało koordynacji.

Garona chrząknęła niczym buldog i stwierdziła:

– Młot Zmroku nigdy nie powinien brać udziału w ataku, jeśli chodzi o oblężenie. Kilrogg najpewniej chciał zdziesiątkować rywala i wykorzystał Stormwind jako kowadło.

– Czyli nawet podczas bitwy nadal walczą między sobą i zdradzają się nawzajem – powiedział Khadgar. Zastanawiał się, czy raporty, jakie przesyłał Lotharowi, dały im informacje konieczne do odparcia ataku.

Garona wzruszyła ramionami.

– Zupełnie jak ludzie. – Wskazała na księgi piętrzące się na stole do pracy. – W waszych księgach historycznych są uzasadnienia dla wszelkiego rodzaju piekielnych czynów. Twierdzenia o szlachetności, dziedzictwie i honorze, ukrywające ludobójstwo, skrytobójstwo i masakry. Horda jest przynajmniej szczerą w swej żądzy władzy. – Milczała przez chwilę, po czym dodała: – Nie sądzę, bym była w stanie im pomóc.

– Orkom czy Stormwind? – spytał Khadgar.

– Obu – odpowiedziała Garona. – Nie wiedziałam o żadnym ataku na Stormwind, jeśli do tego się odnosisz, choć każdy z choć odrobiną rozumu domyśliłby się, że horda wkrótce zaatakuje największy cel. Wiesz to z naszych rozmów. Wiesz również, że orki wycofają się, przegrupują, zabijają paru przywódców i powrócą w większej liczbie.

– Domyślam się – stwierdził.

Garona dodała:

– I już posłałeś list do czempiona Stormwind, ostrzegając go przed czymś takim.

Khadgar sądził, że jego twarz jest bez wyrazu, lecz wysłanniczka orków uśmiechnęła się szeroko.

– Tak, tak właśnie zrobiłeś.

Khadgar poczuł, że się rumieni, ale nie przerywał.

– Właściwie to moje pytanie brzmi następująco: Dlaczego ty nie wysyłałaś raportów do swoich zwierzchników?

Zielonoskóra kobieta odchyliła się do tyłu.

– A kto mówi, że tego nie robiłam?

– Ja – odpowiedział Khadgar. – Chyba że jesteś lepszym magiem ode mnie.

Niewielkie drzenie kącika ust zdradziło Garonę.

– W ogóle nie składałaś raportów, prawda? – spytał.

Garona milczała przez chwilę, a Khadgar pozwolił, by cisza wypełniła bibliotekę. W końcu półorczyca powiedziała:

– Powiedzmy, że przeżywałam wewnętrzny konflikt lojalności.

– Sądziłem, że nie jesteś zależna wobec nikogo – stwierdził Khadgar.

Garona zignorowała go.

– Zostałam przysłana tutaj na rozkaz warlocka imieniem Gul'dan. Czarodzieja. Przywódcę klanu Siewców Burzy. Bardzo wpływowego w hordzie. Bardzo zainteresowanego magami z waszego świata.

– A orki mają tendencję do atakowania największego celu najpierw. Medivh – zrozumiał Khadgar.

– Gul'dan powiedział, że Medivh jest wyjątkowy. Jakie tajemne wróżby czy medytacje wspomagane przygotowaniami doprowadziły go do takiego wniosku, nie wiem. – Garona unikała spojrzenia Khadgara. – Kilka razy spotkałam się z Medivhem na zewnątrz, a potem zgodziłam się przybyć do wieży jako wysłannik. Miałam podawać wam podstawowe informacje i przekazać Gul'danowi jak najwięcej wieści o siłach Medivha. Miałeś więc rację od samego początku – przybyłam tu jako szpieg.

Khadgar usiadł naprzeciwko niej.

– Nie byłabyś pierwszym – stwierdził. – Dlaczego więc nie przekazywałaś mu informacji?

Garona milczała przez chwilę.

– Medivh... – zaczęła, po czym przerwała. – Stary... – i znów przerwała. – Przejrzał mnie od razu, oczywiście, ale i tak powiedział to, co chciałam wiedzieć. A przynajmniej większość z tego.

– Wiem – powiedział Khadgar. – Tak samo zrobił ze mną.

Garona pokiwała głową.

– Z początku sądziłam, że był zadufany w sobie, pewny swej siły, jak niektórzy orczy wodzowie, których znałam. Ale w tym jest coś jeszcze. Zupełnie jakby on czuł, że wiedza, którą od niego otrzymałam, zmieni mnie i nie zdradzę jego zaufania.

– Zaufanie – powtórzył Khadgar. – To dla Medivha bardzo ważna rzecz. On je z siebie wydziela. Kiedy stoisz obok niego, masz wrażenie, że on wie, co robi.

– Zgadza się – odpowiedziała Garona – a orki z natury przyciąga moc. Uznałam, że mogę powiedzieć Gul'danowi, że zostałam uwięziona i nie byłam w stanie odpowiadać, i tak dowiedziałam się więcej, aż w końcu...

– Nie chciałaś, żeby stała mu się krzywda – dokończył Khadgar.

– Jak powiedziałaś Moroos, ano – odpowiedziała Garona. – On pokłada we mnie zaufanie, podobnie jak w tobie. Po tym, jak byłam świadkiem tej twojej wizjo–mocy, powiedziałam mu o tym. Wydawało mi się, że mogłeś sprowadzić na nas demona. Powiedział, że wie o tym i nie ma nic przeciwko. Że z natury jesteś ciekawski i dobrze ci to służy. On trwa przy swoich.

– A kogoś takiego nie można skrzywdzić – dodał Khadgar.

– Ano. Sprawił, że poczułam się człowiekiem. A człowiekiem nie czułam się od bardzo dawna. Stary, mag Medivh, wydaje się mieć wizję świata, który jest czymś więcej niż tylko polem bitwy jednej siły walczącej o dominację z inną. Ze swoją mocą mógłby zniszczyć nas wszystkich, a jednak tego nie robi. Sądzę, że wierzy w coś lepszego. Ja również chcę wierzyć w jego marzenie.

Przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu. Gdzieś daleko ktoś, Moroos albo kucharka, szedł korytarzem.

– A ostatnio... – odezwała się w końcu Garona. – Czy kiedykolwiek tak się zachowywał?



Brzmiała zupełnie jak Lothar – próbowała zapytać, jednocześnie nie wyglądając na zbyt zatroskaną. Khadgar potrząsnął głową.

– Zawsze był zmienny. Zmienny. Ale nigdy nie widziałem, by był tak... przygnębiony.

– Zadumany – dodała Garona. – Neutralny. Do tej chwili zawsze zakładałam, że będzie po stronie królestwa Azeroth. Ale jeśli Stormwind zostało zaatakowane, a on nadal nic nie robi...

– Może być to wina jego wyszkolenia... – stwierdził Khadgar, starannie dobierając słowa. Nie chciał ujawnić Garonie istnienia zakonu, niezależnie od jej obecnych uczuć. – Patrzy na wszystko z dalekiej perspektywy. Czasem odcina go to od innych.

– I dlatego właśnie przyjmuje podrzutki, tak sędzę – stwierdziła Garona.

Po kolejnej chwili milczenia dodała:

– Nie żałuję, że Stormwind odparł napastników. Czegoś takiego nie niszczy się od zewnątrz. Najpierw trzeba zrobić coś, by osłabić umocnienia.

– Cieszę się, że nie jesteś tam jako generał.

– Wódz – poprawiła Garona. – Jakbym w ogóle miała na to szansę.

– Jest coś jeszcze – powiedział Khadgar, po czym przerwał. Garona pochyliła głowę w jego stronę.

– Brzmisz jak ktoś, kto prosi o przysługę – stwierdziła.

– Nigdy nie pytałem cię o rozmiary wojska i jego pozycje...

– O typowe sprawy dla szpiegów.

– Ale oni byli zadziwieni ogromną liczbą orczych wojowników na polu bitwy. Walczyli z nimi, ale byli zdziwieni, że Czarne Bagno może pomieścić tylu żołnierzy. Nawet teraz martwią się, ilu jeszcze wojowników może kryć się na mokradłach.

– Nie wiem nic o pozycjach wojsk – odpowiedziała Garona. – Byłam tu i szpiegowałam was, nie pamiętasz?

– To prawda – przyznał Khadgar. – Ale wiem, że mówiłaś również o swojej ojczyźnie. Jak dostaliście się stamtąd tutaj? Przy pomocy jakiegoś zaklęcia?

Garona przez chwilę siedziała w milczeniu, jakby próbując rozwiązać w myślach jakiś problem. Khadgar oczekiwał krótkiego komentarza, skierowania rozmowy na inne tory albo nawet innego pytania w odpowiedzi. Ona jednak powiedziała:

– Nazywamy nasz świat Draenor. To surowy świat, pełen jałowej ziemi, urwisk i wytrzymałej roślinności. Niegościnnie i burzliwy...

– I ma czerwone niebo...

Garona spojrzała na młodego maga.

– Rozmawiałaś z innymi orkami? Może z więźniami? Nie wiedziałam, że ludzie brali orczych jeńców.

– Nie, to była wizja – odpowiedział. Wspomnienie wydawało się bardzo odległe. – Bardzo podobna do tej, którą widziałas przy pierwszym naszym spotkaniu. Wtedy po raz pierwszy widziałem orki. Pamiętam, że było ich mnóstwo.

Garona prychnęła jak buldog.

– Twoje wizje pewnie pokazują więcej, niż przyznajesz, ale masz dobry obraz. Orki są bardzo płodne, a duże mioty zdarzają się często, ponieważ tak wielu ginie przed osiągnięciem wieku wojownika. To było ciężkie życie i przeżywali tylko silni, potężni i sprytni. Ja należałam do tej trzeciej grupy, ale ponieważ byłam niemal wyrzutkiem, żyłam na obrzeżach klanu. Klanu Siewców Burzy, przynajmniej wtedy, kiedy wydano rozkaz.

– Rozkaz?

– Zostaliśmy zmuszeni do wymarszu, każdy wojownik i każda ręka do pracy. Robotnikom i wojownikom, wszystkim nakazano spakować broń, narzędzia i własność, i ruszyć w stronę Półwyspu Piekielnego Ognia. Tam

Gul'dan i inni potężni warlockowie wybudowali olbrzymi portal. Portal, który przebijał przestrzeń pomiędzy światami.

Garona ssła kiel, przypominając sobie.

– Były to wielkie głazy, które zostały ustawione tak, by otaczać pęknięcie w samej przestrzeni. Wewnątrz pęknięcia kłębiły się barwy mroku, wir niczym tłuszcz na powierzchni zabrudzonej sadzawki. Miałam wrażenie, że pęknięcie to było dziełem większych dłoni, a warlockowie tylko je ograniczyli.

Wielu z najtwardszych wojowników bało się przestrzeni między filarami, ale wodzowie i warlockowie wygłaszali pełne pasji przemówienia o tym, co czeka po drugiej stronie. Świat bogactw. Świat obfitości. Świat słabych istot, które z łatwością zostaną zdominowane. Wszystko to obiecywali.

Niektórzy wciąż się opierali. Niektórzy zostali zabici, a inni zmuszeni do wejścia z toporami opartymi o grzbiety. Zostałam złapana z dużą grupą robotników i wepchnięta w przestrzeń między filarami.

Garona milczała przez chwilę.

– Nazywa się to Wirująca Nicość, a trwało to jedną chwilę i całą wieczność. Spadałam przez wieczność, a kiedy wyszłam na dziwne światło, byłam w nowym, szalonym świecie.

Khadgar dodał:

– Po obietnicach raju Czarne Bagno musiało być sporym rozczarowaniem.

Garona potrząsnęła głową.

– To był wstrząs. Pamiętam, jak zaczęłam się trząść na widok niebieskiego, wrogiego nieba. I ta ziemia, w całości pokryta roślinnością. Niektórzy nie mogli tego znieść. Wielu tego dnia dołączyło do Płonącego Ostrza, niespokojnej grupy zebranej pod ognistą flagą.

Garona potarła brodę.

– Bałam się, lecz przeżyłam. I odkryłam, że moje mieszane pochodzenie pozwala mi inaczej patrzeć na ludzi. Byłam częścią oddziału, który zorganizował zasadzkę na Medivha. Mag zabił wszystkich, ale mnie pozostawił przy życiu i odesłał z wiadomością do Gul'dana. A po jakimś czasie Gul'dan posłał mnie jako szpiega, lecz okazało się, że mam... trudności... ze zdradzeniem tajemnic Starego.

– Konflikt lojalności – skomentował Khadgar.

– Ale w odpowiedzi na twoje pytanie – stwierdziła Garona – nie, nie wiem, ile klanów przeszło przez Mroczny Portal z Draenoru. I nie wiem, ile czasu minie, nim odzyskają siły. I nie wiem, skąd się wziął portal. Ale ty, Khadgarze, możesz się tego dowiedzieć.

Khadgar zamrugął.

– Ja?

– Twoje wizje – przypomniała Garona. – Wydajesz się być w stanie przywoływać duchy przeszłości, nawet bardzo odległej. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, widziałam, jak wzywasz wizję matki Medivha. Byliśmy wtedy w Stormwind?

– Tak – odpowiedział Khadgar. – I dlatego wciąż uważam, że demon w bibliotece był prawdziwy. W tej wizji nie było tła.

Garona machnięciem ręki zbyła jego komentarz.

– Ale ty umiesz wzywać te wizje. Możesz wezwać chwilę? gdy pęknięcie zostało stworzone. Możesz dowiedzieć się, kto sprowadził orki do Azeroth.

– Tak – odpowiedział Khadgar. – I założę się, że to ten sam mag czy warlock, który przywoływał demony. Połączenie tych dwóch spraw ma sens. – Spojrzał na Garonę. – Wiesz, ja sam nie pomyślałbym p takim pytaniu.

– Ja dostarczę pytań – stwierdziła Garona, wyglądając na bardzo zadowoloną z siebie – jeśli ty dostarczysz odpowiedzi.

Znów pusta jadalnia. Pracowity Moroes oczywiście zamiótł poprzedni magiczny krąg, więc Khadgar musiał ponownie rozsypać zmiażdżony różowy kwarc i ametyst. Garona umieściła zapalone pochodnie w ściennych uchwytych, po czym stanęła pośrodku wzoru, obok młodzieńca.

– Ostrzegam cię – powiedział młody mag do półorczyca. – To może nie zadziałać.

– Dobrze sobie poradzisz – odrzekła Garona. – Już widziałam, jak to robisz.

– Pewnie coś zobaczymy – stwierdził Khadgar. – Nie wiem tylko co. – Wykonał odpowiednie gesty i zaintonował słowa. Ponieważ przyglądała mu się Garona, chciał, by wszystko poszło idealnie. W końcu wypuścił magiczną energię z klatki umysłu i wykrzyknął: – Pokaż mi pochodzenie przejścia między Draenor i Azeroth!

Zmieniło się ciśnienie, sam ciężar powietrza, które ich otaczało. Była ciepła noc, ale niebo za oknem (ponieważ teraz było tam okno) miało barwę ciemnej czerwieni, niczym stara, zaschnięta krew, a przebijało je tylko światło kilku słabych gwiazd.

Była to czyjaś kwatery, najpewniej jakiegoś orczego przywódcy. Na podłodze i sporym podeście, który pewnie służył jako łóżko, leżały futra. Pośrodku komnaty palił się ogień. Na kamiennych ścianach wisiała broń, a obok stało mnóstwo szafek. Jedna była otwarta, ukazując rząd zakonserwowanych rzeczy, z których część mogła należeć do ludzi lub podobnych im istot.

Postać leżąca na łóżku poruszyła się, przewróciła na drugi bok, a potem nagle podniosła, jakby budząc się ze złego snu. Ork wpatrzył się w

ciemność, a jego zniszczona, poznaczona bliznami twarz była wyraźnie widoczna. Nawet jak na orcze standardy był wyjątkowo brzydkim przedstawicielem swojej rasy.

Garona sapnęła i powiedziała:

– Gul'dan.

Khadgar pokiwał głową i stwierdził:

– Nie powinien cię widzieć.

To był więc ten warlock, który posłał Garonę na przespiegi. Wyglądał na równie godnego zaufania co pogięta sztuka złota. W tej chwili owinał się w futra i odezwał się.

– Nadal cię widzę – stwierdził. – Mimo iż sędzę, że się obudziłem. Może śnię, że się obudziłem. Podejdz, istoto ze snów.

Garona chwyciła Khadgara za ramię, a jej ostre paznokcie wbiły się w jego ciało. Ale Gul'dan nie mówił do nich, gdyż w ich polu widzenia pojawiło się nowe widmo.

Zjawa była wysoka i szeroka w barach. Była przezroczysta, jakby nie należała do żadnego z tych miejsc. Jej twarz zakrywał kaptur, a jej głos był słaby i odległy. Choć jedynym źródłem światła w komnacie był ogień, postać rzucała dwa cienie – jeden bezpośrednio z tyłu, od płomieni, a drugi z boku, jakby od innego źródła światła.

– Gul'danie – odezwała się postać. – Chcę twego ludu. Chcę twojej armii. Chcę, byś wspomógł mnie swoją mocą.

– Wezwałem moich duchowych obrońców, istoto – powiedział Gul'dan, a Khadgar słyszał drzenie w jego głosie. – Wezwałem moich warlocków, a oni drżeli przed tobą. Wezwałem mojego duchowego pana, a on cię nie powstrzymał. Nawiedzasz moje sny, a teraz przybywasz, istoto ze snów, do mojego świata. Kim i czym naprawdę jesteś?

– Boisz się mnie – powiedziała wysoka postać, a dźwięk jej głosu sprawił, że Khadgarowi ciarki przebiegły po krzyżu – gdyż mnie nie rozumiesz. Zobacz mój świat i pojmij swój strach. I już się nie bój.

Powiedziawszy to, wysoka, zakapturzona postać utworzyła kulę z powietrza, lekką i przezroczystą niczym bańka mydlana. Miała ona średnicę około stopy i unosiła się w powietrzu, ukazując obraz krainy z błękitnym niebem i zielonymi polami.

Zakapturzona postać ukazywała mu Azeroth.

Przypląnęła kolejna bańka, a potem jeszcze jedna i kolejna. Pola zbóż w blasku letniego słońca. Mokradła Czarnego Bagna. Błyszczące wieże Stormwind.

I bańka zawierająca samotną wieżę otoczoną przez krąg wzgórz, oświetloną blaskiem księżyca. To był Karazhan.

Była jeszcze jedna bańka, która pojawiła się tylko na chwilę, ukazując mroczną scenę pod falami. Wydawała się jak zbłąkana myśl, która natychmiast została wymazana. A jednak Khadgar poczuł moc. Pod falami był grób, krypta, która pulsowała mocą niczym wielkie serce. Była tam przez chwilę i znikła.

– Zbierz swoje siły – powiedziała zakapturzona postać. – Zbierz armie, wojowników, robotników i sojuszników i przygotuj ich do podróży przez Wirującą Nicość. Przygotuj ich dobrze, a to wszystko będzie twoje, jeśli się wam powiedzie.

Khadgar potrząsnął głową. Głos gryzł go niczym zbłąkany komar. Potem uświadomił sobie, do kogo należy głos i jego serce zadrżało.

Gul'dan upadł na kolana ze złożonymi dłońmi.

– Zrobię tak, gdyż twa moc jest zaiste olbrzymia. Ale kim naprawdę jesteś i jak dotrzemy do tego świata?

Postać uniosła dłoń do kaptura, a Khadgar potrząsnął głową. Nie chciał tego widzieć. Wiedział, ale nie chciał tego widzieć.

Twarz pokryta głębokimi zmarszczkami. Siwiejące brwi. Zielone oczy, które migotały ukrytą wiedzą i czymś niebezpiecznym. Stojąca obok Garona sapnęła.

– Jestem strażnikiem – powiedział Medivh orczemu warlockowi. – Otworzę wam drogę. Zmiażdżę cykl i będę wolny.



## Rozdział 13

# Drugi cień

– Nie! – krzyknął Khadgar i obraz od razu odpłynął. Znow byli sami w sali jadalnej, pośrodku skomplikowanego wzoru ze zmiążdżonego ametystu i różowego kwarcu.

W uszach mu dzwoniło, a skraj pola widzenia zdawał się zawijać do środka. Opadł na kolana, nieświadomy, że w ogóle się poruszył. Dochodzący z góry głos Garony zdawał się być przytłumiony, niemal zduszony.

– Medivh – powiedziała cicho orczyca. – Stary. To niemożliwe.

– Możliwe – odpowiedział Khadgar. Miał wrażenie, jakby w jego żołądku kłębiły się splątane węże. Jego umysł już pracował. I choć rozpaczliwie nie chciał tego przyznać, już domyślał się efektów.

– Nie – powiedziała ponuro Garona. – To mogła być fałszywa wizja. Szukaliśmy jednego, a znaleźliśmy coś innego. Mówiłeś, że to już się zdarzało.

– Nie w taki sposób – sprzeciwił się Khadgar. – Może nie pokazano nam tego, co chcieliśmy, ale wizje zawsze pokazują prawdę.

– Może to tylko ostrzeżenie – rzekła półorczyca.

– To ma sens – zauważył Khadgar, a w jego głosie brzmiało z wątpienie i żal. – Pomyśl o tym. To dlatego zabezpieczenia były nietknięte po tym, jak

zostaliśmy zaatakowani. Już znajdował się wewnątrz nich i wezwał demona, będąc wewnątrz.

– To nie było do niego podobne – powiedziała Garona. – Być może to była iluzja, jakaś magiczna sztuczka. To nie było do niego podobne.

– To był on – odrzekł uczeń, wstając. – Znam głos mistrza. Znam jego twarz. Każdy jej wyraz.

– A może był to ktoś inny, kto przybrał jego wygląd – podpowiedziała Garona. – Jakieś oszustwo. Jak ubranie czy zbroja, które założył ktoś inny.

Khadgar spojrział na półorczycę. Jej głos drżał, a w kącikach szeroko otwartych oczu zgromadziły się łzy. Chciała w to uwierzyć. Naprawdę chciała uwierzyć.

Khadgar również chciał uwierzyć. Wolno skinął głową.

– To mogła być sztuczka. To nadal mógł być on. Mógł oszukać tego orka, przekonując go, aby przybył tutaj. Może to wizja przyszłości?

Teraz to Garona potrząsnęła głową.

– Nie. To był Gul'dan. Już tu jest. Przegonił nas przez portal. Ta scena wydarzyła się w przeszłości, to było ich pierwsze spotkanie. Ale dlaczego Medivh miałby chcieć sprowadzić orki do Azeroth?

– To by tłumaczyło, dlaczego nie zrobił wiele, aby się im przeciwstawić – stwierdził Khadgar i potrząsnął głową, usiłując pozbyć się czających się tam myśli. Tak wiele rzeczy niespodziewanie nabierało sensu. Dziwne zniknięcia. Niewielkie zainteresowanie wzrastającą liczbą orków. Nawet sprowadzenie do zamku półorka.

Popatrzył na Garonę i zastanowił się, jak głęboko była wtajemniczona w spisek. Wyglądała na całkiem zaskoczoną wieściami, ale czy była konspiratorem, czy też kolejnym pionkiem w grze cieni, którą zdawał się prowadzić Medivh?

– Musimy się tego dowiedzieć – powiedział krótko. – Musimy dowiedzieć się, czemu tam był i co robił. Jest strażnikiem – nie powinniśmy potępiać go na podstawie jednej wizji.

Garona wolno skinęła głową.

– Zatem spytamy go. Ale jak?

Khadgar otwierał właśnie usta, by odpowiedzieć, kiedy w komnacie rozległ się inny głos.

– Co to za hałas? – spytał Medivh, wychodząc zza rogu.

Gardło Khadgara zacisnęło się i wyschło.

Mag stał w drzwiach, a Khadgar spoglądał na niego, szukając czegoś obcego w jego sposobie poruszania się, wyglądzie, głosie. Czegoś, co zdradziłoby inną obecność. Niczego takiego nie było. To był Medivh.

– Dzieci, czym wy się zajmujecie? – spytał mag, marszcząc siwe brwi.

Khadgar próbował coś odpowiedzieć, ale to Garona stwierdziła:

– Uczeń pokazywał mi czar, nad którym pracował – jej głos zadrżał.

Medivh parsknął.

– Kolejna z twoich wizji, Zaufanie? I tak jest ich tu za dużo, nawet bez twojego przywoływania przeszłości. Chodź tu zaraz – mamy pracę do wykonania. Ty też, wysłanniku.

Jego głos był opanowany i pełen zrozumienia, ale zdecydowany. Surowy głos mądrego mistrza. Khadgar zrobił krok do przodu, lecz Garona złapała go za ramię.

– Cienie – syknęła.

Khadgar zamrugał i jeszcze raz spojrział na maga. Na jego twarzy malowało się zniecierpliwienie i dezaprobata. Ramiona nadal miał szerokie i stał prosto mimo spoczywających na nim obowiązków. Nosił na sobie szaty, w których Khadgar często go widywał.

Za nim kryły się dwa cienie. Jeden padający wprost od pochodni, i drugi, równie ciemny, pod dziwnym kątem.

Khadgar zawahał się, a niezadowolenie na twarzy Medivha pogłębiło się niczym wzbierająca burza.

– O co chodzi, Zaufanie?

– Powinniśmy posprzątać ten bałagan – powiedział Khadgar, usiłując mówić spokojnie. – Nie chcemy, aby Moroes pracował za ciężko. Pozbieramy to.

– Spieranie się z mistrzem nie należy do obowiązków ucznia – odpowiedział Medivh. – Chodź tu natychmiast.

Nikt się nie poruszył.

– Dlaczego nie wchodzi do pokoju? – spytała Garona.

*Właśnie, dlaczego?* – zastanowił się Khadgar. Zamiast tego odezwał się:

– Mogę zadać pytanie, mistrzu?

– Co tym razem? – burknął mag.

– Czemu nawiedzałeś sny orka Gul'dana? – zapytał Khadgar, czując, jak coś ściska go za gardło. – Dlaczego powiedziałeś orkom, jak przybyć do tego świata?

Spojrzenie Medivha przesunęło się na Garonę.

– Nie wiedziałem, że Gul'dan powiedział ci o mnie. Nie wyglądał na głupiego ani na plotkarza.

Garona cofnęła się i tym razem to Khadgar ją powstrzymał.

– Nie wiedziałam. Aż do teraz.

Medivh prychnął.

– To nie ma wielkiego znaczenia. A teraz chodźcie tu. Obydwoje.

– Dlaczego wskazałeś orkom drogę? – powtórzył Khadgar.

– Nie wypytuj lepszych od siebie! – warknął mag.

– Czemu sprowadziłeś orki do Azeroth? – spytał tym razem błagalnym tonem Khadgar.

– To nie twoja sprawa, dziecko. *Podejdz tu! Ale już!* – Twarz maga była żywa i wykrzywiona w grymasie.

– Z całym szacunkiem, panie – powiedział Khadgar, a jego słowa były niczym pchnięcia sztyletem – nie, nie podejść.

Medivh wybuchnął gniewem.

– Dzieciaku, każe cię... – mówiąc to, wszedł do komnaty.

Od razu pojawiły się iskry, kąpiąc starego maga w blasku. Mag cofnął się chwiejnie, uniósł ręce i wymamrotał przekleństwo.

– Co...? – zaczęła Garona.

– Krąg ochronny – warknął Khadgar. – Aby trzymać z dala przyzwane demony. Mag nie może go przekroczyć.

– Ale jeśli to działa tylko na demony, to dlaczego on nie może przejść? Chyba że... – Garona spojrzała na Khadgara. – Nie. Czy krąg może go powstrzymać?

Khadgar pomyślał o słońce leżącej w poprzek zabezpieczeń w wieży Stormwind i energii rozkwitającej w przejściu. Pokręcił głową. Zamiast tego wrzasnął na maga:

– Czy to właśnie uczyniłeś Huglarowi i Hugarinowi? A Guzbahowi? A pozostałym? Czy dowiedzieli się prawdy?

– Byli znacznie dalej od prawdy niż ty, dziecko – powiedział jasno oświetlony mag przez zaciśnięte zęby – ale musiałem być ostrożny. Wybaczałem ci młodzieńczą ciekawość i sądziłem, że lojalność... – burknął, kiedy zatrzymały go bariery – że lojalność nadal jeszcze coś znaczy w tym świecie.

Zaklęcia ochronne rozbłysły, kiedy Medivh zbliżał się ku nim, a Khadgar mógł dostrzec pola wykrzywające się wokół wyciągniętych dłoni

maga. Migotanie iskierek zdawało się podpalać brodę Medivha, a dym unoszący się znad jego czoła przybrał kształt rogów.

A potem serce Khadgara zadrżało, gdyż młodzieniec uświadomił sobie, że to, co widział, było kolejnym obrazem nałożonym na wizerunek ukochanego mistrza. Ten obraz należał do drugiego cienia.

– Przedrze się – powiedziała Garona.

Khadgar zacisnął zęby.

– W końcu przejdzie. Wydaje duże ilości mocy, aby przełamać krąg.

– Czy może to zrobić? – spytała półorczyca.

– Jest strażnikiem Tirisfal – odparł Khadgar. – Może zrobić wszystko, co chce. To tylko kwestia czasu.

– Czy możemy się stąd wydostać? – Garona zaczynała już panikować.

– Jedyne wyjście jest za jego plecami – powiedział Khadgar.

Garona rozejrzała się dookoła.

– Rozwal ścianę. Będzie nowe wyjście.

Khadgar spojrział na kamienne ściany, lecz pokręcił głową.

– No, zrób coś!

– Spróbuję tego – rzekł Khadgar. Przed nimi górowała w dymie postać Medivha, teraz wyższa i otulona błyskawicami.

Uspokoiwszy się, młody mag zebrał magiczną energię. Wykonał te same ruchy, co kilka minut wcześniej i zaintonował słowa zapomniane przez śmiertelników, a kiedy skupił energię w kulę światła, wypuścił ją.

– Pokaż mi – rzekł Khadgar – tę, która wcześniej pokonała tę bestię!

Nastąpiła chwila dezorientacji, przez moment Khadgar myślał, że zaklęcie spaliło na panewce i przeniosło ich do obserwatorium na szczycie wieży. Lecz nie, teraz otaczała ich noc, a powietrze przecinał władczy i rozgniewany kobiecy głos.

– Ośmieliłeś się *uderzyć* własną matkę?! – wrzasnęła Aegwynn z twarzą wykrzywioną z wściekłości.

Czarodziejka stała na jednym skraju platformy obserwatorium, a Medivh na drugim. To był Medivh, jakiego znał Khadgar – wysoki, dumny i najwyraźniej zmartwiony. Ani Aegwynn, ani Medivh nie zwracali uwagi na Khadgara czy Garonę. Nagle Khadgar zorientował się, że obecne wcielenie maga również tu jest, migocząc pod ścianą. Para z przeszłości jego także zignorowała, ale Medivh z terażniejszości przyglądał się rozgrywanemu przed nim spektaklowi.

– Matko, sądzę, że zaczynasz histeryzować – powiedział dawny Medivh.

– A duchowy pocisk miał mi przywrócić zdrowe zmysły? – warknęła strażniczka. Khadgar dostrzegł, że obecnie była znacznie starsza niż wtedy, gdy widział ją w ostatniej wizji. Jej blond włosy posiwiały, a wokół ust i w kącikach oczu pojawiły się głębokie zmarszczki. Mimo to zachowała władczość wcześniejszych wcieleń, które widział w swoich wizjach.

– A teraz – powiedziała – odpowiedz na moje pytanie.

– Matko, nie dostrzegasz rzeczy takimi, jakimi są – powiedział Medivh.

– Odpowiedz – warknęła surowo Aegwynn. – Czemu sprowadziłeś orki na Azeroth?

– Nic dziwnego, że był taki zirytowany, kiedy go o to spytałeś – mruknęła Garona. Khadgar uciszył ją i obserwował Medivha z terażniejszości. Mag przestał napierać na barierę zaklęć, a jego twarz zdawała się być pozbawiona jakichkolwiek emocji.

– Matko? – spytał obecny Medivh. Na jego twarzy malowało się niedowierzenie.

– Nie potrafisz odpowiedzieć, prawda? – spytała Aegwynn. – To jakaś drobna gierka. Wyzwanie dla Llane’a i Lothara, taka mała dawka rozrywki?

Moc Tirisfalen to nie zabawka, dziecko. Przez cały czas przybywa coraz więcej orków. Słyszałam, że w okolicach Czarnych Bagien są napadane karawany. Do twojego portalu mógł trafić nawet nowicjusz, ale tylko twoja matka była w stanie posmakować otulającej go mocy. Jeszcze raz, dziecko, co masz na swoje usprawiedliwienie?

Khadgar kulił się pod słowami kobiety i w głębi duszy oczekiwał, że Medivh z przeszłości ucieknie z. pokoju. Tymczasem Medivh go zaskoczył. Roześmiał się gromko.

– Czy dezaprobata twojej matki bawi cię, dziecko? – spytała Aegwynn.

– Nie – odparł Medivh, błyskając drapieżnym uśmiechem. – Ale jej głupota owszem.

Khadgar spojrział na drugi koniec pokoju i dostrzegł, że Medivh z terażniejszości krzywi się, słysząc słowa, które wypowiedziała j ego wcześniejsza wersja.

– Jak śmiesz? – zagrzmiała Aegwynn, unosząc rękę. Z jej dłoni wystrzeliła kula oślepiająco białego światła i pomknęła w stronę Medivha. Mag także uniósł dłoń i z łatwością odbił ją w bok.

– Śmiem, matko – powiedziała zjawą z przeszłości. – I mam na to moc. Moc, którą dałaś mi przy poczęciu, której ani nie chciałem, ani o którą nie prosiłem.

Widmowy Medivh machnął ręką i najwyższe piętro wieży zajaśniało od świecącego pocisku. Aegwynn dostrzegła samą energię, ale Khadgar zauważył, że do obrony musiała unieść obie ręce, a i tak atak zatrzęsł nią.

– *Dlaczego* sprowadziłeś orki na Azeroth? – wysyczała kobieta. – Nie było takiej potrzeby. Naraziłeś całą populację, i po co?

– Aby przełamać krąg, rzecz jasna – powiedział Medivh z przeszłości. – Zburzyć mechaniczny wszechświat, który dla mnie zbudowałeś. Wszystko jest na swoim miejscu, nawet dziecko. Skoro nie mogłaś być dalej



strażnikiem, stał się nim twój starannie wybrany, wyszkolony potomek, i został on zamknięty w swojej roli tak ściśle, jak wszystkie inne twoje pionki.

Medivh z terażniejszości padł na kolana, a oczy miał utkwione w rozgrywającej się przed nim scenie. Wypowiadał słowa, które mówiło również jego jaz przeszłości.

Garona pociągnęła Khadgara za rękaw. Młodzieniec skinął głową. Opuścili centrum zabezpieczeń i zaczęli okrążyć pokój, starając się przekraść za obecnym wcieleniem maga.

– Ale ryzyko, dziecko... – powiedziała Aegwynn.

– Ryzyko? – spytał Medivh. – Ryzyko dla kogo? Nie dla mnie, nie, jeśli mam na swoje zawołanie moc *Tirisfalen*. Dla reszty zakonu? Oni wszyscy bardziej przejmują się polityką wewnętrzną niż demonami. Dla ludzi? Nażartych i szczęśliwych, chronionych przed niebezpieczeństwami, o których nie mają pojęcia? Czy zagrożony jest ktoś naprawdę ważny?

– Bawisz się mocami potężniejszymi od ciebie, synu – powiedziała Aegwynn. Khadgar i Garona byli już niemal u drzwi, ale Medivha z terażniejszości zbyt zajmowało oglądanie wizji.

– Och, oczywiście – warknął mag z przeszłości. – Myśląc, że mógłbym dać sobie radę z takimi mocami, zgrzeszyłbym pychą. To coś, jak sądzić, że można przechytryć demona i wyjść z tego cało.

Byli teraz za plecami Medivha, Garona sięgnęła pod bluzkę i wyciągnęła stamtąd nóż. Khadgar powstrzymał ją i potrząsnął głową. Prześlizgnęli się obok Medivha. W oczach starego człowieka zaczęły gromadzić się łzy.

– A co się stanie, jeśli te orki wygrają? – spytała Aegwynn. – Czczą mrocznych bogów i cienie. Czemu oddajesz im Azeroth?

– Kiedy wygrają – powiedział Medivh z przeszłości – będą musiały uczynić mnie swoim przywódcą. W przeciwieństwie do reszty tego żalosnego świata, matko, one szanują siłę. A dzięki tobie jestem najsilniejszą istotą na tym świecie. Zerwę kajdany, które nałożyłaś na mnie ty i inni, będę rządził.

W wizji nastąpiła chwila ciszy, zaś Khadgar i Garona zamarli, wstrzymując oddech. Czy Medivh z terażniejszości zauważy ich?

Przemawiająca z przeszłości Aegwynn całkowicie skupiała jego uwagę.

– Nie jesteś moim synem – powiedziała.

Medivh z terażniejszości ukrył twarz w dłoniach. Jego obraz z przeszłości powiedział:

– Nie. Nigdy nie byłem twoim synem. Nigdy tak naprawdę nie byłem twoim synem, w żadnym wypadku.

Mag z przeszłości roześmiał się. Był to głęboki, grzmiący śmiech, który Khadgar słyszał już kiedyś na lodowych stepach, gdy ta dwójka walczyła po raz ostami.

Aegwynn wyglądała na wstrząśniętą.

– Sargeraz? – wycedziła, rozpoznając go wreszcie. – Zabiłam cię.

– Zabiłaś tylko ciało, wiedzmo. Tylko moją fizyczną postać! – warknął Medivh z przeszłości i Khadgar już mógł dostrzec zarys drugiej istoty, drugiego cienia, który go pożerał. Istota z cienia i ognia, z brodą z płomieni i wielkimi, czarnymi jak heban rogami.

– Zabiłaś i ukryłaś w grobie na dnie morza. Lecz ja zamierzałem złożyć je w ofierze, aby uzyskać jeszcze większą nagrodę.

Wbrew sobie Aegwynn położyła dłoń na brzuchu.

– Tak, droga matko – powiedział Medivh z przeszłości; płomienie lizały jego brodę, a rogi tworzyły się z dymu pod brwiami. Był Medivhem, ale także Sargerasem. – Ukryłem się w twoim łonie i wkradłem się do śpiących

komórek twojego nieukształtowanego dziecka. Rak, skaza, uszkodzenie płodu, którego nigdy się nie spodziewałaś. Zabicie ciebie było niemożliwe, uwiedzenie mało prawdopodobne. Zatem sam uczyniłem się twoim potomkiem.

Aegwynn krzyknęła i uniosła dłonie. W słowach nie przeznaczonych do wypowiedzania przez ludzi wrzał gniew. Pocisk migoczącej tęczącej energii uderzył Medivha/Sargerasa wprost w pierś.

Widmo z przeszłości cofnęło się chwiejnie o krok, dwa, po czym uniosło rękę i przechwyciło skierowaną ku niemu energię. W komnacie rozszedł się smród palonego mięsa, a Sarger/ Medivh warknął i splunął. Przywołał własne zaklęcie i Aegwynn przeleciała przez cały pokój.

– Nie mogę cię zabić, matko – warknęła demoniczna postać. – Jakaś część mnie powstrzymuje mnie od tego. Ale złamię cię. Złamię cię i wypędzę, a nim wyzdrowiejesz, nim wrócisz z miejsca, do którego cię poślę, ten kraj będzie mój. Ten kraj i moc zakonu Tirisfal!

W terażniejszości Medivh wydał z siebie skowyt zagubionej duszy, błagając niebiosy o przebaczenie, które nigdy nie nadejdzie.

– To nasza wskazówka – powiedziała Garona, ciągnąc Khadgara za szatę. – Chodźmy stąd, póki wszystko idzie dobrze.

Khadgar zawahał się przez chwilę, po czym podążył za nią do schodów. Zeskakiwali po trzy stopnie. Niemal wpadli na Moroesa.

– Zdenerwowani – zauważył spokojnie kasztelan. – Jakiś problem?

Garona minęła mężczyznę i popędziła dalej, ale Khadgar złapał starszego mężczyznę i powiedział:

– Mistrz oszalał.

– Bardziej niż zwykle? – spytał Moroese.

– To nie żart – rzekł Khadgar, a potem jego oczy rozbłysły. – Czy masz gwizdek przywołujący gryfy?

Służący uniósł pokryty runami kawałek metalu.

– Chcesz, abym przyzwał...

– Ja to zrobię – powiedział Khadgar, zabierając mu gwizdek i biegnąc za Garoną. – Będzie nas ścigał, a ty lepiej również uciekaj. Zabierz kucharkę i uciekajcie jak najdalej.

Z tymi słowami Khadgar odwrócił się.

– Uciekać? – spytał Moroes i prychnął. – A dokąd miałbym się udać?

## Rozdział 14

# Ucieczka

Tylko jedna bestia odpowiedziała na wezwania Khadgara, ale stanęła dęba, kiedy Garona zbliżyła się do niej. Jedynie siła woli pozwoliła magowi zmusić gryfa do zaakceptowania obecności półorczy. Krzyki i przekleństwa Medivha słyszeli już dawno po tym, jak opuścili krąg wzgórz. Skierowali gryfa w stronę Stormwind, a Khadgar mocno wbijał pięty w boki wierzchowca.

Przebyli już wiele mil, kiedy gryf zaczął się dziwnie zachowywać. Lecieli bardzo szybko, ale teraz gryf zaczął się narowić, usiłował zerwać uprzęż i zawrócić w stronę gór. Khadgar robił, co mógł, by go okiełznać i utrzymać kierunek, lecz zwierzę stawało się coraz bardziej zdenerwowane.

– Co mu się stało? – spytała zza ramienia Garona.

– Medivh go przywołuje – rzekł Khadgar. – Chce wracać do Karazhanu.

Khadgar szarpał się z lejcami, próbował nawet użyć gwizdka, ale wreszcie musiał przyznać się do porażki. Sprowadził gryfa na niski, goły pagórek, i ześlizgnął się z jego grzbietu po tym, jak zeskoczyła Garona. Gdy młodzieniec tylko dotknął ziemi, gryf znowu wzniosł się w ciemniejące niebo, bijąc mocno skrzydłami i odpowiadając na zew swego pana.

– Sądzisz, że za nami podąży? – spytała Garona.

– Nie wiem – powiedział Khadgar – ale nie chcę tu być, jeśli tak się stanie. Chodźmy w stronę Stormwind.

Potykając się, szli przez większość wieczoru i nocy. Odnaleźli bitą drogę prowadzącą mniej więcej w stronę Stormwind. Nie było pościgu ani dziwnych świateł na niebie, a przed wschodem słońca para wędrowców odpoczęła nieco, kryjąc się pod wielkim cedrem.

Przez cały następny dzień nie widzieli żywej duszy. Tylko domy spalone do fundamentów i świeżo usypane kopczyki znaczące groby całych rodzin. Często napotykali przewrócone i zniszczone wozy, podobnie jak wielkie kręgi popiołu. Garona zauważyła, że w ten sposób orki postępowały z ciałami swoich zmarłych, po tym, jak zostały już obrabowane.

Nie napotykali żadnych zwierząt, jedynie ich truchła – wypatroszone świnie obok zniszczonej farmy, szkielet konia, objedzony za wyjątkiem przerażającej, wykręconej głowy. Wędrowali w milczeniu od jednej zniszczonej farmy do drugiej.

– Twoi tu byli – powiedział wreszcie Khadgar.

– Szczycą się takimi rzeczami – powiedziała ponuro Garona.

– Szczycą? – spytał Khadgar, rozglądając wokoło. – Szczycą niszczeniem? Rabowaniem? Żadna ludzka armia ani naród nie pali wszystkiego na swojej drodze ani nie zabija zwierząt bez celu.

Garona skinęła głową.

– To sposób działania orków – nie pozostawiaj nic, co twoi wrogowie mogliby wykorzystać przeciwko tobie. Jeśli czegoś nie da się zużyć natychmiast – jako żywność, kwaterę czy łup – powinno zostać spalone. Granice terytoriów orczych klanów często wytycza spalona ziemia, gdyż każda ze stron pragnie odebrać zapasy drugiej.

Khadgar pokręcił głową.

– To *nie* były zapasy – powiedział zapalczywie. – Tu kwitło życie. Kiedyś ta ziemia była zielona i płodna, pokryta polami i lasami. Teraz to pustynia. Spójrz! Czy między ludźmi i orkami może zostać ustanowiony pokój?

Garona nic nie powiedziała. Jechali dalej w milczeniu, a obóz rozbili w ruinach karczmy. Spali w osobnych pomieszczeniach, on w resztkach głównej sali, ona w kuchni. Nie proponował, aby spali razem, ona również nie.

Khadgara obudziło burczenie w żołądku. Opuścili wieżę właściwie tylko z tym, co mieli przy sobie i za wyjątkiem kilku odnalezionych jagód oraz orzechów przez cały dzień nic nie jedli.

Czując, jak trzeszczą mu stawy, młody mag wstał z mokrego od deszczu siennika, na którym spał. Nie spał pod gołym niebem od czasu, kiedy przybył do Karazhanu, i wyszedł z formy. Strach z wczorajszego dnia zniknął i młodzieniec zaczął zastanawiać się nad kolejnym posunięciem.

Zmierzali do Stormwind, ale jak wprowadzi do miasta kogoś takiego jak Garona? Może znajdzie coś, co ją osłoni. Czy ona w ogóle zechce się tam pojawić? Teraz, kiedy uwolniła się z wieży, może lepiej dla niej będzie, aby dołączyła do Gul'dana i klanu Siewców Burzy.

Khadgar wyprostował się, otrząsnął ze snu i oparł się o resztkę okna, by spytać, czy w kuchni coś może zostało do jedzenia.

I stanął oko w oko z ostrzem dużego, podwójnego topora, opuszczonego na wysokość jego szyi.

Po drugiej stronie topora widać było zieloną twarz orka. Prawdziwego orka. Khadgar nawet nie uświadamiał sobie, jak bardzo przyzwyczał się do twarzy Garony, toteż widok wielkiej szczęki i pochyłych brwi był dla niego szokiem.

– Soto? – warknął ork.

Khadgar powoli uniół ręce, przez cały czas przywołując w umyśle magiczną energię. Prosty czar, wystarczający do odepchnięcia stwora na bok, aby Garona mogła uciec.

Chyba że to Garona go tu ściągnęła, pomyślał nagle.

Zawahał się i to wystarczyło. Usłyszał za sobą jakiś szmer, ale nie zdążył się odwrócić, kiedy coś dużego i ciężkiego uderzyło go w kark.

Nie mógł być nieprzytomny zbyt długo – jednak wystarczająco, aby do pokoju wpadło pół tuzina orków, które zaczęły szturchać toporami sterty śmieci. Mieli zielone naramienniki. Klan Krwawej Jamy, podpowiedziała mu pamięć. Poruszył się, a wtedy pierwszy ork, ten z podwójnym toporem, znowu obrócił się ku niemu.

– Dziewojelamoty? – powiedział. – Dziejeowasz?

– Co? – spytał Khadgar, zastanawiając się, czy to głos orka był tak niewyraźny, czy to jego własny słuch zniekształcał język.

– Twoje kłamoty – powiedział wolniej ork. – Twoje rzeczy. Nie ma nic. Gdzie je chowasz?

– Nie ma. Zgubiłem. Nie mam – odparł bez namysłu Khadgar.

Ork prychnął.

– To zginiesz – warknął i uniół topór.

– Nie! – krzyknęła Garona od strony zrujnowanych drzwi. Wyglądała, jakby nie spała za dobrze, ale na rzemieniu przy pasie wisiało kilka królików. Wyszła na polowanie. Khadgar nieco zawstydził się swoich wcześniejszych myśli.

– Won, mieszańcu – warknął ork. – Nie twoja sprawa.

– Zabijasz moją własność, a to już moja sprawa – odparła Garona.

Własność? – pomyślał Khadgar, ale trzymał język za zębami.

– Wasność? – wysyczał ork. – Kim jesteś, że masz wasność?



– Jestem Garona Półork – warknęła kobieta, wykrzywiając twarz w maskę gniewu. – Służę Gul’danowi, warlockowi z klanu Siewców Burzy. Uszkodzisz moją własność, a będziesz miał z nim do czynienia!

Ork znowu prychnął.

– Siewcy Burzy? Phi! Słyszał, że to słaby klan, pomiatany przez warlocka!

Garona spojrzała na niego ostro.

– A ja słyszałam, że Krwawa Jama nie wsparła Młota Zmroku w ostatnim ataku na Stormwind i oba klany zostały odparte. Słyszałam, że ludzie pokonali was w uczciwej walce. To prawda?

– To bez znaczenia – powiedział ork z klanu Krwawej Jamy. – Mieli konie.

– Może mógłbym... – zaczął Khadgar, usiłując stanąć na nogi.

– Leż, niewolniku! – krzyknęła Garona, policzkując go mocno i ponownie rzucając na ziemię. – Mówisz, kiedy ci każę, nie wcześniej!

Ork skorzystał z okazji, aby podejść bliżej, ale kiedy Garona skończyła, obróciła się znów, a sztylet o długim ostrzu był wycelowany w brzuch samca. Inne orki cofnęły się. Czuły zbliżającą się walkę.

– Kwestionujesz moje prawo własności? – warknęła Garona z płonącymi oczami, a jej mięśnie napięły się, gdy gotowała się do przebicia skórzanej zbroi.

Przez chwilę panowała cisza. Ork z Krwawej Jamy popatrzył na Garonę, na rozciągniętego Khadgara i znowu na Garonę. Prychnął i stwierdził:

– Najpierw znajdź coś wartego walki, mieszańcu!

Z tymi słowy ork cofnął się. Inne osobniki odprężyły się i zaczęły opuszczać pojedynczo zrujnowaną salę.

– Co ma za pożytkę z człowieka–niewolnika? – spytał jeden z podwładnych, kiedy wychodzili z budynku.

Dowódca odpowiedział coś, czego Khadgar nie mógł usłyszeć. Podwładny, już na zewnątrz, krzyknął:

– To łohydne!

Khadgar usiłował wstać, ale Garona gestem nakazała mu leżeć. Mag skrzywił się wbrew sobie.

Garona podeszła do pustego okna, rozglądała się przez chwilę, po czym wróciła na miejsce, gdzie Khadgar opierał się o mur.

– Sądzę, że już sobie poszli – powiedziała w końcu. – Obawiałam się, że wrócą z posiłkami, aby wyrównać rachunki. Ich dowódca pewnie zostanie dziś w nocy wyzwany przez swoich podwładnych.

Khadgar dotknął obolałej strony twarzy.

– Czuję się nieźle, dzięki za troskę.

Garona pokręciła głową.

– Ty bladokóry durniu! Gdybym cię nie powaliła, dowódca zabiłby cię od razu, a potem zwrócił się przeciwko mnie, gdyż nie zdołałam utrzymać cię w ryzach.

Khadgar westchnął ciężko.

– Przepraszam. Masz rację.

– Masz rację, że mam rację – powiedziała Garona. – Trzymali cię przy życiu tak długo tylko dlatego, że sądzili, iż schowałeś coś w karczmie. Myśleli, że nie możesz być na tyle głupi, aby bez ekwipunku poruszać się w strefie wojny.

– Musiałaś bić tak mocno? – spytał Khadgar.

– Aby przekonać ich? Tak. Nie, żeby nie sprawiło mi to przyjemności. – Rzuciła mu króliki. – Masz, obedrzyj je ze skóry i zagotuj wodę. W kuchni pozostały jeszcze kociołki i kilka bulw.

– Mimo tego, co mówisz swoim przyjaciołom – rzekł Khadgar – nie jestem twoim niewolnikiem.

Garona zachichotała.

– Oczywiście, że nie. Lecz to ja złapałam śniadanie. Ty masz je ugotować!

Na śniadanie był porządny gulasz z królika i ziemniaków, z dodatkiem ziół, które Khadgar znalazł w resztach kuchennego ogrodu, i grzybów, które Garona zebrała w lesie. Khadgar przyjrzał się im, aby sprawdzić, czy któryś z nich nie jest przypadkiem trujący. Żaden nie był.

– Orki wykorzystują swoje dzieci do próbowania jedzenia – powiedziała Garona. – Jeśli przeżyją, wiedzą, że to nadaje się dla wszystkich.

Znowu wyruszyli w drogę, kierując się w stronę Stormwind. Znowu las był dziwnie cichy, a po drodze napotykali jedynie pozostałości wojny.

Okolo południa znowu natknęli się na orki z Krwawej Jamy. Ich ciała znajdowały się na szerokiej, otwartej przestrzeni wokół zniszczonej strażnicy, wszystkie twarzami do ziemi. Coś dużego, ciężkiego i ostrego przedarło się przez napleczniki ich pancerzy; niektórzy stracili głowy.

Garona szybko przechodziła od ciała do ciała, zbierając wszystko, co mogło się przydać. Khadgar rozglądał się po okolicy.

– Może mi pomożesz? – krzyknęła Garona.

– Za chwilę – powiedział Khadgar. – Chcę się upewnić, że to, co zabiło naszych przyjaciół, nie kręci się po okolicy.

Garona rozejrzała się po skraju polany, po czym spojrzała w niebo. Nad głowami były tylko nisko płynące, nakrapiane atramentem chmury.

– No i? – spytała. – Nic nie słyszę.

– Orki też nie słyszały, póki nie było za późno – rzekł Khadgar, stając obok niej nad ciałem orczego dowódcy. – Zostały trafione w plecy, kiedy biegły, przez przeciwnika wyższego niż one – wskazał na odcisnięte w glebie ślady podków. Pozostawiły je opancerzone, ciężkie konie. – Kawaleria. Ludzka.

– Wreszcie się zbliżamy. Zabierz wszystko, co możesz. Możemy zjeść ich racje – paskudnie smakują, ale są pożywne. Weź też broń, przynajmniej nóż.

Khadgar spojrzał na Garonę.

– Myślałem...

Grona roześmiała się.

– Zastanawiam się, jak wiele ludzkich nieszczęść zaczęło się od tych słów.

– Jesteśmy w zasięgu patroli ze Stormwind – powiedział Khadgar. – Nie sądzę, aby Medivh za nami podązał, a przynajmniej nie bezpośrednio. Może zatem powinniśmy się rozdzielić.

– Myślałam o tym – powiedziała Garona, przeglądając jeden z orczych plecaków. Wyciągnęła z niego najpierw płaszcz, a potem niewielki, owinięty w tkaninę pakunek. Otworzyła go i znalazła wewnątrz hubkę, krzesiwo oraz fiolkę oleistego płynu.

– Zestaw do rozpalania ognisk – wyjaśniła. – Orki kochają ogień, a to umożliwia jego szybkie rozpalenie.

– Zatem myślisz, że powinniśmy się rozdzielić – powiedział Khadgar.

– Nie – sprostowała Garona. – Mówiłam, że o tym myślałam. Kłopot polega na tym, że tego terenu nie kontrolują ani ludzie, ani orki. Przejdziesz pięćdziesiąt kroków i natkniesz się na kolejny patrol Krwawej Jamy, ja zaś mogę wpaść w zasadzkę twoich kolegów na koniach. Kiedy jesteśmy

razem, mamy większe szanse przetrwania. Każde z nas będzie niewolnikiem drugiego.

– Jeńcem – powiedział Khadgar. – Ludzie nie mają niewolników.

– Pewnie – rzekła Garona – tylko inaczej ich nazywacie. A zatem powinniśmy trzymać się razem.

– To wszystko?

– Właściwie tak. Do tego jeszcze drobna sprawa – przez jakiś czas nie składałam meldunków Gul’danowi. Jeśli natkniemy się na niego, powiem mu, że byłam więźniem w Karazhanie i że powinien wykazać się większą mądrością, niż wysyłać jednego ze swoich podwładnych w pułapkę.

– Myślisz, że w to uwierzy? – spytał Khadgar.

– Nie jestem pewna – rzekła Garona. – Co stanowi kolejny dobry powód, abym została z tobą.

– Z twoją wiedzą mogłabyś zyskać duże wpływy.

Garona skinęła głową.

– Tak, o ile wcześniej ktoś nie wsadzi mi topora w mózg. Nie, w tej chwili stawiam na bladokórych. A teraz potrzebuję jeszcze jednej rzeczy.

– Co takiego?

– Muszę zgromadzić ciała w jednym miejscu, przysypać gałęziami i podpalić. Możemy schować to, czego nie zabierzemy ze sobą, ale musimy spalić ciała. Przynajmniej to mogę dla nich zrobić.

Khadgar zmarszczył brwi.

– Jeśli ciężka konnica nadal znajduje się w okolicy, dym może ściągnąć ją tu w jednej chwili.

– Wiem – odparła Garona, rozglądając się jakby w poszukiwaniu patrolu. – Ale to słuszna rzecz. Jeśli znalazłbyś zabitego w zasadzce ludzkiego żołnierza, nie chciałbyś go pochować?

Usta Khadgara zacisnęły się ponuro, ale nic nie powiedział. Zamiast tego odszedł, aby złapać najdalej leżące zwłoki i przeciągnąć je w stronę pozostałości strażnicy. W ciągu godziny zebrali ciała i podpalili je.

– Teraz możemy ruszać – powiedział Khadgar, kiedy Garona przyglądała się, jak dym unosi się do góry.

– Czy to nie sprowadzi jazdy? – spytała.

– Tak – rzekł Khadgar. – Wyśle również wiadomość... tutaj są orki. Orki, które czują się na tyle bezpiecznie, aby palić ciała swoich towarzyszy. Dziękuję, wolę mieć szansę tłumaczyć się z bliska, niż stawiać czoła rozpędzonemu koniowi.

Garona kiwnęła głową i pozostawili płonąca strażnicę, powiewając połami zabranych płaszczy.

Garona mówiła prawdę, orcza wersja racji wędrowca stanowiła dziwną mieszaninę utwardzonego syropu, orzechów i czegoś, co Khadgar uważał za mięso gotowanego szczura. Jedzenie utrzymało ich jednak przy siłach i szli dość szybko.

Mijały kolejne dni. Krajobraz zmienił się w rozległe pola, na których falowało zboże. Jednak był tak samo opuszczony, stajnie puste, a domy już się zapadły pod własnym ciężarem. Znaleźli kilka innych śladów orczych pogrzebów i więcej pagórków znaczących groby ludzkich rodzin i członków wojskowych patroli.

Wciąż jednak w miarę możliwości trzymali się żywopłotów i płotów. Coraz bardziej otwarty teren ułatwiał im dostrzeżenie innych oddziałów, ale sami też byli łatwiej zauważalni. Kiedy wzdłuż grzbietu przechodziła mała armia orków, schowali się w domu, który był w dużej części nietknięty.

Khadgar przyglądał się przechodzącym oddziałom. Piechota, kawaleria na wielkich wilkach i katapulty zdobione w czaszki i smoki. Garona, która

również przyglądała się pochodowi, powiedziała:

– Idioci.

Khadgar spojrział na nią pytająco.

– Nie mogli bardziej się odsłonić – wyjaśniła. – Widzimy ich, bladokórzy tym bardziej. Nie mają żadnego celu. Włóczą się, szukając okazji do bitwy. Szukają chwalebnej śmierci w walce. – Pokręciła głową.

– Nie masz zbyt dobrego mniemania o swoim ludzie – rzekł Khadgar.

– W tej chwili nie mam zbyt dobrego mniemania o żadnym ludzie – odparła. – Orki nie uznają mnie za jedną z nich, ludzie mnie zabijają. A jedyny człowiek, któremu naprawdę zaufałam, okazał się być demonem.

– Cóż, jestem jeszcze ja – rzekł Khadgar, starając się, aby nie usłyszała w jego głosie urazy.

Garona skrzywiła się.

– Tak, jesteś jeszcze ty. Jesteś człowiekiem i ufam ci. Jednak sądziłam, naprawdę sądziłam, że Medivh coś zmieni. Potężny, ważny, chętny do rozmów. Bez uprzedzeń. A jednak oszukiwałam siebie. To tylko kolejny szaleniec. Może to moje przeznaczenie, pracować dla szaleńca. Może jestem tylko kolejnym pionkiem w grze. Jak to określił Medivh? Bezlitosna machina wszechświata?

– Twoje przeznaczenie – rzekł Khadgar – jest takie, jakie sobie wybierzesz. Medivh również zawsze tego pragnął.

– Czy sądzisz, że kiedy to mówił, był przy zdrowych zmysłach? – spytała półorczyca.

Khadgar wzruszył ramionami.

– Na tyle, na ile zwykle był. Wierzę, że był. Wygląda na to, że ty też chcesz w to uwierzyć.

– Tiaaa – mruknęła Garona. – Kiedy pracowałam dla Gul'dana, wszystko było takie proste. Jego małe oczy i uszy. Teraz nie wiem, kto ma

rację, a kto nie. Który lud jest moim ludem? Oba? Przynajmniej ty nie musisz się martwić, po czyjej stronie się opowiedzieć.

Khadgar nic nie powiedział, ale wyjrzał na zewnątrz, obserwując nadciągający zmierzch. Gdzieś za horyzontem orcza armia musiała coś napotkać. Nad jego skrajem rozbłyskiwał fałszywy świt, znaczony nagłymi rozbłyskami od niskich chmur, a echa bębnow i śmierci brzmiały niczym odległy grzmot.

Mijały kolejne dni. Teraz przechodzili przez opuszczone miasta. Budynki były w lepszym stanie, ale wciąż opuszczone. Można było zauważyć w nich ślady bytowania zarówno oddziałów ludzkich, jak i orczych, ale teraz mieszkały tu tylko duchy i wspomnienia.

Khadgar włamał się do ciekawie wyglądającego sklepu i choć półki były ograbione do czysta, w palenisku nadal leżało drewno, a w małym wiadrze w piwnicy znalazł ziemniaki i cebulę. Po orczych racjach wszystko było lepsze.

Rozpalił ogień, a Garona wzięła kociołek i udała się do pobliskiej studni. Khadgar zastanawiał się, co dalej. Medivh był zagrożeniem, może nawet większym niż orki. Czy można z nim rozmawiać? Przekonać, aby zamknął portal? A może jest na to za późno?

Sam fakt, że istnieje portal, był dobrą nowiną. Gdyby ludzie mogli odnaleźć go i zamknąć, orki zostałyby uwięzione w tym świecie. Odcięte od posiłków z Draenor.

Od tych rozmyślań oderwało go poruszenie na zewnątrz. Szczęk metalu o metal. Ludzkie głosy i jęki.

– Garona – mruknął Khadgar i ruszył do drzwi.

Znalazł ich przy studni. Patrol około dziesięciu pieszych odzianych w błękit Azeroth, z wyciągniętymi mieczami. Jeden trzymał się za zranione ramię, ale dwóch innych trzymało Garonę za ręce, każdy za jedną. Jej długi



sztylet leżał na ziemi. Kiedy Khadgar wypadł z za rogu, sierżant uderzył ją w twarz pancerną rękawicą.

– Gdzie inni?! – warknął. Z ust półorczycy pociekła ciemnopurpurowa krew.

– Zostawcie ją! – krzyknął Khadgar. Bez namysłu przywołał energię do umysłu i rzucił szybki czar.

Wokół głowy Garony rozkwitło jaskrawe światło, miniaturowe słońce, które zaskoczyło ludzi. Żołnierze puścili półorczycę i ta osunęła się na ziemię. Sierżant uniósł dłoń, aby chronić oczy, a pozostali członkowie patrolu byli na tyle zaskoczeni, że Khadgar znalazł się przy niej w ciągu kilku sekund.

– Zasoszyli mnie – wymamrotała Garona przez rozbite wargi. – Daj mi chwilę.

– Leż – powiedział cicho Khadgar i warknął do mrugającego sierżanta: – Ty dowodzisz tą hałastrą?

Większość żołnierzy odzyskała już wzrok. Zbrojni w rękach trzymali wyciągnięte miecze. Dwójka koło Garony cofnęła się nieco, obserwując uważnie ją, nie Khadgara.

– A kim ty jesteś, że wtrącasz się w sprawy wojska? Zabierzcie go z drogi!

– Stać! – krzyknął Khadgar, a żołnierze, którzy już raz poczuli siłę jego zaklęć, zrobili tylko jeden krok. – Jestem Khadgar, uczeń maga Medivha, przyjaciel i sojusznik waszego króla Llana'a. Mam dla niego ważne wieści. Zabierzcie nas natychmiast do Stormwind.

Sierżant zachichotał.

– Pewnie, a ja jestem lord Lothar. Medivh nie ma uczniów. Nawet ja o tym wiem. Zatem kim jest ta ślicznotka?

– To... – mag zawahał się na moment. – To mój więzień. Zabieram ją do Stormwind na przesłuchanie.

– Aha – mruknął sierżant. – Cóż, chłopcze, *znaleźliśmy* twojego więźnia uzbrojonego, a ciebie nigdzie nie widziałem. Śmiem twierdzić, że twój więzień uciekł. Szkoda, że orki wolą raczej umrzeć, niż się poddać.

– Nie dotykaj jej! – ostrzegł Khadgar, unosząc dłoń. Na jego zakrzywionych palcach zatańczyły płomienie.

– Flirtujesz ze śmiercią – warknął sierżant. Khadgar usłyszał dobiegające z oddali stąpanie ciężkich koni. Posiłki. Czy chętniej posłuchają półorka i maga niż ci tutaj?

– Popęlniasz wielki błąd, panie – powiedział spokojnie Khadgar.

– Trzymaj się od tego z dala, chłopcze – rozkazał sierżant. – Bierzcie orka. Zabijcie ją, jeśli będzie stawiała opór!

Żołnierze przysunęli się bliżej, ten stojący najbliżej Garony pochylił się, aby złapać ją ponownie. Próbowwała się odsunąć i inny wojak kopnął ją podkutym butem.

Khadgar przełknął łzy i rzucił w sierżanta zaklęciem. Kula ognia trafiła go w kolano. Sierżant zawył i padł na ziemię.

– Odwołaj ich – syknął Khadgar.

– Zabić ich! – krzyknął sierżant o oczach rozszerzonych z bólu. – Zabić oboje!

– Stać! – rozległ się inny głos, głębszy i bardziej ponury, stłumiony przez hełm. Na rynek wjechali jeźdźcy. Było ich około dwudziestu, a na ten widok serce w Khadgarze upadło. Takiej liczby Garona nie zdołałaby pokonać. Ich dowódca nosił pełną zbroję i hełm z opuszczoną przyłbicą. Khadgar nie mógł dostrzec jego twarzy.

Młody uczeń podszedł do niego.

– Panie – rzekł. – Odwołaj tych ludzi. Jestem uczniem maga Medivha.

– Wiem, kim jesteś – rzekł dowódca. – Spocznij! – rozkazał. – Miejcie oko na orczycę, ale ją puśćcie!

Khadgar przełknął ślinę i ciągnął dalej.

– Mam więźnia i ważne informacje dla króla Llane’a. Muszę natychmiast zobaczyć się z lordem Lotharem!

Dowódca uniósł przyłbicę.

– No to się zobaczysz, chłopcze – powiedział Lothar. – To się zobaczysz.

## Rozdział 15

# Pod Karazhanem

Rozmowa w zamku Stormwind nie poszła najlepiej i teraz okrążali wieżę Medivha na grzbiecie gryfa. Pod nimi, w gęstniejącym zmierzchu, leżał duży, opuszczony Karazhan. W oknach nie paliło się żadne światło, a obserwatorium na szczycie budowli było ciemne. Przy braku księżycowego światła nawet blade kamienie wieży były ciemne i złowrogie.

Poprzedniego wieczoru w prywatnych komnatach króla toczyła się zaciekle dysputa. Khadgar i Garona byli tam, choć półorczyicy nakazano oddać nóż Lotharowi, kiedy będzie stała przed obliczem jego wysokości. Był tam również królewski czempion oraz cała gromada doradców i dworaków krążących wokół króla. Khadgar nie mógł zwęszyć choć jednego maga i założył, że wszyscy, którzy przeżyli polowanie Medivha, znajdowali się albo na polu bitwy, albo siedzieli w bezpiecznych wieżach.

Co się tyczy króla, nie był to już młodzieniec z wcześniejszych wizji Khadgara. Król miał szerokie ramiona i ostre rysy z młodości, które dopiero teraz zaczynały poddawać się ciężarowi czasu. Jego błękitne szaty lśniły. Obok swojego fotela trzymał duży, otwarty hełm z białymi skrzydłami, jakby spodziewał się, że w każdej chwili zostanie wezwany do boju.

Przypomniawszy sobie zapalczywego młodzieńca z wizji z trollami, Khadgar pomyślał, że być może takie wezwanie jest tym, czego Llane

najbardziej pragnie. Starcie na otwartym i płaskim terenie, bez wątpliwości w końcowe zwycięstwo swoich sił. Młodzieniec zastanawiał się, jak wiele z tej pewności wynikało z wiary w ostateczne wsparcie ze strony maga. Tak naprawdę zdawało się, że jedno w naturalny sposób prowadzi do drugiego – mag zawsze będzie popierał Stormwind, a Stormwind będzie trwało wiecznie dzięki poparciu maga.

Uzdrowiciele zajęli się rozbitymi ustami Garony, ale nie mogli zrobić nic, by ją ułagodzić. Khadgar kilka razy krzywił się, kiedy dosadnie przedstawiała opinie orków na temat poczytalności mistrza magii, o bladokórych w ogóle i oddziałach Llane’a w szczególności.

– Orki są nieugięte – mówiła – i się nie poddadzą. Powrócą.

– Nie podeszły do murów bliżej niż na strzał z łuku – odparł Llane. Khadgarowi wydawało się, że jego wysokość jest bardziej rozbawiony niż zaniepokojony bezpośrednim zachowaniem Garony i jej wypowiedzianymi prosto z mostu ostrzeżeniami.

– Nie podeszły do murów bliżej niż na strzał z łuku – powtórzyła Garona. – Tym razem. Następnym podejją. A za trzecim sforsują mury. Nie sądzę, abyś brał orki wystarczająco poważnie, panie.

– Zapewniam cię, że traktuję je bardzo poważnie – rzekł Llane. – Jestem również świadom mocnych punktów Stormwind. Jego murów, armii, sojuszników i ducha. Być może gdybyś je zobaczyła, również byłabyś mniej przekonana o potędze orków.

Również w sprawie maga Llane był tak samo przekonany. Khadgar wyłożył wszystko przed radą, wspierany zapewnieniami i dodatkami ze strony Garony. Wizje przeszłości, zmienne zachowanie, wizje, które nie były wizjami, lecz raczej prawdziwymi demonstracjami obecności Sargerasa w Karazhanie. Odpowiedzialność Medivha za obecny najazd na Azeroth.

– Gdybym dostawał srebrne ziarnko kaszy za każdego człowieka, który mówił, że Medivh jest szalony, byłbym bogatszy, niż jestem – powiedział Llane. – On ma plan, młody panie. To proste. Wpadał w taki czy inny szal częściej, niż zdołałbym zliczyć, a nasz Lothar rwał sobie brodę. Za każdym razem okazywało się, że miał rację. Czy ostatnim razem, kiedy tu był, nie popędził, by upolować demona i sprowadzić go w ciągu kilku godzin? To niepodobne do opętanego przez demona, aby zdjąć głowę komuś ze swego rodzaju.

– Może to był ruch kogoś, kto usiłuje dowieść własnej niewinności – wtrąciła Garona. – Nikt nie widział, jak zabił demona. Czy nie mógł go wezwać, zabić i dowieść, że to on był za wszystko odpowiedzialny?

– Przypuszczenie – mruknął król. – Nie. Z całym szacunkiem dla was obojga, nie zaprzeczam, że widzieliście to, co widzieliście. Nawet te „wizje” przeszłości. Sądzę, że mag jest szczwanym lisem i to wszystko stanowi fragment jakiegoś większego planu. Zawsze mówił o większych planach i większych cyklach.

– Z całym szacunkiem – rzekł Khadgar. – Mag może mieć większy plan, ale rodzi się pytanie, czy Stormwind i Azeroth naprawdę mają w nim jakieś miejsce?

W taki sposób spędzili większość wieczoru. Król Llane pozostał nieugięty we wszystkich sprawach. Twierdził, że Azeroth może, dzięki swoim sojusznikom, zniszczyć albo zapędzić orcze hordy z powrotem do ich świata, że Medivh ma jakiś plan, którego nikt inny nie może zrozumieć i że Stormwind będzie odpierać ataki tak długo, „jak długo ludzie o męźnych sercach będą stać na murach i zasiadać na tronie”.

Przez większość czasu Lothar milczał, co jakiś czas zadając jakieś pytanie i kręcąc głową, kiedy Khadgar czy Garona dawali mu odpowiedź. Wreszcie przemówił.

– Llana, niech twoja pewność cię nie zaślepi! – powiedział. – Nie mogąc liczyć na maga Medivha, bylibyśmy bardzo osłabieni. Nie doceniając możliwości orków, czeka nas zguba. Posłuchaj, co oni mówią!

– Słucham – rzekł król. – Lecz słucham nie tylko rozumem, ale i sercem. Spędziliśmy wiele lat z Medivhem, zarówno przed, jak i podczas jego długiego snu. Pamięta swoich przyjaciół. A kiedy odsłoni swój zamiar, jestem pewien, że nawet wy docenicie, jakiego przyjaciela mamy w magu.

Wreszcie król wstał i odprawił wszystkich, obiecując, że odpowiednio wszystko rozważy. Garona mruczała coś pod nosem, a Lothar dał im pokoje bez okien oraz ze strażą u drzwi, tak na wszelki wypadek.

Khadgar usiłował spać, ale frustracja sprawiała, że przez większość nocy chodził w kółko. Wreszcie, kiedy zmęczenie zaczynało brać górę, rozległo się pukanie do drzwi.

Był to Lothar, w pełnej zbroi, z szatą przerzuconą przez ramię.

– Spałeś jak zabity, prawda? – powiedział, z uśmiechem wręczając mu ubranie. – Załóż to i dołącz do nas na szczycie wieży za piętnaście minut. Pośpiesz się, chłopcze.

Khadgar szybko ubrał się w strój, który składał się ze spodni, ciężkich butów, błękitnej tuniki z wyszytym lwem Azeroth oraz ciężkiego miecza. Zastanowił się i założył broń na plecy. Mogła się jeszcze przydać.

Na szczytach wież tłoczyło się przynajmniej sześć gryfów, szeleszcząc niecierpliwie skrzydłami. Był tam Lothar i Garona, ubrana, podobnie jak Khadgar, w białą tunikę z lwem. Półorczyca też miała ciężki miecz.

– Nie! – warknęła. – Ani słowa.

– Dobrze w tym wyglądasz – powiedział. – Pasuje do koloru twoich oczu.

Garona prychnęła.

– Lothar powiedział to samo. Próbował przekonać mnie, mówiąc, że ty też to założysz. I że chce być pewny, że inni mnie nie zastrzelą, biorąc za kogoś innego.

– Inni? – spytał Khadgar i rozejrzył się. W świetle poranka dostrzegł, że na innych wieżach również szykowano się do odlotu. Łącznie było sześć gryfów. Khadgar nie wiedział, że na świecie, a co dopiero w Stormwind, jest tyle wyszkolonych gryfów. Lothar musiał porozmawiać z krasnoludami. Powietrze było zimne i ostre jak pchnięcie sztyletem.

Lothar podszedł do nich i poprawił Khadgarowi miecz tak, aby mógł jechać z nim na grzbiecie gryfa.

– Jego wysokość – mruknął Lothar – r pokłada głęboką wiarę w lud Azeroth i grubość murów Stormwind. Ponadto ma również dobrych ludzi, którzy zajmują się różnymi rzeczami, gdy się myli.

– Jak my – rzekł ponuro Khadgar.

– Jak my – potwierdził Lothar. Spojrzał twardo na Khadgara i dodał: – Wiesz, pytałem cię, co z nim.

– Tak – powiedział Khadgar – a ja powiedziałem ci prawdę, a przynajmniej to, co wówczas za nią uważałem. Czułem się lojalny wobec niego.

– Rozumiem – powiedział Lothar. – I również czuję się wobec niego lojalny. Chcę się upewnić, że to, co mówiliście, to prawda. Ale chcę również, abyście byli w stanie zrobić to, co powinno zostać zrobione, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Khadgar skinął głową.

– Wierzysz mi, prawda?

Lothar ponuro skinął głową.

– Dawno temu, kiedy byłem w waszym wieku, opiekowałem się Medivhem. Był wówczas w śpiączce, która zabrała mu tak wiele młodości.



Sądziłem, że to był sen, ale przysięgam, że oprócz mnie był tam jeszcze jeden mężczyzna, również pilnujący maga. Wyglądał jak zbudowany z wypolerowanej miedzi, miał wielkie rogi i brodę z płomieni.

– Sargerias – rzekł Khadgar.

Lothar westchnął ciężko.

– Sądziłem, że zasnąłem, że to był sen, że nie mogło to być to, co sądziłem. Widzisz, ja również byłem wobec niego lojalny. Lecz nigdy nie zapomniałem, co widziałem. Z biegiem lat zacząłem jednak rozumieć, że widziałem fragment prawdy i że może do czegoś takiego dojść. Możemy jeszcze ocalić Medivha, ale musimy sprawdzić, czy ciemność nie zapuściła korzeni zbyt głęboko. Potem musimy zrobić coś niespodziewanego, okropnego i całkowicie koniecznego. Pytanie brzmi: czy zgodzisz się to zrobić?

Khadgar zastanowił się przez chwilę, po czym skinął głową. W żołądku miał kulę lodu. Lothar uniósł dłoń. Na jego rozkaz pozostałe gryfy wzbily się w powietrze, budząc się do życia, kiedy pierwsze promienie świtu padły na ich skrzydła i pomalowały je na złoto.

Podczas długiego lotu do Karazhanu zimno w żołądku Khadgara nie znikło. Garona leciała za nim, ale kiedy ziemia płynęła pod nimi, nie odzywała się ani słowem.

Teren zmieniał się. Wielkie pola były tylko poczerniałymi ścierniskami, upstrzonymi ruinami zawałonych budynków. Lasy zostały wycięte, aby nakarmić wojenne maszyny. W krajobrazie powstały duże blizny. Wszędzie ziały wielkie dziury, sama ziemia została zraniona, aby można było dostać się do złóż metali. Na horyzoncie wznosiły się słupy dymu, choć Khadgar nie mógł ocenić, czy pochodzą one z kuźni, czy z pól bitew. Lecieli przez cały dzień i słońce zaczynało skłaniać się już ku zachodowi.

Karazhan wznosił się niczym hebanowy cień w środku tego krateru, pochłaniając ostatnie promienie słońca i nie odbijając ich. Ani na wieży, ani w pustych oknach nie świeciło się żadne światło. Pochodnie, które płonęły nie pożerając paliwa, zostały zgaszone. Khadgar zastanawiał się, czy Medivh nie uciekł.

Lothar skierował swojego gryfa w dół, a Khadgar podążył za nim, szybko wylądował i zeskoczył z grzbietu skrzydlatej bestii. Kiedy tylko znalazł się na dachu wieży, gryf znowu wzbił się w powietrze, wydając przenikliwy krzyk i kierując się na północ.

Czempion Azeroth był już na schodach, z napiętymi mięśniami i wyciągniętym mieczem, a jego masywna sylwetka poruszała się z cichą, zręczną gracją kota. Garona również ruszyła do przodu, wsadzając dłonie pod tabard i wyciągając swój długi sztylet. Ciężki miecz ze Stormwind dzwonił Khadgarowi o biodro. Młodzieniec w porównaniu z tamtą dwójką czuł się dziwnie niezręcznie. Za nim wylądowały dwa gryfy, jeźdźcy zeskoczyli z ich grzbietów.

Obserwatorium było puste, a górny poziom pracowni mistrza opuszczony, ale nie pusty. Rozrzucano tu narzędzia, a szczątki rozbitego złotego urządzenia, astrolabium, spoczywały na półce nad kominkiem. Zatem jeśli wieża naprawdę była opuszczona, to zrobiono to bardzo szybko.

Albo wcale opuszczona nie była.

Zapalono pochodnie i drużyna zaczęła schodzić po wielkiej ilości schodów. Lothar, Garona i Khadgar kroczyli na czele. Kiedyś te ściany były znajome, były częścią jego domu, a długie schody codziennym wyzwaniem. Teraz zamontowane na ścianach pochodnie i ich zimny, zamarły płomień zostały wygaszone, zaś poruszające się pochodnie intruzów rzucały na ścianę mnóstwo uzbrojonych cieni, nadając korytarzowi wygląd obcy, niemal jak z koszmaru. Wydawało się, że za

każdą ścianą kryje się niebezpieczeństwo. Za każdym tonącym w mroku przejściem Khadgar spodziewał się zasadzki.

Nic się nie stało. Pasaże były puste, sale biesiadne opuszczone, a pokoje jak zawsze pozbawione życia. W pokojach gościnnych były meble, ale nikt tam nie mieszkał. Khadgar sprawdził własne komnaty – tam nic się nie zmieniło.

Teraz światło pochodni rzucało dziwne cienie na ściany biblioteki, skręcając żelazne konstrukcje i zamieniając regały z księgami w umocnienia. Księgi były nienaruszone, nawet ostatnie notatki Khadgara leżały dalej na stole. Czyżby Medivh nie pomyślał, że warto by zabrać z biblioteki jakieś tomy?

Oko Khadgara przyciągnęły strzępy papieru; podszedł do półek z poezją epicką. To było coś nowego. Kawałki zwoju, obecnie pogniecione i podarte. Khadgar podniósł duży fragment, przeczytał kilka słów i pokiwał głową.

– O co chodzi? – spytał Lothar, wyglądając tak, jakby spodziewał się, że księgi mogą w każdej chwili ożyć i ich zaatakować.

– „Pieśń o Aegwynn” – powiedział Khadgar. – Epicki poemat o jego matce.

Lothar burknął coś, ale Khadgar zaczął się zastanawiać. Kiedy oni uciekli, Medivh tutaj został. Czy tylko po to, aby zniszczyć zwój? Z powodu złych wspomnień o konflikcie z własną matką? Z zemsty za ostateczną przegraną Sargerasa z Aegwynn? A może zniszczenie zwoju, szyfru używanego przez strażników Tirisfal, symbolizowało jego rezygnację i ostateczną zdradę?

Khadgar zaryzykował rzucenie prostego zaklęcia – wykorzystywanego do wykazania magicznych obecności – ale nie uzyskał nic więcej ponad normalną odpowiedź, jaką uzyskiwał otoczony magicznymi księgami. Jeśli

Medivh rzucił zaklęcie tutaj, zamaskowało jego obecność na tyle dobrze, by przemóc wszystko, co Khadgar mógł wyczarować.

Lothar zobaczył, że młody mag kreśli w powietrzu symbole, a kiedy Khadgar skończył, stwierdził:

– Lepiej zachowaj siły na chwilę, kiedy go spotkamy.

Khadgar potrząsnął głową, zastanawiając się, czy uda im się odnaleźć maga.

Zamiast tego na najniższym poziomie, między wejściem do kuchni i spiżarnią, znaleźli Moroesa. Skurczona postać leżała na środku korytarza, a po podłodze ciągnęła się krwawa tęcza. Moroese oczy miał szeroko otwarte, a jego twarz była zadziwiająco spokojna. Wydawało się, że nawet śmierć nie mogła zaskoczyć kasztelana.

Garona zajrzała do kuchni i wróciła chwilę później. Jej twarz była bladozielona. Kobieta uniosła coś, aby Khadgar mógł się temu przyjrzeć.

Para rozbitych, różowych okularów. Kucharka. Khadgar skinął głową.

Ciała sprawiły, że żołnierze stali się czujniejsi. Przeszli do wielkiego, sklepionego przedsionka, a stamtąd na podwórze. Nie było śladu Medivha.

– Czy może mieć jeszcze jedną kryjówkę? – spytał Lothar. – Inne miejsce, gdzie mogłby się schować?

– Często znikał – odparł Khadgar. – Czasem na całe dni, a potem pojawiał się bez ostrzeżenia.

Coś poruszyło się na balkonie nad głównym wejściem – delikatny ruch powietrza. Khadgar przerwał i popatrzył w tamtą stronę, ale wszystko wyglądało normalnie.

– Może udał się do orków, aby je poprowadzić – zasugerował czempion. Garona pokręciła głową.

– Nigdy nie zaakceptowaliby ludzkiego przywódcy.

– Nie mógł rozpląnąć się w powietrzu! – zagrzemiał Lothar i krzyknął do żołnierzy. – Formować szyk! Wracamy!

Garona zignorowała czempiona, po czym powiedziała:

– Nie zniknął. Wracamy do wieży.

Przeszła między żołnierzami, przecinając dzielącą ich przestrzeń jak łódka falujące morze.

Zniknęła we wnętrzu budowli. Lothar spojrział na Khadgara, który wzruszył ramionami i poszedł za półorczycą.

Moroes nie poruszył się, jego krew była rozsmarowana półkuliście, z dala od muru. Garona dotknęła ściany, jakby chcąc przez nią coś wyczuć. Zmarszczyła czoło, zakląła i uderzyła w ścianę, która odpowiedziała jak coś bardzo solidnego i materialnego.

– Powinny być tutaj – rzekła.

– Co? – spytał Khadgar.

– Drzwi – powiedziała półorczycą.

– Tutaj nigdy nie było drzwi.

– Prawdopodobnie były tutaj *zawsze* – odparła Garona. – Tylko nigdy ich nie widziałeś. Patrz. Moroos zmarł tutaj – postawiła nogę obok ściany – a potem jego ciało zostało przeciągnięte, stąd pasmo krwi do miejsca, gdzie je znaleźliśmy.

Lothar mruknął z aprobatą i również zaczął jeździć dłońmi po murze.

Khadgar spojrział na wydawałoby się litą ścianę. Przychodził tutaj pięć czy sześć razy dziennie. Po drugiej stronie powinna być tylko ziemia i kamień. A jednak...

– Cofnijcie się – powiedział młody mag. – Pozwólcie, że coś sprawdzę.

Czempion i półorczyca cofnęli się, zaś Khadgar zebrał energię niezbędną do rzucenia czar. Używał go już wcześniej na prawdziwych drzwiach i zamkniętych księgach, ale po raz pierwszy próbował użyć tego

zakłęcia na drzwiach, których nie widział. Usiłował je sobie wyobrazić, ocenić, jak były duże, skoro wymagały przesunięcia ciała Moroesa, gdzie mogą być zawiasy, futryna i gdzie, gdyby pragnął utrzymać ich istnienie w tajemnicy, umieściłby zamki.

Wyobraził sobie drzwi i wsunął odrobinę magii w niewidzialną futrynę, aby otworzyć ukryty zamek. Ku jego zaskoczeniu mur przesunął się, a po jednej stronie pojawiła się szczelina. Niewielka, lecz na tyle duża, by określić zarysy drzwi, których chwilę wcześniej tu nie było.

– Użyjcie mieczy i otwórzcie je! – warknął Lothar i żołnierze ruszyli naprzód. Kamienne drzwi opierały się przez jakiś czas ich wysiłkom, po czym jakiś ukryty wewnątrz mechanizm trzasnął głośno i drzwi otworzyły się, przesuwając ciało Moroesa i odsłaniając ciągnące się w dół schody.

– Nie rozwiązał się w powietrzu – powiedziała ponuro Garona. – Został tutaj, ale udał się do miejsca, o którym nikt nie wiedział.

Khadgar spojrział na zwinięte ciało Moroesa.

– Prawie nikt. Zastanawiam się, co jeszcze ukrywa.

Zeszli po schodach, a Khadgar zaczynał mieć jakieś dziwne przeczucie. Podczas gdy górne piętra były opuszczone, podziemia wieży promieniowały namacalną aurą zła. Szorstkie ściany i podłoga były wilgotne, a światło pochodni wydawało się falować jak żywe ciało.

Minęła chwila, nim Khadgar uświadomił sobie, że choć schody dalej skręcają się spiralnie w dół, to teraz odwróciły kierunek, poruszając się w przeciwną stronę niż te z wieży, jakby stanowiły lustrzane odbicie tamtych schodów.

I rzeczywiście, tam, gdzie w wieży znajdował się salon, tutaj był loch pełen żelaznych łańcuchów. Tam, gdzie na górze była sala bankietowa, tu był pokój zasłany śmieciami i oznaczony mistycznymi kręgami. Powietrze było ciężkie i trudno nim było oddychać, zupełnie jak w wieży Stormwind,

gdzie zostali zabici Huglar i Hugarin. To tutaj został przyzwany demon, który ich zaatakował.

Kiedy dotarli do poziomu odzwierciedlającego bibliotekę, znaleźli okute żelazem drzwi. Schody prowadziły jeszcze niżej, ale drużyna zgromadziła się tutaj, oglądając mistyczne symbole wyrzeźbione głęboko w drzewie i wypełnione brązowującą krwią. Wyglądało to tak, jakby krwawiło same drewno. W zranionych drzwiach wisiały dwa wielkie, żelazne pierścienie.

– To chyba biblioteka – powiedział Khadgar.

Lothar pokiwał głową. Również dostrzegł podobieństwa między wieżą a tą norą.

– Zobaczmy, co tu trzyma, skoro wszystkie książki są na górze.

– Jego gabinet znajduje się na szczycie wieży, tak jak obserwatorium – powiedziała Garona – skoro zatem *jest* tutaj, powinien siedzieć na samym dole. Powinniśmy się pospieszyć.

Lecz było już za późno. Kiedy Khadgar dotknął okutych żelazem drzwi, z jego palca na drewno przeskoczyła iskra, znak magicznej pułapki. Khadgar zdążył jeszcze zakląć, kiedy drzwi otworzyły się, odsłaniając mrok biblioteki.

Psiarni. Sargeras nie potrzebował wiedzy, zatem oddał komnatę swoim ulubieńcom. Żyły tu w ciemności, którą same tworzyły. Na korytarz buchnął gryzący dym.

Wewnątrz znajdowały się oczy. Oczy, płonące paszcze, ciała z ognia i cienia. Wolno zbliżały się, powarkując.

Khadgar nakreślił w powietrzu runy, gromadząc w swoim umyśle energię, aby zamknąć te drzwi, podczas gdy żołnierze szarpali się z wielkimi pierścieniami. Ani zaklęcie, ani mięśnie nie zdołały ich poruszyć.

Bestie zaśmiały się krótkim, urywanym śmiechem i przyczyły się do ataku.

Khadgar uniósł dłonie, aby rzucić następne zaklęcie, ale Lothar pociągnął je w dół.

– To strata czasu i energii – powiedział. – Mają opóźnić nasz marsz. Idź na dół i znajdź Medivha.

– Ale one... – zaczął Khadgar, a duża, demoniczna bestia idąca na czele skoczyła na nich.

Lothar zrobił dwa kroki do przodu i uniósł miecz, aby stawić jej czoła. Kiedy podnosił ostrze, wyrzeźbione na nim runy rozblęły jasnożółtym światłem. Przez pół sekundy Khadgar widział strach w oczach demona-bestii.

A potem łuk ciosu Lothara przeciął się z torem lotu potwora i ostrze wgryzło się głęboko w ciało. Wyszło na grzbiecie, niemal rozdzielając na dwoje przednią część torsu. Bestia miała tylko chwilę, aby zaskomleć z bólu, kiedy ostrze dokończyło ruch i wbiło się w czaszkę. Dymiące truchło, kapiące ogniem i krwawiące cieniem, upadło u stóp Lothara.

– Idź! – zagrział czempion. – Zajmiemy się nimi i dołączymy później.

Garona chwyciła Khadgara i pociągnęła go w dół schodów. Za nimi żołnierze również złapali za miecze, a runy zatańczyły w migoczących płomieniach, które pochłaniały cienie. Młody mag i półorczyca zakręcili na schodach, słysząc za sobą krzyki umierających wydobywające się zarówno z ludzkich, jak i nieludzkich gardeł.

Szli po kręconych schodach; w jednej dłoni Garona trzymała pochodnię, a sztylet w drugiej. Teraz Khadgar dostrzegł, że ściany lśniły słabo fosforyzującą poświatą, czerwonym blaskiem podobnym do tego charakterystycznego dla nocnych grzybów, rosnących głęboko w lesie. Robiło się coraz cieplej, z czoła płynął mu pot.



Kiedy weszli do jednej z jadalni, żołądek Khadgara niespodziewanie skręcił się i nagle znaleźli się zupełnie gdzie indziej. Coś przeszło nad nimi niczym zapowiedź letniej burzy.

Znajdowali się na szczycie jednej z większych wież Stormwind, a wokół nich płonęło miasto. Zewsząd wznosiły się słupy dymu, tworząc nad ich głowami czarną kurtyną przesłaniającą słońce. Podobna zasłona ciemności otaczała miejskie mury, ale na nią składały się oddziały orków. Ze swojego miejsca Khadgar i Garona mogli dostrzec armie pełzające niczym owady po zielonym cieple, jakim były pola Stormwind. Teraz były tam tylko wieże oblężnicze i uzbrojona piechota, a barwy sztandarów układały się w obrzydliwą tęczę.

Lasy również zniknęły. Drzewa przerobiono na miotające ogień na miasto katapulty. Większość dolnego grodu płonęła. Na oczach Khadgara część zewnętrznego muru zawaliła się. Małe laleczki w barwach zieleni i błękitu walczyły na rumowisku.

– Jak się dosta...? – zaczęła Garona.

– Wizja – powiedział krótko Khadgar, choć zastanowił się, czy to była przypadkowa cecha wieży, czy też kolejne opóźnienie maga.

– Mówiłam królowi. Mówiłam, ale nie słuchał – mruknęła. Potem zwróciła się do Khadgara: – Zatem to jest wizja przyszłości? Jak możemy się z niej wydostać?

Młody mag potrząsnął głową.

– Nie możemy, przynajmniej w tej chwili. W przeszłości przychodziły i odchodziły. Czasem może je przerwać solidny wstrząs.

Płonąca sterta śmieci, będąca ognistym pociskiem z katapulty, przeleciała obok wieży. Khadgar poczuł ciepło, kiedy spadła na ziemię.

Garona rozejrzała się wokół.

– Przynajmniej to wyłącznie orki – rzekła ponuro.

– To ma być dobra wiadomość? – spytał Khadgar, którego zapiekły oczy, gdy kłęb dymu owionął wieżę.

– W orczych armiach nie ma demonów – zauważyła półorczyca. – Gdyby był z nimi Medivh, moglibyśmy zobaczyć coś znacznie gorszego. Może udało się nam go nakłonić do pomocy.

– Wśród naszych oddziałów również nie widzę Medivha – powiedział Khadgar, zapominając, do kogo mówi. – Nie żyje? Uciekł?

– Jak daleko w przyszłości się znajdujemy? – spytała Garona.

Za nimi coraz głośniejsz rozbrzmiewała kłótnia. Odwrócili się od blanek i zobaczyli, że stoją przed jedną z sal posłuchań, obecnie zamienioną w centrum dowodzenia. Na znajdującym się na jej środku stole leżał niewielki model miasta, a wokół rozrzucone były żołnierzyki symbolizujące ludzi i orków. Do króla Llana i jego doradców, pochylonych nad stołem, wciąż napływały kolejne raporty.

– Wyłom wzduż Muru Kupców!

– Coraz więcej pożarów w dolnym mieście!

– Duże oddziały znowu gromadzą się przy głównej bramie. Wyglądają na warlocków!

Khadgar dostrzegł, że nie było tu nikogo z wcześniejszych doradców. Poprzednią ekipę zastąpiono gromadą ponurych mężczyzn w strojach podobnych do jego ubioru. Khadgar nie widział nigdzie Lothara i mógł mieć tylko nadzieję, że ten znajduje się na czele walczących, stawiając czoła wrogowi.

Llane poruszał zrecznie dłonią, jakby miasto było atakowane regularnie.

– Sprowadźcie czwartą i piątą kompanię, aby wzmocnić wyłom. Sprowadźcie pospolite ruszenie, aby wesprzeć gaszących pożary – bierzcie wodę z publicznych łaźni. Dwa oddziały jazdy do głównej bramy. Kiedy

orki zaczną atakować, niech zrobią wycieczkę. To powinno zatrzymać atak. Sprowadźcie dwóch magów z ulicy Żłotników; czy już tam skończyli?

– Atak został odparty – nadszedł meldunek. – Magowie są wyczerpani.

Llane kiwnął głową i powiedział:

– Niech zatem odpoczną, sprowadźcie ich za godzinę. Zamiast nich weźcie młodszych magów z akademii. Niech będzie ich dwa razy więcej, ale każcie im być ostrożnymi. Dowódco Bortonie, niech twoi ludzie znajdą się przy wschodnim murze. Osobiście tam bym właśnie uderzył.

Llane rozdawał zadania wszystkim dowódcom po kolei. Nie było kłótni, dyskusji, sugestii. Każdy wojownik kiwał głową i odchodził. W końcu pozostał tylko król i mały model miasta, które naprawdę płonęło za oknami.

Król pochylił się, opierając kostki dłoni na blacie. Jego twarz wyglądała na zmęczoną i starą. Podniósł głowę i powiedział w przestrzeń:

– Teraz wy możecie złożyć mi meldunek.

Zasłona naprzeciwno potarła o podłogę, gdy wyszła z za niej Garona. Półorczyca stojąca obok Khadgara wydała z siebie pełne zaskoczenia sapnięcie.

Garona z przyszłości nosiła swoje zwykłe czarne spodnie i czarną, jedwabną bluzkę, ale również płaszcz z lwią głową Azeroth. Miała dzikie spojrzenie. Obecna Garona złapała Khadgara za ramię, aż młodzieniec poczuł wbijające mu się w ramię paznokcie.

– Złe wieści, panie – rzekła Garona, zbliżając się do króla. – W tym ataku biorą udział różne klany, zjednoczone pod wodzą Czarnej Ręki Niszczyciela. Żaden z nich nie zdradzi innego, dopóki Stormwind nie padnie. Do zmierzchu Gul'dan przyprowadzi swoich warlocków. Do tego czasu klan Czarnego Kamienia będzie próbował zdobyć wschodni mur. – Khadgar wyczuł w głosie półorczycy drżenie.

Llane westchnął ciężko i powiedział:

– Atak odeprzemy tak jak inne. Wytrwamy, dopóki nie przybędą posiłki. Dopóki ludzie o mężnych sercach stoją na murach i zasiadają na tronie, Stormwind nie upadnie.

Garona z przyszłości kiwnęła głową i teraz Khadgar widział duże łzy spływające z kącików jej oczu.

– Orczy wodzowie zgadzają się z twoim zdaniem – powiedziała, a jej dłoń zanurkowała pod czarną bluzę.

Zarówno Khadgar jak i prawdziwa Garona krzyknęli równocześnie, gdy półorczyca z przyszłości wyciągnęła długi sztylet i wbiła go w lewą pierś króla. Poruszała się z taką szybkością i gracją, że na twarzy króla Llane'a zdążył się tylko pojawić wyraz zaskoczenia. Mężczyzna oczy miał szeroko rozwarte. Jego ciało przez chwilę wisiało zawieszony na jej ostrzu.

– Orczy wodzowie zgadzają się z twoim zdaniem – powtórzyła, a łzy spływały po jej szerokiej twarzy – i wynajęli zabójcę, aby cię usunął. Kogoś, kto mógł podejść do ciebie blisko. Ktoś, z kim mógłbyś zostać sam.

Llane, król Azeroth, pan Stormwind, sojusznik maga i wojownika, osunął się na posadzkę.

– Wybacz mi – powiedziała Garona.

– Nie! – krzyknęła Garona z teraźniejszości, sama osuwając się na posadzkę. Niespodziewanie znowu znaleźli się w fałszywej jadalni. Ginące Stormwind zniknęło, a wraz z nim ciało króla. Pozostały łzy półorczyca, lśniąc teraz w oczach prawdziwej Garony.

– Mam go zabić – powiedziała cicho. – Mam go zabić. Traktował mnie dobrze i słuchał, kiedy mówiłam, a ja mam go zabić. Nie.

Khadgar uklęknął obok niej.

– Już dobrze. To może nie być prawda. To może się nie zdarzyć. To wizja.

– To prawda – powiedziała. – Widziałam ją i wiem, że to prawda.

Khadgar milczał przez chwilę, rozważając swoją wizję przyszłości rozgrywającą się pod czerwonym niebem, gdzie walczył z ludem Garony. Widział to i również wiedział, że to prawda.

– Musimy iść – powiedział, ale Garona pokręciła głową.

– Sądziłam, że znalazłem dla siebie miejsce z dala od orków. Teraz jednak wiem, że mam wszystko zniszczyć.

Khadgar spojrział w górę i w dół schodów. Nie miał pojęcia, jak szło ludziom Lothara z demonami, nie miał też pojęcia, co znajduje się na dole podziemnej wieży. Jego twarz przybrała ponury wyraz, wziął głęboki oddech.

I mocno uderzył Garonę w twarz.

Dłoń zaczęła krwawić od uderzenia o kiel, ale reakcja Garony była natychmiastowa. Jej zakławione oczy rozszerzyły się, a na twarzy stężała maska gniewu.

– Ty idioto! – krzyknęła i skoczyła na Khadgara, przewracając go na ziemię. – Nigdy tego nie rób! Słyszałeś?! Zrób tak jeszcze raz, to cię zabiję!

Khadgar leżał na plecach, a półorczyca na nim. Nie widział, kiedy wyciągnęła sztylet, ale teraz ostrze dotykało boku jego szyi.

– Nie możesz – wydusił z surowym uśmiechem. – Miałem wizję własnej przyszłości. Sądzę, że jest równie prawdziwa. Jeśli tak, nie możesz mnie teraz zabić. To samo dotyczy ciebie.

Garona zamrugała i przysiadła na piętach, nagle znów opanowana.

– Zatem jeśli zamierzam zabić króla...

– Wyjdiesz stąd żywa – powiedział Khadgar. – Ja też.

– A jeśli się mylimy... jeśli wizja jest fałszywa?

Khadgar wstał.

– Wtedy umrzesz, wiedząc, że nigdy nie zabijesz króla Azeroth.

Garona siedziała przez chwilę, rozważając wszystkie możliwości. W końcu powiedziała:

– Pomóż mi wstać. Musimy ruszać dalej.

Poszli dalej przez fałszywe odpowiedniki poziomów z powierzchni. Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie znajdował się najwyższy poziom, z obserwatorium Medivha i jego gabinetem. Schody wychodziły na czerwonawą równinę. Wydawała się wyrzeźbiona ze stygnącego obsydianu, którego ciemne, błyszczące kawałki pływały w ogniu pod ich stopami. Khadgar odruchowo odskoczył, ale oparcie zdawało się twarde, a gorąco, choć uciążliwe, było do zniesienia.

W centrum wielkiej jaskini znajdowała się niewielka kolekcja żelaznych mebli. Stół do pracy i stołek, kilka krzeseł i szafek. Przez chwilę wyglądało to dziwnie znajomo, dopiero potem Khadgar uświadomił sobie, że meble były ustawione dokładnie tak, jak w pokoju Medivha.

Wśród nich stała barczysta sylwetka maga. Khadgar usiłował dostrzec w jego zachowaniu i wyglądzie coś, co świadczyłoby, że nie jest to Medivh, którego znał i któremu ufał. Że to nie ten starszy mężczyzna, który mu zaufał i zachęcał go do pracy. Czegoś, co wskazywałoby na to, iż jest to ktoś inny.

Niczego takiego nie było. To był jedyny Medivh, jakiego znał.

– Witaj, Zaufanie – powiedział mag, a gdy się uśmiechał, na jego brodzie zajaśniały płomienie. – Witaj, wysłanniku. Oczekiwałem was.

## Rozdział 16

# Koniec maga

Musze przyznać, że to było natchnione – powiedział Medivh, który nie był Medivhem. – Przywołać cień z mojej przeszłości, coś, co mogłoby mnie powstrzymać przed ściganiem was. Oczywiście, kiedy wy zbieraliście siły, ja robiłem to samo.

Khadgar spojrział na Garonę i skinął głową. Półorczyca zrobiła pół kroku w prawo. Jeśli będzie taka potrzeba, okrążą Starego.

– Mistrzu, co się z tobą stało? – powiedział Khadgar, robiąc krok do przodu i usiłując skupić na sobie uwagę maga. Starzec roześmiał się.

– Co mi się stało? Nic. Oto, kim jestem. Byłem zepsuty od narodzin, skażony jeszcze przed poczęciem. Byłem złym nasieniem, które wydało gorzki owoc. Nigdy nie widziałeś prawdziwego Medivha.

– Magu, cokolwiek się stało, jestem pewien, że może to zostać naprawione – rzekł Khadgar, idąc powoli w jego stronę. Garona zachodziła go z prawej, sztylet o długim ostrzu znowu zniknął – widać było, że jej ręce są puste.

– Czemu miałbym to naprawiać? – stwierdził Medivh ze złym uśmiechem. – Wszystko idzie tak, jak zaplanowałem. Orki zabijają ludzi, a ja będę kontrolował ich dzięki wodzom-warlockom, takim jak Gul'dan. Poprowadzę te zniekształcone istoty do zaginionego grobowca, w którym

spoczywa ciało Sargerasa, chronione przed ludźmi i demonami, lecz nie przed orkami, i moja postać zostanie uwolniona. Wówczas zrzucę to łachmanowate ciało oraz słabego ducha i spalę ten świat, jak sobie na to po tysiakkroć zasłużył.

– To ty jesteś Sargerasem – powiedział Khadgar, idąc w lewo.

– Tak i nie – powiedział mag. – Jestem, bo kiedy Aegwynn zabiła moje fizyczne ciało, ukryłem się wewnątrz jej łona i przekazałem moją mroczną esencję każdej jej komórce. Kiedy Aegwynn wreszcie postanowiła połączyć się z ludzkim magiem, już tam byłem. Mroczny bliźniak Medivha, całkiem ukryty wewnątrz jego postaci.

– Potworne – rzekł Khadgar.

Medivh uśmiechnął się.

– Niezbyt różni się to od tego, co planowała Aegwynn, gdyż ona również umieściła moc Tirisfalen wewnątrz dziecka. Nic dziwnego, że tak niewiele miejsca pozostało dla samego Medivha, gdy demon i światło walczyły o jego duszę. Zatem kiedy moc naprawdę się w nim objawiła, musiałem wyciszyć go na chwilę, dopóki nie zdołałem wcielić w życie moich własnych planów.

Khadgar wciąż przesuwał się na lewo, usiłując nie patrzeć na Garonę skradającą się za starym magiem. Zamiast tego powiedział:

– Czy jest w tobie choć trochę prawdziwego Medivha?

– Odrobina – odparł Medivh. – Dość, aby rozmawiać z wami, pomniejszych istotami. Dość, aby ogłupić królów i magów, jak chciałem. Medivh to maska – pozostawiłem go dość na powierzchni, aby pokazywać go innym. Zatem kiedy moje działania zdają się dziwne czy nawet szalone, przypisuje się je mojej pozycji i odpowiedzialności, jaka na mnie ciąży, oraz mocy przekazanej mi przez moją drogą matkę.

Mag uśmiechnął się drapieżnie.



– Najpierw zostałem stworzony przez plany Aegwynn, aby być jej narzędziem, potem ukształtowały mnie ręce demona. Nawet zakon nie uważał mnie za coś więcej niż skuteczną broń przeciw demonom. Nic więc dziwnego, że jestem tylko sumą tego, z czego się składam.

Garona znajdowała się już za magiem i z wyciągniętym sztyletem poruszała się jak najciszej po obsydianowej podłodze. W jej oczach nie było łez, raczej żelazna determinacja. Khadgar skupiał wzrok na Medivhie, nie chcąc zdradzić jej nawet jednym spojrzeniem.

– Widzisz – ciągnął mag – nie jestem niczym więcej, jak jeszcze jednym składnikiem wielkiej maszyny, która działa od czasu, kiedy Studnia Wieczności została zniszczona. Jedyna rzecz, w której kawałki prawdziwego Medivha i ja się zgadzamy, to że ten cykl musi zostać przerwany. Zapewniam cię, że co do tego jesteśmy całkiem zgodni.

Garona znajdowała się o krok od niego z uniesionym sztyletem. Zrobiła ostami krok.

– Przepraszam – rzekł Medivh i zamachnął się pięścią. Wokół kostek jego palców zatańczyły tajemne energie i trafiły półorczycę prosto w twarz. Garona zrobiła kilka chwiejnych kroków w tył.

Khadgar zaklął i uniósł dłonie, by rzucić zaklęcie. Coś, co wytrąci maga z równowagi. Coś prostego. Coś szybkiego.

Medivh był szybszy, obrócił się ku niemu i uniósł podobną do szponów dłoń. Khadgar poczuł, jak powietrze wokół niego zacieśnia się w płaszczyznę, pętający mu ręce i nogi, uniemożliwiający poruszanie się. Krzyczał, ale jego głos był stłumiony i dochodził jakby z wielkiej dali.

Medivh uniósł drugą dłoń i ciało Khadgara przeszył ból. Wszystkie stawy młodzieńca zdawały się przebijać rozpalone do czerwoności kolce. Pierś mu się ścisnęła i młody mag poczuł, jakby jego ciało wysychało i pełzało po kościach. Miał wrażenie, jakby ulatywały z niego wszystkie

płyń, pozostawiając skurczone truchło. Wraz z nimi ulatywała również jego magia – zdolność do rzucania czarów i przyzywania koniecznych mocy. Czuł się jak dziurawy kubeł, z którego uchodzi woda.

Atak zakończył się równie nagle, jak się rozpoczął, a Khadgar bez sił opadł na podłogę. Przy każdym oddechu bolała go klatka piersiowa.

Garona zdążyła się pozbierać i zaatakowała ponownie. Wrzeszcząc, uniosła sztylet, aby ugodzić Medivha pod lewą pierś. Zamiast się cofnąć, Medivh zrobił krok w stronę szarżującej półorczyca, pod łuk jej ciosu. Mag uniósł dłoń i pochwycił jej czoło. Kobieta znieruchomiała w trakcie ruchu.

Pod jego dłonią zaczęła pulsować obrzydliwie żółta moc i półorczyca zadrżała bezradnie. Mag nieustępliwie trzymał ją za czoło.

– Biedna, biedna Garona – powiedział Medivh. – Sądziłem, że przy twoim mieszanym pochodzeniu ty jedna zrozumiesz, co przechodzę. Że zrozumiesz wagę wyboru własnej drogi. Lecz ty jesteś taka jak inni, nieprawdaż?

W odpowiedzi półorczyca o szeroko rozwartych oczach zdołała tylko wydać z siebie bulgotanie.

– Pozwól, że pokażę ci mój świat, Garono – rzekł Medivh. – Pozwól, że przeleję moje wątpliwości w ciebie. Nigdy nie będziesz wiedziała, komu służysz i dlaczego. Nigdy nie zaznasz spokoju.

Garona próbowała wrzeszczeć, ale dźwięk zamarł jej w gardle. Jej twarz była skąpana w jasnym świetle płynącym z dłoni Medivha.

Medivh roześmiał się i Garona upadła z łkaniem na ziemię. Próbowała wstać, ale znowu upadła. Oczy miała dzikie i rozszerzone, zaś jej oddech był krótki i urywany, stłumiony przez łyż.

Khadgar mógł już oddychać, ale był to oddech krótki i płytki. Stawy go paliły, a mięśnie bolały. Na obsydianowej podłodze widział swoje odbicie...

Spoglądał na niego stary człowiek z jego wizji. Zmęczone oczy, otoczone zmarszczkami i szarymi włosami. Nawet jego broda stała się biała.

Serce w nim zamarło. Pozbawiono go młodości, magii, czuł, że nie zdoła przeżyć nadchodzącej bitwy.

– To było pouczające – powiedział Medivh, odwracając się do Khadgara. – Jednym z minusów ludzkich komórek, wewnątrz których jestem uwięziony, jest to, że ludzka część wciąż się wrywa. Zaprzyjaźnić się. Pomagać ludziom. Trudno później ich zniszczyć. Wiesz, że kiedy zabijałem Moroesa i kucharkę, niemal płakałem? Dlatego musiałem zejść na dół. Lecz to jest jak wszystko inne. Kiedy już się do tego przyzwyczaisz, możesz zabijać przyjaciół tak łatwo jak kogokolwiek innego.

Stał teraz o kilka kroków od Khadgara, z wyprostowanymi ramionami i błyszczącymi oczami. Wyglądał bardziej jak Medivh niż kiedykolwiek wcześniej. Wyglądał na pewnego siebie. Rozluźnionego. Wyglądał przerażająco wręcz normalnie.

– A teraz musisz umrzeć, Zaufanie – powiedział mag. – Wygląda na to, że swoje zaufanie pokładałeś w złej osobie.

Medivh uniósł dłoń pełną magicznej energii.

Po prawej rozległ się gardłowy krzyk.

– Medivh! – zawył Lothar, czempion Azeroth.

Medivh podniósł głowę. Na chwilę jego rysy wygładziły się, jednak w dłoni wciąż płonął mistyczny ogień.

– Anduin Lothar? – spytał. – Stary druhu, czemu tu przybyłeś?

– Przestań, Med – rzekł Lothar, a Khadgar słyszał ból w głosie czempiona. – Przestań, nim będzie za późno. Nie chcę z tobą walczyć.

– Ja też nie, stary przyjacielu – rzekł Medivh, unosząc dłoń. – Nie masz pojęcia, jak to jest, robić rzeczy, które zrobiłem. Złe rzeczy. Rzeczy

konieczne. Nie chcę z tobą walczyć. Odłóż broń, przyjacielu, i niech się stanie.

Medivh otworzył dłoń i kawałki magii popłynęły w stronę czempiona, kapiąc go w gwiazdach.

– Chcesz mi pomóc, prawda, stary przyjacielu? – spytał Medivh ze złym uśmiechem na twarzy. – Chcesz być moim sługą. Pomóż mi pozbyć się tego dziecka. Wtedy znów będziemy przyjaciółmi.

Migoczące gwiazdki wokół Lothara przygasły, a czempion powoli zrobił krok do przodu, potem następny, wreszcie trzeci, a w końcu pobiegł. W biegu uniósł pokryty runami miecz. Atakował Medivha, nie Khadgara. W jego krzyku narastało przekleństwo, stłumione przez smutek i łzy.

Medivh był zaskoczony, ale tylko przez chwilę. Cofnął się i pierwszy cios Lothara trafił nieszkodliwie w miejsce, gdzie mag stał jeszcze pół sekundy wcześniej. Czempion wyhamował cios i mocnym, blokującym ruchem cofnął miecz, zmuszając maga do ponownego cofnięcia się. A potem uderzenie znad głowy i kolejny krok w tył.

Teraz Medivh pozbierał się i następny cios wylądował wprost na tarczy błękitnej energii, a żółte płomienie z miecza poleciały nieszkodliwie jak iskry. Lothar próbował ciąć z góry, pchnąć, potem znowu ciąć. Każdy atak trafiał na tarczę.

Medivh warknął i uniósł dłoń z zakrzywionymi palcami, na której tańczyły mistyczne energie. Lothar krzyknął, kiedy jego ubranie nagle buchnęło płomieniami. Medivh uśmiechnął się, zadowolony ze swego dzieła, po czym machnął dłonią, odrzucając płonącą postać Lothara niczym szmacianą lalkę.

– Robi się łatwiej – rzekł, wypluwając słowa i odwrócił się w stronę miejsca, gdzie przed chwilą klęczał Khadgar.

Tylko że Khadgara tam nie było. Medivh rozejrzał się i znalazł niemłodego już maga za sobą, z upuszczonym przez Lothara mieczem w rękach, wycelowanym w swoją lewą pierś. Runy na ostrzu migotały jak miniaturowe słońca.

– Nawet nie mrugnij – ostrzegł go Khadgar.

Minęła chwila, a po policzku Medivha spłynęła kropla potu.

– Zatem do tego doszło – rzekł mag. – Nie sądzę, abyś miał dość umiejętności i siły woli, aby tego właściwie użyć, Zaufanie.

– A ja sądzę – powiedział Khadgar, choć w jego głosie słychać było gwizdy i bulgotanie – że ludzka część ciebie, Medivh, zatrzymywała ludzi wokół ciebie wbrew twym własnym planom. Jako wsparcie. Jako plan na okoliczność, kiedy wreszcie oszalejesz. Aby twoi przyjaciele zdołali cię powstrzymać. Abyśmy przerwali cykl, kiedy ty nie będziesz do tego zdolny.

Medivh westchnął cicho, a rysy jego twarzy złagodniały.

– Nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić – stwierdził. – Chciałem tylko mieć własne życie.

Kiedy tak mówił, wyciągnął lśniąca od magicznej energii rękę, usiłując pochwycić głowę Khadgara.

Nie miał tej szansy. Przy pierwszym ruchu Khadgar rzucił się naprzód, wbijając ostrze runicznego miecza między jego żebra prosto do serca.

Mag wyglądał na zaskoczonego, nawet wstrząśniętego, ale jego usta nadal się poruszały. Usiłował coś powiedzieć.

Khadgar wbił ostrze aż po rękojęść, tak że czubek wyszedł przez plecy Medivha. Mag osunął się na kolana, a Khadgar opadł wraz z nim, trzymając dłonie mocno zaciśnięte na broni. Stary mag westchnął i spróbował coś powiedzieć.

– Dziękuję... – wykrztusił wreszcie. – Walczyłem tak długo, jak mogłem...

Potem twarz maga zaczęła się zmieniać, broda zapłonęła ogniem, z brwi wyskoczyły rogi. Ze śmiercią Medivha na powierzchni ukazał się Sarger. Khadgar czuł, jak rękojeść runicznego miecza staje się ciepła. Płomienie zatańczyły na ciele Medivha, zamieniając go w istotę z cienia i ognia.

Za klęczącym rannym magiem Khadgar dostrzegł, jak tłąca się postać Lothara ponownie wstaje. Czempion chwiejnie ruszył do przodu, choć jego ciało i zbroja nadal dymiły. Jeszcze raz uniósł runiczne ostrze i opuścił je w mocnym, równym cięciu.

Kiedy ostrze trafiło w szyję Medivha, zajaśniało jak słońce, jednym ciosem oddzielając głowę od reszty ciała.

Było to jak otwarcie butelki. Wszystko, co kryło się wewnątrz Medivha, od razu ruszyło na zewnątrz przez poszarpane resztki szyi. Wielki strumień energii i światła, cienia i ognia, dymu i gniewu wylewał się niczym fontanna, uderzając o sufit podziemnej komnaty i znikając. Khadgarowi wydawało się, że wewnątrz tego kotła energii dostrzega rogatą twarz, krzyczącą z rozpacz i gniewu.

A kiedy to wszystko się skończyło, z maga pozostały tylko skóra i szaty. Wszystko, co znajdowało się wewnątrz niego, zostało pożarte, a kiedy jego ludzka postać została rozerwana, już nie dało się tego utrzymać w środku.

Lothar rozrzucił czubkiem miecza szmaty i ciało, które należało do Medivha i stwierdził:

– Musimy iść.

Khadgar rozejrzał się wokoło. Nigdzie nie widać było Garony. Z głowy maga zniknęła skóra i ciało, pozostawiając tylko lśniąca, czerwono-białą czaszkę.

Były uczeń pokręcił głową.

– Muszę tu zostać i zająć się kilkoma rzeczami.

– Największe niebezpieczeństwo już minęło – burknął Lothar – ale najważniejsze nadal trzeba zrobić. Musimy odeprzeć orki i zamknąć portal.

Khadgar pomyślał o wizji, o Stormwind i śmierci Llane'a. Pomyślał o własnej wizji, o swojej postarzałej postaci staczającej ostateczną bitwę z orkami. Zamiast tego odpowiedział:

– Muszę pochować szczątki Medivha. Powinienem odnaleźć Garonę. Nie mogła odejść daleko.

Lothar mruknął coś i powlókł się w stronę wejścia. Wreszcie odwrócił się i powiedział:

– Wiesz, że na to nie mieliśmy wpływu. Próbowaliśmy to zmienić, ale to wszystko było częścią większego planu.

Khadgar wolno skinął głową.

– Wiem. Wszystko jest częścią większego cyklu. Cyklu, który może wreszcie zostać przerwany.

Lothar pozostawił byłego ucznia pod wieżą, zaś Khadgar pozbierał to, co zostało z maga. W stajni znalazł łopatę i drewnianą skrzynkę. Złożył w niej czaszkę i kawałki skóry wraz z podartymi resztkami „Pieśni o Aegwynn” i zakopał wszystko głęboko na podwórzu pod wieżą. Być może później wzniesie jakiś nagrobek, ale teraz najlepiej byłoby, aby nikt nie wiedział, gdzie leżą szczątki mistrza magii. Kiedy skończył pogrzeb, wykopał jeszcze dwa większe groby i złożył w nich Moroesa oraz kucharkę, by spoczywali obok Medivha.

Westchnął ciężko i spojrzał na wieżę. Nad nim wznosił się zbudowany z białego kamienia Karazhan, dom najpotężniejszego maga Azeroth, ostatniego strażnika zakonu Tirisfal. Niebo rozjaśniło się, słońce chciało dotknąć najwyższego poziomu wieży.

Jego wzrok przyciągnęło coś innego, coś na balkonie nad głównym wejściem. Drobnny ruch, fragment snu. Khadgar westchnął głębiej i kiwnął głową widmowemu intruzowi, który obserwował każdy jego ruch.

– Wiesz, że teraz cię widzę – powiedział na głos.



## Epilog

# Pełne koło

Intruz z przyszłości spoglądał z blasku na niemłodego już mężczyznę z przeszłości.

– Od jak dawna możesz mnie widzieć? – spytał.

– Kiedy tam byłem, wyczuwałem kawałki ciebie – rzekł Khadgar. – Od pierwszego dnia. Jak długo tu jesteś?

– Przez większość nocy – odparł intruz w zniszczonych, czerwonych szatach. – Tam już zbliża się świt.

– Tutaj również – powiedział były uczeń. – Być może dlatego możemy porozmawiać. Jesteś wizją, ale inną od wszystkich, które widziałem wcześniej. Widzimy się nawzajem i rozmawiamy. Jesteś przyszłością czy przeszłością?

– Przyszłością – rzekł intruz. – Wiesz, kim jestem?

– Twoja postać jest inna od tej, którą widziałem ostatnio, jesteś młodszy i spokojniejszy, ale tak, poznaję cię – rzekł Khadgar. Wskazał na trzy kopczyki ziemi – dwa duże i jeden mały. – Sądziłem, że właśnie cię pochowałem.

– Pochowałeś – rzekł intruz. – A przynajmniej pogrzebałeś to, co było we mnie najgorsze.

– A teraz wróciłeś. Albo wrócisz. Różny, ale taki sam.

Intruz kiwnął głową.

– W pewnym sensie za pierwszym razem właściwie wcale mnie tu nie było.

– Tym bardziej szkoda – rzekł Khadgar. – Kim zatem jesteś w przyszłości? Magiem? Strażnikiem? Demonem?

– Bądź spokojny. Jestem lepszą istotą, niż byłem – usłyszał. – Dzięki twojemu działaniu jestem wolny od skazy Sargerasa. Teraz mogę uporać się z samym panem Płonącego Legionu. Dziękuję ci. Nie ma sukcesu bez poświęcenia.

– Poświęcenie – rzekł Khadgar, a słowo to brzmiało w jego ustach bardzo gorzko. – Powiedz mi o tym, duchu z przyszłości. Czy wszystko, co widzieliśmy, to prawda? Czy Stormwind naprawdę upadnie? Czy Garona zabije króla Llana'a? Czy muszę umrzeć w tym postarzałym ciele, w jakimś jałowym kraju?

Istota na blankach milczała przez długą chwilę i Khadgar zaczął obawiać się, że zniknie. Zamiast tego rzekła:

– Dopóki istnieją strażnicy, istnieje zakon. Jak długo jest zakon, są role do odegrania. Decyzje podjęte milenia temu określiły zarówno twoje, jak i moje ścieżki. To część większego cyklu, który trzyma nas w swoim uścisku.

Khadgar zadarł głowę. Słońce dotykało górnej połowy wieży.

– Skoro taka ma być cena, zatem może nie powinno być strażników.

– To prawda – rzekł intruz, a kiedy światło dnia zaczęło nabierać mocy, zaczął znikać. – Ale na tę chwilę, twoją chwilę, musimy grać swoje role. Musimy zapłacić cenę. A wtedy, kiedy będziemy mieli szansę, wszystko zaczniemy od nowa.

Z tymi słowami intruz zniknął. Ostatni fragment jego istoty został porwany w przyszłość przez zmienne wiatry magii.

Khadgar potrząsnął głową i popatrzył na trzy świeżo wykopane groby. Ludzie Lothara, którzy ocaleli, zabrali swoich zabitych i rannych do Stormwind. Nie było śladu po Garonie, a choć Khadgar miał zamiar przeszukać wieżę po raz kolejny, wątpił, aby znalazł ją wewnątrz. Zabierze te książki, które uważał za cenne, i wyposażenie, które zdoła unieść, a na resztę rzuci zaklęcia ochronne. Potem również odejdzie i podąży za Lotharem, by przyłączyć się do walki.

Kiedy intruz mówił, pojawił się lekki wietrzyk, ledwo poruszający liśćmi, lecz wystarczający, aby zakłócić obraz. Obraz już nie młodego mężczyzny pękł i rozwiął się jak mgła, a już nie stary mężczyzna przyglądał się, jak znika.

Po twarzy Medivha spłynęła łza. Tyle poświęcenia, tyle bólu. Najpierw po to, by utrzymać plan strażników, a potem tyle poświęcenia, aby go złamać, aby uwolnić świat z jego okowów. Aby zaprowadzić prawdziwy pokój.

A teraz również to było zagrożone. Teraz należało dokonać jeszcze jednej ofiary. Jeśli to, co zamierzał, miało mu się udać, musiał zaczerpnąć mocy z tego miejsca. Mocy, której będzie potrzebował podczas ostatecznego starcia z Płonącym Legionem.

Słońce wzniosło się wyżej, sięgało niemal poziomu blanek. Musiał się pospieszyć.

Uniósł dłoń, a chmury nad szczytem wieży zaczęły wirować. Z początku powoli, potem coraz szybciej, aż górne krawędzie wieży zostały ogarnięte huraganem.

Teraz sięgnął w głąb siebie i wypuścił słowa, słowa składające się po równi z żalu i gniewu, uwięzione w nim od chwili, kiedy jego życie zakończyło się po raz pierwszy. Słowa, które na dobre i złe opanowały jego

wcześniejsze życie. Przyjął ich moc, a w ten sposób zaakceptował odpowiedzialność za to, co zostało zrobione ostatnim razem, kiedy miał ciało.

Huragan wokół wieży zawył, ale sama wieża oparła się jego zewowi. Wypowiedział te słowa ponownie, a potem po raz trzeci, przekrzykując wiatr, który sam przywołał. Powoli, niemal z żalem, wieża odsłaniała swoje tajemnice.

Moc zawarta w kamieniach i zaprawie wypłynęła na zewnątrz, kierowana siłą wiatru w stronę podstawy, w stronę Medivha. Wszystkie wizje zaczęły wylatywać ze swojej osnowy niczym wielkie bańki i popłynęły w dół. Spoczął na nim upadek Sargerasa i setek jego wrzeszczących demonów, podobnie jak ostateczny konflikt z Aegwynn i walka Khadgara pod matowym, czerwonym słońcem. Medivh przed Gul'danem, chłopięce starcie trzech młodych szlachciców, Moroes tłukący ulubiony kryształ kucharki – to wszystko spoczęło na nim. Z tymi obrazami przyszły wspomnienia, a z nimi odpowiedzialność. Trzeba tego unikać. To się nigdy nie może powtórzyć. To musi zostać naprawione.

Płynęły do niego również obrazy i moc z ukrytej wieży, z lochów. Pojawił się przed nim upadek Stormwind, śmierć Llane'a, tysiące demonów przyzwanym w środku nocy i poszczutych na tych członków zakonu, którzy zbyt blisko zbliżyli się do prawdy. Wszystko wystrzeliło do góry i zostało pochłonięte przez postać maga stojącego na balkonie.

Wszystkie te kawałki i fragmenty historii, znane i nieznanne, wirowały w dół wieży albo wznosiły się z jej podziemi i wpływały w człowieka, który był ostatnim strażnikiem Tirisfal. Ból był ogromny, ale Medivh skrzywił się i przyjął go, z równym spokojem traktując energie i gorzko-słodkie wspomnienia, które ze sobą niosły.

Ostatnim obrazem do wchłonięcia był ten spod samych blanek, obraz młodego mężczyzny z plecakiem u stóp i listem opatrzonym szkarłatną pieczęcią Kirin Tor. Młodzieńca z nadzieją w sercu i żołądkiem ściśniętym z nerwów. Ten młodzieniec zniknął jako ostatni, kiedy szedł powoli w stronę wejścia. Magia przesłoniła mu widok, otoczyła ten fragment przeszłości, który popłynął do góry, rozplatając się i pozwalając energii wnikać w byłego maga. Kiedy wpadł w niego ostatni fragment Khadgara, z kącika oka Medivha spłynęła łza.

Medivh przycisnął mocno obie ręce do piersi, zatrzymując to, co odzyskał. Wieża Karazhan była teraz zwykłą wieżą, stertą kamienia usypaną w odległym zakątku świata. Moc tego miejsca znajdowała się teraz w nim. A wraz z nią odpowiedzialność, aby tym razem lepiej ją spożytkować.

– I tak zaczynamy od nowa – powiedział Medivh.

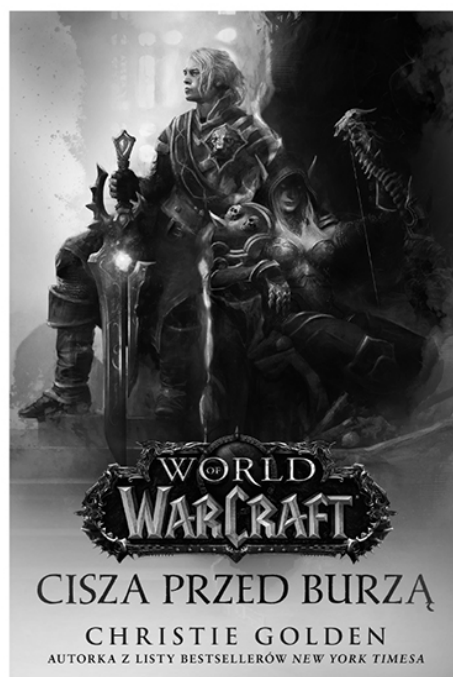
Po czym zmienił się w kruka i odleciał.

## O autorze

Jeff Grubb jest autorem powieści *Starcraft: Liberty's Crusade*, a także autorem lub współautorem książek z uniwersów i serii *Zamknięte krainy*, *Dragonlance* oraz *Magic: The Gathering Lines*. Zajmuje się tworzeniem światów, a jego hobby to objaśnianie ich innym. Mieszka w Seattle z żoną Kate Novak, która często współpisze wraz z nim.

POLECAMY...

...NAJNOWSZE TYTUŁY SERII  
WORLD OF WARCRAFT...

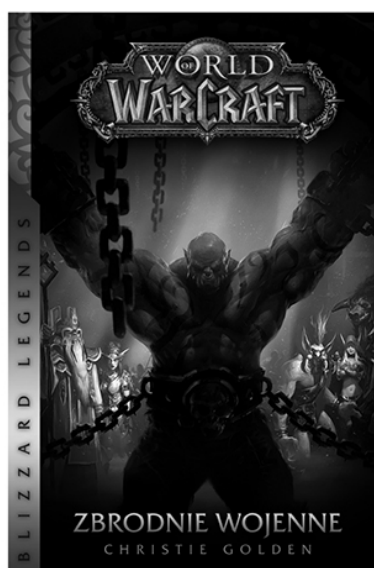
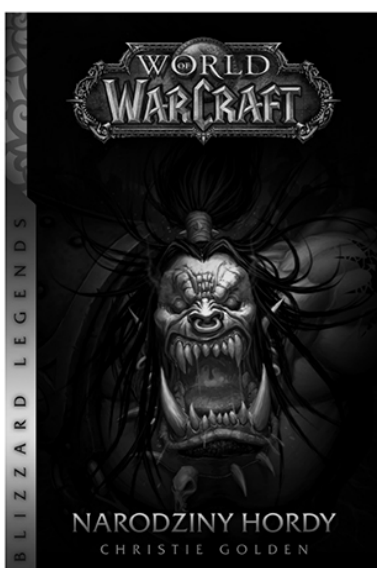
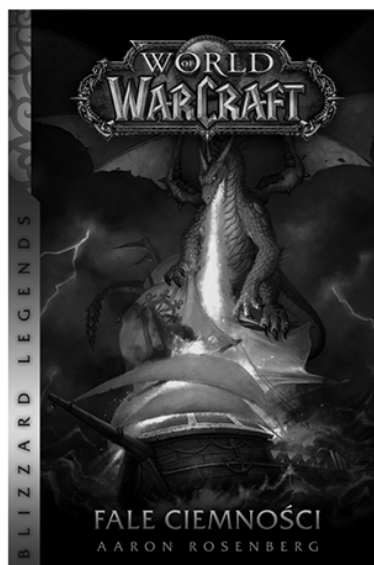
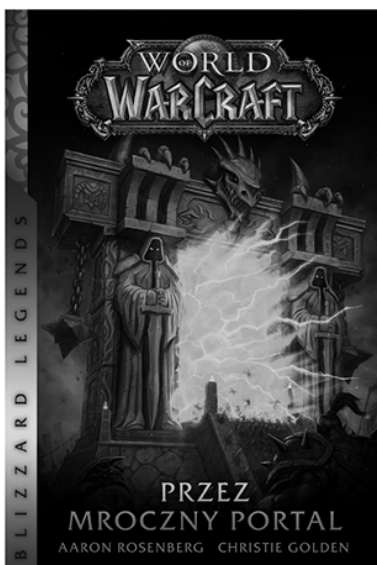


...WYDANIA FILMOWE...





...NAJLEPSZE POWIEŚCI W SERII  
BLIZZARD LEGENDS...



...ORAZ KSIĄŻKI DLA MŁODSZYCH (I NIE TYLKO!)  
ADEPTÓW WARCRAFTA!

